

MICHAEL KRÜGER	9	Warszawa, marzec w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego
ARTURO GUTIÉRREZ PLAZA	10	w przekładzie Krystyny Rodowskiej Rady starego poety, który nigdy nie na- pisał wiersza • Domy
	11	Modlitwa
	12	Słowa • Humanitas
	13	Notatki o pewnym miejscu
PIOTR SZEWC	15	Było
JACEK DEHNEL	34	Ciąg Fibonacciego
	35	Muybridge
	36	Tok
	37	<i>Na ciebie króle, prorocy</i>
MAREK KĘDZIERSKI	39	Søren
ADRIANA SZYMAŃSKA	75	Inkunabuł
	76	Kwitnące balkony
	77	Żyjąc w tęczy
KRZYSZTOF SIWCZYK	78	Na przecięciu arterii
ANNA NASIŁOWSKA	87	Wiersze stacjonarne • Białe tabletki
	88	Bólu mój bólu
	89	Sanatorium Do nogi • Nie wiedziałam
ARTUR PRZYBYŚŁAWSKI	92	Opera
KRYSTYNA LENKOWSKA	102	Nie chciałam się tu (ani tam) urodzić
	103	Ostatnia rozmowa • Wiosenny kicz
LESZEK SZARUGA	105	Jeszcze trochę bardziej inne historie
ANDRZEJ SZUBA	111	Postscripta
JERZY ANDRZEJEWSKI	115	Drugi dziennik paryski (2) w opracowaniu Piotra Sobolczyka

ZBIGNIEW DMITROCA	144	Idylla bezgraniczna
	145	Spuścizna
	146	Don Kichot • Ugory, odłogi, nieużytki
	147	Opoka epoki
PIOTR PIASZCZYŃSKI	148	Wiersz zimowy • Spuścizna
	149	Czterowiersz piekielny • Arkadia • Zły maj
	150	Grób nieznanego poety
		VARIA
KAZIMIERZ BRAKONIECKI	151	Widnokrąg (13)
STEFAN CHWIN	157	Dziennik 2023 (4)
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	169	Komora (8)
LESZEK SZARUGA	177	Świat, w którym żyłem (11)
ARTUR SZŁOSAREK	192	Notatki do zapomnianych podróży (17)
		RECENZJE I NOTY O KSIĄŻKACH
ANDRZEJ ZAWADA	197	Kontemplacyjne księgi mądrości
ADRIANA SZYMAŃSKA	201	Zmierzając ku światłu śmierci
KRYSTYNA RODOWSKA	205	Ścieżki Przeistoczenia
MARTA TOMCZOK	207	Białe mleko, czarne mleko
LESZEK SZARUGA	209	Listy historyczne
ALEKSANDER FIUT	212	Stać się kimś innym
NOTY O AUTORACH	219	
STRONA REDAKCYJNA	225	
NOWE KSIĄŻKI	226	

Dnia 29 września 2023 roku zmarł w Warszawie

Michał Głowiński

pisarz, krytyk

R.I.P.

Dnia 9 października 2023 roku zmarł w Krakowie

Ireneusz Kania

tłumacz, pisarz

R.I.P.

Zmarł Michał Głowiński, serdeczny przyjaciel, uważny, czujny i czuły, zawsze mogłem liczyć na jego radę i opinię. W „Kwartalniku” był od początku i jako jeden z pierwszych tomów naszej Biblioteki ukazał się jego niezwyklej debiut prozatorski *Czarne sezony*. W ankiecie *Po co piszę?* odpowiedział: „Może dlatego, by swoje doświadczenia, najstraszniejsze i dla mnie wciąż najważniejsze w życiu, uporządkować i wreszcie z siebie wyrzucić. A może dlatego, że uważam, iż pamięć jest obowiązkiem”. Drukowaliśmy jego „małe prozy”, kolejne cykle, z których powstawały książki.

Zmarł Ireneusz Kania. Duch działający pośród słów, w bezpośredniej bliskości i na odległość. Podziwiałem jego pracę, jej zakres i doskonałość. Bliski był jako człowiek, z respektem dla jego umysłu, wiedzy i dorobku. W ankiecie *Po co literatura?* napisał: „Trawestując jedno z najmądrzejszych przysłów, jakich dorobiła się ludzkość, można powiedzieć, że *narrare necesse est, vivere non est necesse*” i powtórzył to na trzydziestolecie „Kwartalnika”. W tym roku wydano przełożone przez niego *Suttanipātę* i *Dhammapadę*, której fragmenty prezentowaliśmy.

Zostały książki, możemy z nimi być.

Trzeba utrzymywać płomień, spłacać dług, jesteśmy ich dłużnikami.

Przypominamy wiersz Michaela Krügera *Warszawa, marzec* w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego z nadzieją, że wzniecany przez ostatnie lata kurz rozwieje się jak najszybciej.

W paśmie różnorodnej i intensywnej prozy dalszy ciąg *Drugiego dziennika paryskiego* Jerzego Andrzejewskiego, narracje Piotra Szewca, Marka Kędzierskiego, Krzysztofa Siwczyka, Artura Przybyśławskiego i Leszka Szarugi.

Z poezji przekłady wierszy Arturo Gutiérreza Plazy autorstwa Krystyny Rodowskiej, wiersze Jacka Dehnela, Adrian Szymańskiej, Anny Nasiłowskiej, Krystyny Lenkowskiej, Andrzeja Szuby, Zbigniewa Dmitrocy i Piotra Piaszczyńskiego.

W *Variach* stali autorzy i omówienia ważnych książek.

Życzymy ciekawej, inspirującej lektury.

Krzysztof Myszkowski

MICHAEL KRÜGER

w tłumaczeniu Ryszarda Krynickiego

Warszawa, marzec

Bóg w swojej nieskończonej dobroci
stworzył małego człowieka,
pana K, który rozsiadł się na tablicy Sądu Ostatecznego
i kontroluje rzeki w raju.
Pan K jest tak mały, że jeśli
chce się go właściwie zrozumieć,
to trzeba się położyć na ziemi.
Teraz w samym centrum miasta
buduje sobie pomnik, z kurzu,
pomyślany na całą wieczność,
choć przecież musi wiedzieć,
że wieczność już jutro przeminie.
Pytanie, skąd bierze ten kurz,
ten nieskończenie szary kurz,
który każe zapomnieć
o Polski wielkości i blasku.

Wiersz ukazał się w „Kwartalniku Artystycznym” 1/2021 (109).

ARTURO GUTIÉRREZ PLAZA

w przekładzie Krystyny Rodowskiej

Rady starego poety, który nigdy nie napisał wiersza

Miej zawsze na uwadze,
że tylko to, co istotne
przetrwa w wierszu

Zacznij od rezygnacji
z banału,
z nadmiaru, z wszystkiego co obciąża
twój wiersz

Nie wahaj się,
skreśl bezzwłocznie
słowo „wiersz”
w wierszu

Domy

Wiadomo –
domy mówią,
co jakiś czas ziewają
i rozprostowują kości.

Chociaż według niektórych zamieszkują je duchy
– byty, które nie znają ich języka lub go profanują –

wszystko w nich
jest spokojem i się trzyma

dzięki tej samej geometrii,
którą wymyślili nasi przodkowie.

One także zostały zbudowane
na wzór boski, na obraz naszych ciał;
dlatego, któregoś dnia
zastygają nieme i puste,
nie mając do kogo zagadać,
aż ciężar lat
przytłoczonych milczeniem
obróci je w ruinę.

Modlitwa

Piszę do ciebie list
bez adresu.
List pisany
na białym brzegu nocy,
pod dyktando twego imienia.

Piszę,
naśladowując głos którego nie słyhać w moim głosie.

Piszę twoją własną ręką.

Dotykam twych warg, zaskoczonych,
ust które mówią we śnie moich ust.
Warga przy wardze,
niczym dwie prawdy wilgotne, nowo narodzone.

W nagości dokładnej tej nocy, piszę
do ciebie niczym wierny wyznawca: modlitwę
błagalną w świetle tej lampy.
Jedynego świadka spowiedzi
tej czystej kartki w której może jesteś.

Słowa

Ufam jedynie słowom,
które potrafią wątpić,
które nadają rzeczom sens efemeryczny,
niczym mosty nawykłe
drżeć przy każdym kroku.
Takim co żyją pod groźbą upadku.

Humanitas

Każdy człowiek wie
że gdyby był ptakiem
śpiewałby,
nie musiałby się czesać,
nie gromadziłby czasów i gramatyk
by odnosić się do wieczności.

Każde zwierzę,
dwunożne,
bratające się z innymi po ludzku,
używa pasty do zębów,
mówi rano „dzień dobry”
i jada
– jeśli nie regularnie –
to na siedząco.

Każdy osobnik
z rodu Adama
porusza się w ramach wspólnoty
niczym cień tropiący inne cienie.

Każdy człowiek,
reprezentant obu rodzajów

i gatunku „Homo sapiens”
zapamiętuje liczby od 1 do 9,
dopiero potem 0,
płacze przy narodzinach
i żyje
między słowem a snem,

wierny pradawnemu dziedzictwu.

Notatki o pewnym miejscu

Po tej stronie życia
słońce wstaje wcześniej,
choć nic o tym nie wie.

Po tej stronie gdy pada deszcz,
nie ma parasoli; wszyscy czytają
chmury dotykiem.

Nie trzeba przepływać rzeki
aby tu dotrzeć; po prostu
przystanąłem, słuchając kamieni.

Po tej stronie, przyszłości nie było
nigdy, albo już wtedy przeszła,
zagubiła się bezwiednie w kieszeniach.

Po tej stronie życia
znalazłem dzień,
miejsce, gdzie jestem.

Krzysztof Dubiel



PIOTR SZEWC

Było

Małgosi

Cóż z tego, że kamienice na Starym Mieście kruszyły się i łuszczyły, jakby dotknęła je przewlekła choroba, na którą nie było lekarstwa. Cóż z tego, że partery kamienic zajmowały sklepy z towarami tak pospolitymi, jak obuwie, tkaniny czy sól i makaron, a nad sklepami mieszkali ludzie tacy, jak wszyscy. Znajomi i nieznajomi, coś o nich słyszeliśmy, ale skąd mieć pewność, że nie zostaliśmy wprowadzeni w błąd... Miałem kilka lat i już wtedy patrzyłem na kamienice z podziwem. W zwykłym otoczeniu – rzeka, przedmieścia, kościoły, dworzec autobusowy – po dach wypełnione rzeczami i sprawami zwyczajnymi, same kamienice pozostawały niezwykłe. Lepiej powiedzieć niezwykle. Od chwili, gdy jeszcze noszono mnie na rękach, a później prowadzono, uważając, żebym się nie zgubił, krążyć między nimi, jakbym nie mógł zrobić kroku poza rzucany przez nie cień. Proste linie ulic, miejsca, gdzie się przecinają, ich nazwy, zmieniające się szyldy sklepów i twarze sprzedawców, stopnie znajomych schodów, jeden lub dwa, wyszczerbione lub nie, to teren nawracających wspomnień, emocji, pożegnań i powitań. Wszystko naraz i niejako w nadmiarze, czuję się jak w zatłoczonej poczekalni dworca autobusowego w budynku Bramy Lubelskiej przy późniejszym placu Stefanidesa, pierwszego rektora Akademii Zamojskiej, a tu ani gdzie usiąść, ani przystanąć i w spokoju zebrać myśli. Tłok, hałas i zaduch, kwaśny zapach bigosu, na stolikach flaki, chleb i herbata. Z głośnika niewyraźnie słysząc, że za chwilę odjedzie autobus do Szczepieszyna. Ktoś się martwi, że nie ma już biletu do Lublina. I od razu praktyczna rada, że może bilet uda się kupić u kierowcy. Jakby czas, który zwalnia i przyspiesza, przekornie postanowił urządzić tu, w miejscu ruchliwym, hałaśliwym i z nerwową atmosferą, przystanek służący medytacjom. Minione zdarzenia pojawiają się nieoczekiwanie, wydaje się, że przybyły znikąd, do nikogo i do niczego nieprzynależne (wiemy

oczywiście, że to złudzenie, a może błąd perspektywy), po czym rozchodzą się koncentrycznie jak kręgi na wodzie. Niewiele, prawie nic ich nie łączy; nikomu niepotrzebne, niczego niewyjaśniające, mogłyby istnieć samodzielnie, bez dopowiedzeń czy próby wytłumaczenia. Jedno tu, drugie tam, jedno wczorajsze, inne sprzed półwiecza z okładem. A jednak jest to rodzina, jak oddzielone ścianami i oznaczone szyldami sklepy czy urzędy. Może nic nie wiedzą o swoim istnieniu, ale czy mogą bez siebie żyć? A co my zrobilibyśmy bez nich? Gdy powierzchnia wody nie mąci podmuch, dotknięcie promienia słonecznego czy ptasiego dzioba, kręgi są wyraźne – właśnie zniżam głowę i mrużę oczy – można je policzyć, ich delikatna struktura faluje, może chciałaby się wycofać, wracając niejako do źródła, z którego się poczęła, jakby nie mogła się zdecydować na jeden kształt i wyraźny kierunek. Chwila wątpliwości, udręka oczekiwania. Serce przyspiesza, bo przecież od tego, co się zaraz stanie, wiele zależy; to jest stawka o sprawy najważniejsze. Czuję się jak pajęczek, który z wiszącego nad wodą liścia upadł na jej powierzchnię, zawiodła bowiem pajęcza asekuracja – nić, i jednym z ośmiu odnóży zdołał się szczęśliwie chwycić rozedrganego kręgu, niepewny, jaki mu, pajęczkowi, sądzone dalszy los. I gdzie to wszystko? Na lustrze parkowego stawu, dwa kroki od kościoła Świętej Katarzyny i ogrodzenia ogrodu zoologicznego. Tymczasem lustro stawu spokojne i niezmaczone, zapewne gospodyni foka odpoczywa w trawie na brzegu i na brzeg postanowiły wyjść dwa łabędzie. Kobieta siedzi na ławce, obok bawi się dziecko. Cisza i spokój, kwitną różę, czerwcowe słońce świeci.

Rozglądam się, patrzę pod nogi i zadzieram głowę. Jak pies z nosem przy ziemi węszyć, truchtam przed siebie, zawracam, zaglądam do bram, na Bazyliańskiej pachnie mi – akurat zgłodniałem – świeże pieczywo. To pies mi nieznany, beziemienny, kundel z uciętym ogonem, może bezpieczny, bo moje psy, Nero i Cygan, każdy w swoim czasie biegały po podwórzu w Czołkach i po okolicznych bezdrożach, obwąchiwały studnię, koła wozu i wrota stodoły, znały zapach naszych krów i koni. Cygan nie był bezpośrednim następcą Nero, dlatego one nie miały szansy dotknąć się czubkiem wilgotnego nosa, dać sygnału do biegu czy pomierdać ogonem na powitanie. Żaden nie mógł być ważniejszy. Łączyło je to, że mieszkaly, jeden po drugim, w tej samej budzie: latem przewiewnej, zimą ciepłej. Nie była to buda w znaczeniu dosłownym. Wejście do ich domu, który nazywam budą, wycięte było w dolnej części północnej – od strony podwórka – ściany stodoły, wy-

ścielało go siano lub miękka słoma. Na ulicy Pereca przykładam ucho do ściany jak do ula, wsłuchuję się w puls żywego organizmu: z wnętrza dochodzą odgłosy kroków, śmiech, pojedyncze słowa, z radia płyną dźwięki znajomej melodii. Ale słowa, które słyszę, ich skumulowany przez lata szum – czyli energię, która przyjęła postać nakładających się na siebie zdań, pojedynczych słów, śmiechu, czasem płaczu – nie układają się w zdania, w zarys familiarnej czy towarzyskiej fabuły, i nie mam pewności czy ci, którzy je wypowiadają, nie uznaliby mnie za intruza. Może zapytałiby, co tu robię i skąd jestem. A przecież na stacji, jak mówiono (słowo stacja pokryło się patyną), u pani Franciszki Kowalskiej mieszkała, czy raczej pomieszkiwała, Marysia, wtedy uczennica szkoły krawieckiej. Za sprawą Marysi dom na Pereca jest mi nieobojętny. Panienka jeszcze nieopierzona i trochę nieśmiała, całe życie przed nią, ktoś zdecydował, że ma zostać krawcową. Gdzie szkoła miała siedzibę, ile miała uczennic, kim były nauczycielki krawieckiego fachu? Gdzie po ukończeniu szkoły uczennice mogły znaleźć zatrudnienie? Łóżko w kuchni pod ścianą na pierwszym piętrze, ot, cała stacja. Marysię odwiedzała mama i raz podobno tam nocowała. Wiele bym dał, żeby je na stacji obydwie zobaczyć i posłuchać, o czym rozmawiają. Wczesne lata sześćdziesiąte, ja już jestem na świecie. Jak tego dnia – ale jaki to był miesiąc, jaka pora roku? – były ubrane, co jadły? Co je cieszyło i czym się martwiły? Jakie były ich marzenia? Zdaje mi się, że tamte okoliczności życia Marysi i mamy, od dawna już nieaktualne, nie całkiem minęły; jest miejsce i na swój sposób są i one, dwie siostry. Powinienem pamiętać panią Kowalską, bo była na weselu Marysi, ale nie pamiętam, a ona sama już nie żyje. Na cmentarzu parafialnym przy ulicy Peowiaków nieraz mijałem jej nagrobek. Marysia przypomina sobie, że raz nocowała u mieszkającej w sąsiedztwie pani Kowalskiej znajomej dziadków, Zofii Kędziorowej; Kędzierka, jak mówiliśmy na nią, też już nie żyje. Zbyt dawne to sprawy, bym zdołał się do nich teraz zbliżyć i liczyć na poufałość, na dyskretne szepnięcie do ucha zapomnianego czy skrywanego szczegółu, to znaczy dowiedzieć się czegoś więcej ponad tę wiedzę, którą mam i której strzępy mogą jeszcze do mnie dotrzeć. Tajemnica musi pozostać tajemnicą. Garść nieprecyzyjnie umocowanych w kalendarzu faktów – bo który dokładnie rok, jaki miesiąc, o kogo chodzi? – przywodzi na myśl unerwienie liścia; owszem, ważne jest unerwienie, kojarzy się z mapą najważniejszych w życiu liścia spraw, jego gatunek, czas, gdy rośnie, i czas, gdy jesienią zmienia kolor, ale gdzie się podziela miękka, wypełnia-

jąca je tkanka? Tyle razy rozcierałem ją w palcach i wąchałem; inaczej pachnie liść mięty, inaczej orzecha włoskiego... Miękka tkanka składała się z niepoliczonych cząstek, a rola każdej cząstki była niezastąpiona. Można ją odtworzyć? Wystarczy najsilniejsza wola? Zastanawia, dlaczego z upływem czasu takie pytania zyskują większy ciężar i dlaczego dokładamy tyle trudu, by się do minionych spraw zbliżyć. Trapią one i Marysię. – Ileż bym dała – słyszę od niej – żeby tam, gdzie chodziłam, jeszcze raz być. Żeby pooddychać tamtym powietrzem, sprawdzić, czy wszystko dobrze zapamiętałam, czy ścieżka, którą chodziłam, skręca tam, gdzie skręcała wtedy...

Żadnych zamków, murów obronnych ani innych okazałych budowli. Skąd mogłem wiedzieć, jak je zbudować, skoro nikt mnie tego nie nauczył... O morzu słyszałem – tak, coś słyszałem, no ale przecież go nie widziałem, bo była to epoka sprzed telewizora w domu. Jeśli nie widziałem morza, to i nie widziałem plaży, nawet tej nad rzeką. Tak, Granicznik płynął niedaleko wśród łąk, w skali mojej ówczesnej wiedzy i wyobraźni łączył Stabrow z Łapiguzem, ale jego brzegi porastała trzcina, pokrzywa i trawa. Plaży z piaskiem ani śladu. A ja miałem przydomową piaskownicę. Czy piaskownica to jednak nie za duże słowo? Kilka metrów od domu, na skraju podwórka ojciec lub dziadek (dziś nie wiem, który z nich), łopatą pogłębił i usunął darń z niewielkiego kawałka gruntu i wysypał na niego piasek. Skąd piasek przybył, nie wiem; w Czołkach go nie było. No i miałem piaskownicę – a ta się dziecku należała – malutką i widoczną z kuchennego okna, żeby mieć mnie na oku. Grabki, wiaderka, łopatki pojawiły się, ale nie w komplecie i nie od razu. Na pewno były puszki, patyki, wyniesione z kuchni łyżki, foremki, którymi babcia wyciskała amoniaczki. Praktycznie i wystarczająco. Z wanny spod studni przynosiłem w puszcze wodę do podlewania zagonów. Pomędzy nimi powstawały i upadały domy z piasku, stodoły, podobny do horyszowskiego kościół, jechały auta i furmanki, dochodziło do stłuczek i wypadków, przewracali się grusze i kasztanowce. Pojawiała się biedronka albo inny, nieznany mi z nazwy owad. Co dzień to samo – świat się rodził i odchodził w niebyt, działa się to bez wysiłku, naturalnie, jak oddychanie. Taka była jedna z pierwszych – pouczająca, choć nie jestem pewny czy bolesna – lekcja nietrwałości rzeczy, nietrwałości świata realnego i wyobrazonego, tworzonego niezdarnie, choć z pasją, z wiarą, że jest warty starania, no i istnienia w podwórkowej mikroskali. Przykrością było

rozgrzebywanie moich budowli i dróg przez kury; społeczność kur żyła podług swoich zasad, na podwórku, więc i na piaskownicy, robiła, co chciała. Ale kurom wiele mogłem wybaczyć. Nie dość, że były moimi ulubionymi stworzeniami, to były też częścią gospodarskiej wspólnoty, a reguły podwórka i gospodarstwa należało po prostu szanować. Czy z tą wiedzą, czy z pełnym respektu stosunkiem do spraw gospodarskich się urodziłem? Piaskownicę miała przejąć Małgosia, ale to nastąpiło za kilka lat, od tej pory moje miejsce zabaw obojętnie omijałem albo przeskakiwałem, bo zaprzętały mnie inne sprawy. Miejsce piasku, grabek i małych kopców ważnych tylko przez rok lub dwa – mówiąc z przesadą, ważnych przez chwilę, żeby dopełnić się dziecięcy żart – zajęły kury, cielęta i koty. Bo hierarchia ważności była nienaruszalna, przestrzegałem jej z przekonaniem, czyli z powagą. Pilnowałem kwok, które wysiadywały jajka, a świeżo wyklute pisklęta nosiłem do pudełka na piecu chlebowym, by tam się wygrzały, wzmocniły i były bezpieczne. Z barwy puchu wnioskowałem, jakie będą miały pióra. Babcia mnie chwaliła i nagradzała. W czasach piaskownicy nie wiedziałem, co znaczy koniec świata, a gdybym wiedział, nie miałbym nic przeciwko takiej formie mojego istnienia, jak wtedy, aż po kres wszystkiego i wszystkich. Patrzę na moją piaskownicę z bardzo daleka, ona unosi się nad czołeckim podwórkiem jak motyl. Motyl trzepocze skrzydłami, a mnie się zdaje, że otrzepuje suchy piasek. Zupełnie jak ja, gdy podnosiłem się znad dopiero ukończonej budowli i otrzepywałem z piasku dłonie i kolana. Nie zauważyłem, że zza sadu pana Kawy i spoza dachu naszego domu długą szyję wyciąga nicość, że ma kilka twarzy, potargane włosy, szare i zapadnięte oczy, uśmiecha się szyderczo, a może chichocze. Nicość tropiła urodę świata, chciała nad nią panować, aby ostatecznie pognębić. Tego też nikt mi jeszcze nie powiedział.

Polna droga, prowadząca przez niżej położoną, południową część Czołek, zaczynała się od drogi głównej, zmierzającej do Sitna, za gospodarstwem Harczuków, przed zabudowaniami wujostwa Koprowskich (wujek Stasio był młodszym bratem babci Albiny Szewcowej), obok sadu obsadzonego jabłoniemi odmiany malinowej. Wiosną i latem pasły się tam przypięte do łańcucha krowy. A o krok od miejsca, w którym polna droga brała pod kątem prostym początek, rosła wysoka, rachityczna wierzba. Przybrała postać drzewka, bo w skrętach, nie całkiem prosto śmigiała w górę, a nie krzewiła się, jak jej zebrane w kępy kuzynki na łące. Są

różne odmiany wierzby, jaka była ta? Marzec to czy kwiecień, który rok? Skromna służebnica drogi, pola i skraju sadu do tej chwili czekała, by pokazać, co ma najpiękniejsze. Wiosną obsiadły ją żółto-zielone, dygoczące z zimna kotki; zawieszono wysoko, więc niedostępne, kotki oddawały usługi naturze i zdobiły okolicę. A pod wierzbą, na pewno w jej bliskim sąsiedztwie, rozlewała się płytka, wypełniona brudną wodą kałuża; woda stała tygodniami i nie chciała wyschnąć. Robię półobróć, akurat sto osiemdziesiąt stopni: u podnóża grabowego szpaleru – w parterowym domu za grabiną mieszkała starsza ode mnie kilka lat Jola – po drugiej stronie głównej drogi rosły fiołki, całe ich mnóstwo. Widok radosny i niezapomniany. Inna odsłona piękna i skromności. Wierzbowe kotki i fiołki – to był znak rozpoznawczy tego miejsca i tej pory roku. Tak wiele drzew, krzewów i innych roślin kojarzy mi się z Czołkami: one też. I jeszcze niewielki, wyprzedzający ruch w czasie. Kilka tygodni później kałuża przysychała, ale nie do końca. Zlatywały się do niej żółte i białe motyle. Pewnie przesadą byłoby nazwać je za Mickiewiczem jasną mgłą motylów, gdy nieruchome i ze złożonymi skrzydełkami siedziały na brzegu odbijającej światło wody. Gasiły pragnienie, a może żywiły się, kto je tam wie. Gdy się zbliżałem, odlatywały. Wraz z nimi trzepotał, jakby się spłoszył, świat. Świat tak kruchy i piękny nie chciał się spoufalać. Jego mieszkańcy zachowywali dystans, miejsce w ustalonym porządku, mnie zapewne, jakże słusznie, nie uznawali za swojego. Żyli razem, w bliskości i w różnorodności gatunków, ale każdy trochę z osobna, bo taką zasadę praktykowali; podobni, owszem, ale i każdy inny. Niewysokie o tej porze roku słońce przypominało marudera na wycieczce: przystawało, rozgarniało młode żdzbla trawy, czegoś szukało na dnie Granicznika, czyli Czarnego Potoku. Niby przesuwalo się, ale przyznałbym, że nie zrobiło ani kroku. Chowało się za niezdecydowane chmury – będzie dziś z nich kropić, czy nie? Miało dużo czasu. Przetarłem oczy: zielono i szaro. Ani zimno, ani ciepło. Daleko terkotał ciągnik i ktoś koniem wyjechał na wiosenne prace. Okolica w swoim rytmie zmieniała kolory, widoki, dźwięki, przystawała i ruszała dalej. Jak szeroka, zielona szczotka ku wiośnie wyrwała się ozimina, a na skraju rowu kwitły mlecze. Właśnie skręciłem w polną drogę, tędy można było iść do sklepu wujka Magryty. – Tylko uważaj na psy – przestrzegła mnie babcia. – Wujek Magryta miał jedno oko szklane, nigdy nie wiedziałem które. Czasem wujek z żoną, ciocią Ireną, wiozł furmanką chleb z Sitna, wychodziłiśmy na drogę, żeby kupić bochenek prosto z furmanki. Bochenek okrągły, duży,

ciężki. Pachniał jak żaden inny na świecie chleb. Najlepszy ze śmietaną i cukrem albo ze skwarkami. Czas szumiał cichutko, strzelała młoda trawa, z dachów podrywały się gołębie. Życie przybrało tu formę swobodną, a w istocie esencjonalną, logiczną i spójną, ja sam mogłem się uważać za jego skromną częśćkę; nawet nie przypuszczałem, że sprawy zasadnicze mogą być jednocześnie proste, przejrzyste, oswojone w cyklu powtórzeń.

Na ogród kwiatowy mówiliśmy ogródek. Słowo ogródek brzmiało pieszczotliwie i swojsko. Bo ogród to było co innego. Znajdował się za stodołą, czyli od południowej strony, i za zachodnią stroną obejścia, na dwóch każdego roku różniących się powierzchni, przeznaczonych pod warzywa zagonach. Rosły w nim buraki, kapusta, marchew, pomidory, zdarzało się, że babcia wysiewała rządę prosa przeznaczonego na pędzle. Gdy nie miała prosa ze swojej uprawy, gotowe pędzle kupowała na zamojskich targowiskach mama lub Marysia. Tu i tam rósł samotny słonecznik, a zdarzało się, że cały rząd słoneczników, które od poranka do zmierzchu „kręciły się za słońcem”. Pod słonecznikami i trochę na uboczu płożyły się dynie. Podlewałem je i sprawdzałem, jak rosną. Nie daj Boże, gdy poluzował się lub zerwał łańcuch i do ogrodu trafiła krowa... Ale mowa o ogródku. Nieduży, bardziej kwadratowy niż prostokątny, mieścił się między północnym krańcem domu a drogą. Przy drodze, w bezpośredniej bliskości ogródka strzegła okolicy ogrodzona płotkiem ze sztachet figura, to znaczy krzyż, z białym, glinianym posążkiem Matki Boskiej umieszczonym w zadaszonej skrzynce. Pod figurą co roku w Boże Ciało na wynoszonym z mieszkania stole budowaliśmy ołtarz. Obok rósł starszy ode mnie kasztanowiec, a kilka kroków dalej brzoza, którą w dzieciństwie posadził młodszy brat mamy, Lutek. Jeszcze kilka drzewek wiśniowych i zagubiony w chaszczach krzew białej porzeczki, który plonował nie więcej niż garścią owoców. Dom i ogródek dzielił szeroki na kilka metrów pas gruntu niepielęgowanego, powiedziałbym niczyjego. Gdy byłem mały, rosła na nim trawa. Z czasem pas stał się niedostępny, zarosły go dziczące maliny, pokrzywa. Ogródkiem zajmowały się babcia i Marysia. Wiosną oczyszczwały go z chwastów, motykami – mówiliśmy na nie motyczki – spulchniały rabaty, wytyczały ścieżki. Nim babcia z Marysią weszły z motyczkami do ogródka, już kwitły narcyzy. Rosły w równo oddalonych od siebie kępach wzdłuż obu stron ścieżki, a przy nich, w drobniejszych kępach, szafirki. Narcyzy i szafirki rozpoczynały sezon kwiatów. Potem wysypywały się inne

kolory, kształty i zapachy. Majowe i czerwcowe piwonie, bratki, łubin, krzew purpurowej róży, goździki, asparagus, białe i fioletowe floksy. Łubin – biały, żółty, różowy, niebieski, o kolorach „pośrednich”, będących wynikiem krzyżowania się odmian – rósł tam, gdzie chciał, sam wybierał dla siebie miejsce w ogródku i poza ogródkiem; bardzo mi się ta ekspansja podobała, świadczyła o tym, jak bardzo łubin nie lubił motyczek, grabek, ogrodniczej troskliwości, czyli jej nadmiaru. Po sadzonki łubinu przychodziły sąsiadki. A w Boże Ciało o płatki na procesję prosiły dziewczynki, babcia pozwalała zrywać płatki bez ograniczeń. Żał mi było kwiatów, ale mój sprzeciw nie miał znaczenia. Floksy rosły w kępach na zachodnim i wschodnim krańcu ogródka. Miały mdławy, intensywny zapach, babcia wstawiała je do flakonów w obu pokojach i do słoików w kapliczce na krzyżu obok figury Matki Boskiej. Gdy mama i Marysia wracały do Zamościa, wiozły ciężkie, różnobarwne bukiety. Kwiaty w ogródku rosły i przekwitały, a z nimi i my. Mowa o innym czasie, przyszłym, w życiu mojej rodziny innej epoki. Coraz starszej babci musiało starczyć sił na najkonieczniejsze przydomowe obowiązki, gdy nie żył już dziadek, nie było krów ani konia. Ogródek dziczał jak maliny za ścianą domu. Ścieżki zarastały chwastami. Daremnie szukając ocalenia, ponad lebiodą i perzem na długich łodygach obracały się rozczochrane, czerwone głowy piwonii. Uważam, że ogarniała je trwoga. Ich krótkotrwały żywot mogło przedłużyć tylko nasze spojrzenie. Pośród jaskrów i krwawnika nierówno walczyły o życie goździki. Powój dusił floksy i purpurową różę. Ogródek umierał, rodziło się dzikie królestwo.

W bliskim sąsiedztwie ogródka żył – kwitł, owocował, puszczał dzikie pędy, tracił liście i usychał – sad pana Kawy. Znajdował się naprzeciwko gospodarstwa dziadków po drugiej stronie drogi – najpierw błotnistej lub pylistej, bo były to wyżłobione w gruncie koleiny, później szutrowej, wreszcie asfaltowej. Sad był duży, równie długi, co w przybliżeniu szeroki, czyli w obrysie kwadratowy. Odcinek przylegający do drogi porastała rzadko przycinana, wybujała grabina, na którą z przesadą mówiono szpaler. A nad grabiną górowały dwie okazałe, ale mocno już zdeformowane, poranione i spróchniałe czereśnie odmiany poznańskiej. Co roku, trochę potajemnie, bo bez pytania o zgodę pana Kawy lub pani Kawowej, wspinałem się na nie dla owoców, ale zawsze szybsze ode mnie okazywały się szpaki. Oprócz dwu sędziwych drzew czereśniowych pośród grabiny rosła akacja. Nie wiem, kiedy został posadzony sad, bo gdy się urodziłem, już był. I w moich oczach

na pewno był stary, jak sami jego właściciele – pan Kawa i jego żona Irena. Rosły w nim jabłonie kilku odmian (wśród nich renety, kosztele, grochówki), grusze, śliwy i wysokopienne wiśnie. Poza tym wielki jak gmach, rozgałęziony orzech włoski – patron gospodarstwa i okolicy, i za stodołą jego mniej okazały, bo młodszy brat. U stóp orzecha seniora stała zardzewiała i omszała pompa żelazna z długim, wygiętym ramieniem, dolną część ramienia zdobiła – nie wiem, czy była to tylko ozdoba – metalowa kula. Ale pompy Kawowie nie używali; sąsiedztwo obory sprawiło, że woda była brudna. To dlatego pan Kawa z wiadrami przychodził po wodę do dziadków. W sadzie żadnego tłoku i zagęszczenia: drzewa owocowe miały dla siebie wiele miejsca, bo posadzono je tak, by rosły swobodnie, nie zaczepiały o siebie gałęziami, by mogły obficie czerpać pokarm i nie konkurować o światło. Rozstawę rzędów pozostawiono na tyle szeroką, że przestrzeń między nimi zajmowały zagony ziemniaków i buraków pastewnych, bywało, że nawet zboża. Przez pewien czas jeden z zagonów użytkował mieszkający w Kornelówce pan Zawila, uprawiał na nim grykę. Część przestrzeni między drzewami porastała trawa – od wiosny do jesieni pasła się na niej czarno-biała krowa pana Kawy. Trawę skubały gęsi i grzebały się w niej kury. Sad otaczał obejście Kawów. Najbliżej drogi stał obszerny, parterowy, drewniany dom na podmurówce. W domu znajdowały się dwie kuchnie i trzy pokoje – w największym, zaraz za progiem, stał zakurzony, rozstrojony fortepian. Miała na nim grać jedyna córka Kawów, Bożena, nie pamiętam jednak, żeby kiedykolwiek grała. Domu Kawów nie ma, a co się stało z czarnym fortepianem? Zachował się mocą niezwykłego zbiegu okoliczności czy cudu bodaj jeden klawisz? Błąka się w najodleglejszych strefach przestrzeni i czasu jeden fałszywy dźwięk? Na prawo od domu, za pompą i pod parasolem korony wielkiego orzecha, stała niewielka obora, pochylona, ale stabilna siłą wieloletniego nawyku trwania wbrew, można powiedzieć, gospodarzom, pogodzie i upływowi czasu. Mieszkała w niej krowa, była też wydzielona część dla świni lub świń. A na lewo, za okazałym, rozłożystym i kulistym krzakiem jaśminu, stał ciąg kilku pomieszczeń o różnym przeznaczeniu: kurnik (przed kurnikiem znajdowało się kilka okien inspektów z południową wystawą), spichlerz, komórka na narzędzia i pomieszczenie, o którym Marysia mówi, że nazywano je wozownią. Pan Kawa nie miał konia, co znaczy, że nie miał go za swojego życia. Być może koń czy konie były u Kawów nim się urodziłem, a jeśli był koń czy konie, to najpewniej musiał być i wóz, stąd nazwa wozowni,

jednak w moim pojęciu nazwa została nadana na wyrost; wozu też nie widziałem. Temat konia nabiera szczególnego znaczenia, Marysia mówi mi bowiem, że ojciec pana Kawy był kowalem i że z lat wczesnego dzieciństwa pamięta stojącą przy drodze kuźnię; ja niestety kuźni czy tego, co mogło po niej pozostać – podobnie jak wozu – też nie widziałem. Północną stronę podwórka zamykała stodoła, w „moich latach” zazwyczaj pusta, bo pan Kawa nie uprawiał już zboża, może leżało w niej trochę starej słomy. Myślę, że zarówno dom, jak i zabudowania wraz z sadem inaczej wyglądały i funkcjonowały, gdy wraz z rodziną Kawów w jednym domu mieszkała młodsza siostra pana Kawy, Maria Szwabowa, nauczycielka, wdowa, matka córki i dwóch synów. Nim się urodziłem, pani Szwabowa z dziećmi wyjechała do Szczecina, zabrakło jej gospodarskiej ręki, rozsądku i zapobiegliwości – akurat tych cech pan Kawa moim zdaniem nie miał. Dlatego obejście Kawów z czasem coraz bardziej pustoszało, w którymś roku zabrakło nawet krowy; po podwórku i sadzie kręciły się tylko kury. Koło połowy lat siedemdziesiątych babcia regularnie odwiedzała swoją ciężko chorą, będącą w podeszłym wieku matkę, a moją prababkę Mariannę Jaworską w Kornelówce. Bywało, że towarzyszyłem babci. Przechodziliśmy wtedy przez podwórko i sad pana Kawy – dalej teren nieznacznie podnosił się, by osiągnąć rozległy i łagodny szczyt – czyli górę – po którego drugiej stronie rozciągała się tak droga sercu babci Kornelówka. – Tylko nie zaglądał tam, bo może cię lis ugryźć – uprzedzała mój zamiar babcia, bo chciałem uchylić wrota i zajrzeć do pustej stodoły. A w opustoszałej stodole zamieszkały lisy, miały norę i święty spokój. Ani razu jednak lisa nie zobaczyłem. Stodołę mijaliśmy spiesznym krokiem, mijaliśmy sad i zagonami, po ściernisku, zmierzaliśmy ku górze. Przemijały i powracały pory roku, drzewa w sadzie Kawów dziczały i próchniały, jesienią sypały się i gniły w trawie jabłka, rozpadały się zabudowania, kolejno odchodzili gospodarze. Zostało, jak babcia mówiła, szczere pole. Zastanawiam się, czy jest to sprawiedliwe. Nie wiem.

Rankiem dziadek wszedł do domu i zagadnął babcię: – Matka, widziałas, co dzieje się na świecie? – Później zobaczę – babcia odpowiedziała – teraz muszę dopilnować kawy. – Na fajerkach stał garnek z mlekiem, babcia gotowała kawę zbożową. – No tak – dziadek na to – pewnie nie ucieknie. – Dzień był wiosenny, świetlisty i o tej porze jeszcze wilgotny. Przy ścieżce na drodze odbijała promienie słoneczne pusta bańka, którą zostawił wozak. Do obory do gniazd wlatywały ja-

skółki. W krzakach bzu i na drzewach owocowych odzywały się wróble, kury grzebały w gnoju przed oborą, a dwie krowy i jałówka stały z opuszczonymi głowami na pastwisku. Duży pies po nocnym bieganiu wypoczywał przed stodołą, mały położył się na schodach sieni. Niebo było jasne i wysokie. Kolorowo zrobiło się w ogródku za domem, świat oddychał głęboko, dwa koguty piały na przemian. Poszedłem za stodołę. Jeszcze nie obeschła rosa, na miedzy stryja Adama zieleniła się grusza, a na łące, jak długa i szeroka, rozsiadły się kępy wierzby – po nocy, gdy przemierzały okolicę, każda wróciła na swoje miejsce, by odpocząć. Za Granicznikiem, po stronie Stabrowa i Jarosławca, z największej, jaką miało, konwi, niebo lało wodę. Silny i wysoki strumień – wtedy nie wiedziałem, co to jest wodospad – opadał na trawę, na ogrody i sady, na asfaltową drogę, którą jeździłem. Strumień bez końca, migotliwy, niepohamowany, żywy. A ponad strumieniem wyłaniały się, skacząc pojedynczo, po dwa i po trzy delfiny i inne morskie stworzenia. Zauważyłem syreny, były też inni, nieznani mi z nazwy bracia syren. Pod prąd płynęły i obracały się w powietrzu wielkie ryby. Ich łuski lśniły srebrzyście w promieniach. Woda tryskała, pieniała się i nie przestawała płynąć z góry na dół. Słońce znad strumienia wychylało się i myło w nim twarz. Otrzepywało z wody palce, krople tryskały na pszenicę i ziemniaki, jakby ksiądz święcił zagony. Rzucalo na okolicę wielokrotnie odbite światło. Z północy na południe i z południa na północ nad strumieniem leciały łabędzie i dzikie gęsi. Odlatywały i wracały do swoich miejsc. Byłem zbyt daleko, żeby je słyszeć, i nie słyszałem odgłosu spadającej wody. Spojrzałem na krowy i jałówkę, ale one nawet nie podniosły znad pastwiska głowy. Nisko nad polami, niedaleko mnie, przelatował bocian, krewny Ikara. Dzień wykonał kilka kroków do przodu, może obrócił się wokół swej niewidzialnej osi; jeśli się obrócił, to w którą stronę? Z podwórka poderwały się gołębice, zatoczyły koło i usiadły na słomianym dachu stodoły. Jakby nigdy nic: krowy na zagonie, bocian nad polem i gołębice na dachu. Dzieją się wokół nas, w naszej obecności, różne sprawy, a my o nich nie wiemy. „A jeśli woda tu przyplynie i zaleje Czołki...”, pomyślałem ze strachem. „Dokąd uciekać, co to będzie?” Przed południem, gdy już niebo opróżniło konwie i całkiem się wypogodziło, dziadek jeszcze raz zapytał babcię: – No i widziałaś? – Widziałam, co roku to samo o tej porze. Nie wiem, czy się martwić, czy cieszyć – odpowiedziała. I jeszcze pomyślałem: „Może jednak lepiej mieszkać tu, nie w Stabrowie”. Dziadek widział, ja widziałem, a babcia wiedziała.

Ciągnie mnie w stronę sklepu z zabawkami. Sklep mieścił się w tym samym podcieniu, co cukiernia Pachuty, tuż przy ulicy Lenina, obecnie Grodzkiej. Grodzka brzmi godziwie, nie składa ideologicznej daniny, nie sławi kogoś, kto nie zasługuje na szacunek; bez reszty wpisuje się w naturę jej budowli, nastrój, sam charakter, to zresztą jedna z jej historycznych nazw. Wysokość, na której znajdowała się witryna sklepu, pozwalała, bym przez szybę patrzył na wystawione lalki i zabawki-zwierzęta śmiało, a nawet zuchwale. Z podcienia wchodziło się do małej, podobnej do innych bramy, a do sklepu prowadziły drzwi po prawej stronie. A tu wszystkiego dużo i wszystko niedostępne, zabawki tłoczyły się na półkach po drugiej stronie lady. No i zapach – tkanin, tworzyw sztucznych, fabrycznych nowości. Wspinałem się na palcach, żeby być bliżej. Małe i większe plastikowe lalki, to znaczy dziewczynki starsze i młodsze, ubrane w jasne, bawełniane sukienki, blond włosy miały splecione w chude warkoczki. Lalki oczami bez wyrazu patrzyły przed siebie – jak panny na wydaniu niepewne przyszłego losu – może na mnie, i to nie było miłe. Bo jakże na to uporczywe spojrzenie mogłem odpowiedzieć? Uśmiechnięty pajac w ubranku w kratę siedział w kącie półki, chyba nikomu się nie podobał. Udawane uśmiechy i barwne ubranka maskowały smutek i brak nadziei na zmianę. Wydało mi się, że sprzedawczyni nie lubi lalek i innych zabawek, bo nie traktowała ich z czułością. Brązowemu, pluszowemu misiowi świeciły się czarne i przyjazne oczy, miś wyciągał do mnie krótkie, włochate łapy. Już był prawie mój, bo mama zapytała: – Podoba ci się? Chcesz misia? – Ale ja wołałem białego z czarnym dziobem, gumowego pingwina. – Nie, chcę pingwina – odpowiedziałem bez namysłu i na pewno mamę rozczarowałem. Bo mama ufała, że wybierając zabawkę, przecież jej nie zawiodę, jakbym miał się bawić misiem również w jej imieniu, dlatego to, co jej się podobało, powierzyła mojemu gustowi, czyli kaprysowi jedynaka; na pewno miś się mamie podobał. Jeszcze się upewniła, czy na pewno ma być pingwin, bo przecież miś jest pluszowy i taki ładny. Ze sklepu wyszliśmy z pingwinem, okazało się, że ma w brzuchu otwór, który po naciśnięciu wydaje pingwini głos. I mogł, jak to pingwin, pływać, więc brałem go do kąpieli. Wypuszczałem gumowego ptaka na wodę, którą napelniona była wanna obok studni w Czołkach, z tej wanny piły krowy (były to jeszcze czasy starej Czarnej, matki swej następczyni o tym samym imieniu). W wannie umieszczałem kaczkę, żeby pingwin miał towarzystwo. Taki był mój zwierzyniec cztero-, bo chyba nie pięciolatka. Gdy przyszła pora prze-

prowadzki, pingwina zabrałem do Tomaszowa Lubelskiego, ale tam ślad po nim zaginął; być może bawiła się nim mała Małgosia, ale nie jestem tego pewny. Na podłodze pojawiły się drewniane klocki, z nich układałem wizerunek ptaka kiwi lub czającego się w azjatyckiej dżungli tygrysa. Ile klocków liczył komplet – sześć, osiem, więcej? Ułożenie tego wizerunku było tak łatwe, że rychło stało się nudne. Ptak kiwi zawsze zastygał w tej samej pozie, a tygrys pod liściem palmy całymi miesiącami ani drgnął. Można bez końca bawić się klockami?

Sprawa zabawek – tego, jakie miałem i jaki był ich los – wraca, bo zabawki mówią coś o mnie dawnym i o moich bliskich. Nie miałem ich wiele, a to znaczy, że nie były mi bardzo potrzebne, nie pamiętam żadnej towarzyszącej im uczuciowości, nudziły mnie, bo nie potrafiłem znaleźć z nimi wspólnego języka. Co innego zaglądać do żłobu w oborze, gdzie okociła się kotka, a ja co dzień sprawdzałem, czy małe już widzą. Co innego głaskanie cielęcia. Wkładanie ręki pod kwokę w gnieździe, żeby sprawdzić, czy wykluło się pierwsze pisklę. Życie wokół mnie było ciekawsze, bliżsi i dalsi sąsiedzi, to, jacy byli, co o nich babcia z dziadkiem mówili, ich sprawy, no i towarzyszenie babci, słuchanie, co dziadek zrobił i co ma do zrobienia. Odpustowy korkowiec cieszył mnie nie dłużej niż dzień, leżał więc w szufladzie z kilkoma korkami, bym z niego wystrzelił i spłoszył wrony, gdy wiosną obsiadą zagon po wysianiu ogórków, lub spłoszył jesienią wróble, gdy zaczną się dobierać do pełnych makówek. Zamiast bawić się w wojnę z rówieśnikami, chodziłem na rozmowy do pana Kawy, sąsiada, starszego o kilka lat od dziadka. Pan Kawa pokazywał mi rozsadę pomidorów i prowadził do wysiadujących jaja kwok. – Na ilu jajkach siedzi? – pytałem pana Kawy, a on podnosił kwokę i odpowiadał: – Licz. – W sadzie towarzyszyłem panu Kawie, gdy doił krowę, kucałem obok niego. Doił na swój sposób, pytałem więc babci: – Babciu, a dlaczego pan Kawa macza palce w mleku? – Babcia uśmiechała się i nic nie odpowiadała. No i żadnego sprężynowego bąka ani blaszanej ciężarówki. A jakie zabawki miała mała mama i jej młodsze rodzeństwo – Lutek i Marysia? Chodzi o chude, ubogie lata powojenne. Mieszkali w Czołkach, przez które prowadziła polna droga, w których nie było prądu ani sklepu, a autobus podmiejski z końcowym przystankiem przy remizie pojawił się na początku lat siedemdziesiątych. Pytam o zabawki Marysię. – Jakie ja mogłam mieć zabawki? – Marysia odpowiada pytaniem. – Miałam szmacianą lalkę, ale Lutek ją rozpruł, wysypały się trociny i po lalce. Na metalowym pręcie kręciliśmy

fajkerki, taka to była zabawa. – A miał zabawkę Lutek? – pytam. – Miał drewniany pistolet, nazywał go pepesza – mówi Marysia. Pytanie najważniejsze: czym bawiła się mama. – Mama nie miała zabawek – słyszę. – Nie bawiła się z nami, wystarczała sama sobie. – Brzmi to osobliwie, choć z różnych rodzinnych opowieści wynikało, że mama miała takie właśnie usposobienie. Wolała być osobno, pewnie nie interesowały jej zabawy młodszego rodzeństwa. Dobrze ją rozumiem. Gdyby mama miała zabawki, choćby szmacianą lalkę, Marysia na pewno by to zapamiętała. Po drugiej stronie drogi mieszkała jej koleżanka, Ronia (Ronia Szwabowa była siostrzenicą pana Kawy). Jakimi sprawami kilka lat po wojnie w podzamkowej wiosce żyły ośmio- czy dziewięcioletnie dziewczynki? Trzymały się razem, razem przesiadywały. Mama nie żałowała wydatków na moje zabawki, przecież chciała mi kupić najpiękniejszego w sklepie pluszowego misia. Czy rozzarowałem ją, wybierając gumowego pingwina? Może, ale temat był zamknięty.

W rozedganiu fal, nakładaniu się, oddalaniu – swego rodzaju flircie, jaki prowadzą ze sobą istoty ożywione – słowem, w ruchu czasu, który odbywa się w nas nieustannie, panuje nieporządek. Jedno zdarzenie nie przystaje do drugiego, choć jeszcze niedawno mieliśmy całkowitą pewność, że łączą je więzy ścisłe, wręcz warunkujące się, logiczne... Dzieje się coś, z czym z trudem radzi sobie – lub nie radzi – zmysł poznawczy i wiedza ugruntowana w doświadczeniu. Ten zmysł i wiedzę można nazwać lornetką osobistą i stworzonym na prywatny użytek szkłem powiększającym. Bywa, że zawodzą, bywa, że to, co od nich otrzymujemy, budzi wątpliwości. Gdy wyszliśmy ze sklepu z zabawkami na podcienie, zapachniała mi – tuż obok, należało zwrócić się w stronę ulicy Ormiańskiej – cukiernia Pachuty. Kilkanaście lat później – czas ma tu decydujące znaczenie – skojarzenia z cukiernią miałem inne: nie sam niski stopień progu, latem panujący w bramie chłód, kształt metalowej klamki, fartuszki i fason czapeczek ekspedientek, wreszcie unosząca się w powietrzu nuta szarlotki czy kruchość wafla, którego delikatny smak łączył się na języku z lodami pistacjowymi. Chodzi o nazwisko założyciela cukierni, a zatem i potocznej nazwy zakładu, mówiło się bowiem „u Pachuty”. Ciastkarnię założył w roku 1931, przemiany jego zakładu to odrębna historia. Miał na imię Bolesław, jego następcą i kontynuatorem był syn, Stanisław, i do lat, gdy Stanisław produkował ciastka (po wojnie również cukierni) przyłgnęły moje doświadczenia i fantazje. Słowo Pachuta rozbudzało łakomstwo, powiedzmy *in spe*. Oznaczało

utrzymaną w ryzach receptury słodczy, wędrówkę smaków – od cynamonowego po waniliowy, czekoladowy, orzechowy, truskawkowy, wiśniowy i cytrynowy, po tajemnicę rumu i araku. Pachuta znaczyło miękkość i delikatność bitej śmietany w rurce, kremowo-jedwabiste nadzienie ptysia, kruchość białej lub różowej bezy. Domysły, co cukiernik dodał do maku w makowcu, i jak to możliwe, że za każdym razem mak był taki sam, że niepodrabialna nuta aromatu czekała w pogotowiu, aby się przypomnieć w formie dokładnie takiej, jaką zapamiętałam. Poszukiwanie rodzynek w serniku, zlizywanie cukru pudru z wierzchniej, złożonej z płatków ciasta francuskiego warstwy ciastek owocowych, aby nie stracić bodaj odrobiny. Delikatność głosek w nazwisku cukiernika otwierała na niedzielne doświadczenie, gdy małą Małgosię i mnie zabierali rodzice na Stare Miasto, do ogrodu zoologicznego i parku, a w drodze powrotnej do Pachuty lub do niedaleko zlokalizowanej – Żeromskiego, obok Bazylińskiej – konkurującej z Pachutą cukierni Ładyńskiego. W niedzielę było u Ładyńskiego ciasno. – Ile sztuk? – pytała sprzedawczyni, bo ciastka kupowaliśmy na wynos, a ona dobierała wielkość kartonowego pudełka. W mieszczącym się naprzeciwko sklepu-cukierni Domu Centralnym mieszkał przed wojną Leśmian. – Głodny jesteś? – zapytała mama – zaraz wracamy do domu. – Nie – odpowiedziałem i podniosłem się na palcach, żeby spojrzeć poza oszkloną gablotę. Niewielki szary pakunek obwiązany papierowym sznurkiem niosłem ja. Zamościanie dywagowali – niektórzy dziś jeszcze dywagują – czy lepsze były ciastka u Pachuty, czy u Ładyńskiego. Nie miałem i nie mam w tej sprawie zdania, moim zdaniem wynik konkurencji obu cukierni był remisowy. Wtedy, już drugoklasiście, zdawało mi się, że cukiernie Pachuty i Ładyńskiego będą istniały zawsze – słodkie sanktuaria w mieście starym jak świat.

Na parterze kamienicy przy ulicy Daniłowskiego znajdowało się miejsce ubogie i niezwykle. Malutkie, ciasne i pełne różności. Nieogrzewane i bez okna. Sklep pani Zofii Malinowskiej h. Pobóg, czyli, jak głosił szyld, „Drobiazgi galanteryjne i różne”. Sprzedawczyni – właścicielem sklepu był jej brat, Paweł – urodziła się we Włodzimierzu w roku 1902, była kilkanaście lat starsza od babci. Sklep miał mi do zaoferowania więcej niż późniejszy kalejdoskop. Otoczona oszklonymi gablotami, za szklaną ladą siedziała pani Malinowska. Nie wiem, jakiego była wzrostu i czy była tęga, ale wtedy, gdy miałem cztery, pięć czy sześć lat, wydawała mi się kobietą dorodną, silną i władczą, surowo panującą w królestwie luster i lusterek,

grzebieni, siatek do włosów, spinek, łańcuszków, broszek, bransoletek, pierścionków z tombaku, torebek, blaszanych zegarków, a nawet korków do korkowców. One wszystkie podlegały jej bezwarunkowo i całkowicie, a pani Malinowska była władczynią absolutną. Ściany sklepu zdobiły wycięte z gazet portrety gwiazd światowego kina – Brigitte Bardot, Giny Lollobrigidy, Sophii Loren i innych. Uosabiana przez aktorki sztuka, o której więcej słyszano, niż ją znano, spotykała się z wytworami rzemiosła użytkowego, tandetnego, pospolitego. Sąsiedztwo słynnych aktorek z lusterkami, wstążkami, koralikami i blaszanymi zegarkami trwało w zgodzie, zrozumieniu, a może i porozumieniu. Gdzie, jeśli nie w tym, jakby wyjętym z kolorowego snu sklepie – za ścianą, w podobnej klitce sprzedawano rzemieślnicze wyroby z drewna i wikliny: koszyki, łyżki, miski – aktorki i przedmioty mogły być bardziej u siebie? Bez dzielenia włosa na czworo: zarówno aktorki, jak i „drobiazgi” pani Malinowskiej reprezentowały sztukę. Wysoką i niską – często tak kategoryzowaną, choć nie jestem pewny, czy zasadnie. Sztuka, i wysoka, i niska, kosztowała – trzeba było zapłacić za bilet do kina na film z Brigitte Bardot i za dziewczynską torebkę czy wstążkę. Kto sklep poznał, ten wie, że lepsze miejsce nie mogło im się przydarzyć – im, czyli aktorkom i wstążkom. Pani Malinowska rządziła w nim despotycznie, cierpliwie i wyrozumiale. Spinka i klamra (raczej spinki i klamry) zdobiły jej kruczoczarne, starannie upięte włosy. Nie wiem już, czy bardziej podziwiałem włosy pani Malinowskiej, czy liczne i okazałe pierścionki na jej palcach. Mówiono, że miała pierścioneł na każdym palcu, ale ja tego nie pamiętam. Ona sama niewiele mówiła – obserwowała, czy w sklepie nie dzieje się nic złego, czy ktoś nie próbuje ukraść wisiorka lub sznura kolorowych paciorków, lub nie stoi zbyt długo za ladą, co musiałaby uznać za akt profanacji przybytku. Czy często zdarzały się kradzieże? Nie wiem, ale chyba nie były wyjątkami, skoro pani Malinowska tak pilnie baczyła na odwiedzających sklep. Na prośbę klientek wysuwała szufladę, żeby wyjąć wstążki, agrałki, nici. Można popatrzeć, ale należy kupić. Albo wyjść. W sklepie obowiązywała niewypowiedziana – choć kto wie... – zasada, że to ładne, co się podoba. Można tej zasadzie odmówić słuszności? Barwa zamojskiego czasu bez sklepu pani Malinowskiej byłaby nie do wyobrażenia. A naprzeciwno – tylko kilka-ńście kroków – mieściły się oblegane od wczesnych godzin jatk. Fatalnie zaopatrzone, trudno było w nich kupić coś innego niż kości na zupę. Wśród jatek jedna zwracała moją uwagę – tak dawała o sobie znać przekora – sprzedawano w niej

mięso „mniejwartościowe” (zdaje się, że taka była pisownia). Mówiono o niej „tania jatka”. I ona miała klientów. Babcia i mama nigdy do taniej jatki nie wchodziły.

Wiosną miasto nawiedzały mewy. Pamiętam je w chaotycznym locie – ptaki pojawiały się z każdej strony – locie pozornie bezcelowym, może zwiadowczym. Niemal jednocześnie były nad kolegiatą, nad kinem Styłowy i nad dworcem autobusowym. Wykrzykiwały, może po swojemu mieszkańców ostrzegały. Szerokimi zakosami omijały niewidoczne, powietrzne budowle, nurkowały, jakby końcem skrzydła chciały dotknąć komina lub ramienia kościelnego krzyża, i w milczeniu lub hałaśliwie wzbijały się, po czym znikwały z oczu. Mewy były nieprzyjaciółkami gołębi, bo je spędzały z dachów i rozganiały po okolicy. Długie, wąskie i szeroko rozpostarte skrzydła wyglądały groźnie, szybkość i nieprzewidywalny kierunek lotu jawiły się jako zagrożenie. Gdy mewy odlatywały, na niebo wracał spokój. Przelot bociana nad południowym przedmieściem – czyżby przelatywał jeszcze jeden Ikar? – dodawał wiosennym chmurom łagodności, a niebu dostojności. Jako znak natury podkreślał pomyślany przez ludzi rys renesansowej architektury. Bocian zdejmował z okolicy lęk. Jaskółki oddawały się krawieckiej powinności i cerowały niebo. Wtedy budziły się dachy. Ich szczyty poruszały się nieznacznie i delikatnie, jak gałąź kasztanowca, na której usiadł grzywacz. Nie byłem pewny: dach się poruszył czy nie? Może wzmagał się ruch wśród dzikich mieszkańców strychów. Na ulicy Staszica dach się uniósł, na moich oczach strych wciągnął haust powietrza. Dla tego haustu zabrakło miejsca między krokwiami a stropem. Wywinął się dolny brzeg dachu, jakby podniosła się ograniczona rynną wargą, ukazując nie zęby i dziąsła, a przez moment ciemne, pełne różnych przedmiotów wnętrze. Opartą o komin drabinę, krzesło z wysokim oparciem, kilka skrzyń, wypchany czymś worek... Krótco je widziałem – pewnie nie zdołałbym policzyć do dziesięciu – gdy dach bezgłośnie opadł, czy raczej osiadł, zajmując to samo, co przed chwilą miejsce. I uniósł się, wykonując ćwierćobrót, jakby chciał się przemieścić, dach piętrowej kamienicy na Rynku Wodnym. I tu odsłonił się na krótko panujący na strychu nieporządek, prostokątne lustro w drewnianej ramie, dwie jesionki czy inne okrycia, teraz hibernujące na wieszakach jak nietoperze. Fakt, że dachy unosiły się – jakby zniecierpliwione od lat panującym stanem bezruchu – był znany, ale mówiono o nim rzadko i półgębkiem; chyba mieszkańcy nie dowierzali temu, co wiedzieli, a z mówienia o unoszących się dachach nie mogło wyniknąć nic do-

brego. Działo się tak w zielonej porze roku, ale nie każdego dnia, od wiosny do wczesnej jesieni. Dachom udzielał się niepokój natury, przeloty ptaków, kwitnienie roślin, ryk lwa, rżenie zebry i inne odgłosy zwierząt w ogrodzie zoologicznym. Dachy czuły się częścią świata, dlatego nie dziwi, że zachowywały się zgodnie z jego rytmem; był czas aktywności i czas odpoczynku. Tak działał nienazwany, ale niezawodny mechanizm. W jego istnienie trudno było wątpić.

Późniejszym popołudniem ruch na Starym Mieście zamierał. Nikt nie przychodził po chleb ani na ciastka. Pani Malinowska zamknęła drzwi sklepu, a do umieszczonych na zewnątrz gabloty z „drobiazgami” lepiej było się nie zbliżać. Na Bazylikańskiej, Ormiańskiej, na Rynku Solnym i koło jatek biegały psy, znaczyły swoje rewiry, sprawdzały, czy nic się w czasie ich nieobecności nie zmieniło. Stąpając na palcach – ciszej nie mogły – w bramach pojawiały się koty. Były jak sfinksy – nieruchomiały i zmrużonymi oczami wpatrywały się w przestrzeń; może widziały coś, czego nie widział nikt inny. Na coś wyczekiwały albo coś chciały przeczekać. Ani oswojone, ani dzikie. Przemykały się jak duchy, ale duchy czego? Miejsca? Duchy tych, którzy tu kiedyś mieszkali? Wiodły żywot skryty, tajemniczy, nie wiadomo, czy przyjazny ludziom, czy niechętny. Jako samowładczy stróże zarządzały bramami i kamienicami. Przesiadywały i leżały na schodach; aby wejść na piętro, trzeba je było odsuwać. Na ciemnych półpiętrach błyszcząły kocie oczy, panowała cisza i unosił się znajomy zapach. Zdaje się, że tych, którzy pojawiali się w bramach, koty traktowały z obojętnością. Liczyły ich albo szpiegowwały? Zimą na schodach było im ciepło, a latem chłodno. Na ulice i poza Stare Miasto wychodziły w poszukiwaniu pożywienia. Ośmielał je kuzyn, ryczący w ogrodzie zoologicznym lew. Po zmierzchu, gdy ulice były ciemne jak niebo, wyłaniały się z bram i szybkim krokiem zmierzały do parku, za nadszaniec, w stronę zarośli i rzeki. Na śmietnikach i w miejscach, gdzie wylewano nieczystości, znajdowały jedzenie. Gdy go nie było – polowały. Ciemność gęstniała, nie paliła się ani jedna latarnia, za zasłonami w oknach ledwo jarzyło się domowe światło, na zwiad ruszały nocne owady. Nad ogrodem zoologicznym i wokół kościoła Świętej Katarzyny krążyły nietoperze. Wtedy ożywiały się strychy. Na dachach uchylały się okienka i lufciki, pokazywały się w nich nieznanne twarze. Jednookie, wykrzywione grymasem bólu lub cierpienia, z uniesionymi w uśmiechu ustami. Trochę zwierzęta i trochę ludzie – ogniwo pośrednie, ale do żadnego gatunku nieprzynależne. Spotworniałe. Podobne do

małp, ale przecież nie małpy. Więcej wiedzano o nich w ogrodzie zoologicznym, tam bowiem przyszły na świat w wyniku zabronionego eksperymentu; niepowodzenie eksperymentu skazało je na wykluczenie ze społeczności zwierząt i wygnanie poza klatki i ogrodzenie. Czyżby miały potomstwo małpa i szakal? Stwory wychodziły na dachy, siadały na szczytach i na kominach. Unosiły głowy i wpatrywały się w księżyc i gwiazdy. Unosiły ręce – czy też łapy – i dawały sobie i miastu znaki. Niektóre miały łyse, inne pokryte zmierzwionymi włosami głowy. Jeden ze stworów, z długimi, kręconymi i opadającymi na ramiona i plecy włosami, siedział na wyszczerbionym kominie z przytkniętym do ust – a jednak były to usta – fletem. Grał. Dźwięki płynęły nieskładnie, nie łączyła ich melodia ani inny, kojarzący się z muzyką zamysł. Niskie i wysokie tony – może znak rozpoznawczy, może skierowane do pobratymców wezwanie, by opuścili strychy – drżały w ciemności i jak pył opadały na dachy i ulice. Taki był koncert jednego muzyka. Gdy stworom znudziło się słuchać i patrzeć na niebo, po rynnach schodziły na ziemię. Szły na czterech łapach, podskakując i chromając, znikwały za narożnikami domów. Cichło chrząkanie i mruczenie, bo tak się porozumiewały. Nie miały imion, nie wiedzano, jakiej są płci, nie wiadomo, dokąd i po co poszły. „Więcej nie wiadomo niż wiadomo”, napisał Adam Ważyk, i ja się z nim zgadzam, gdy myślę o tych istotach.

JACEK DEHNEL

Ciąg Fibonacciego

W osiemdziesiątą zostały prawie same dzieci,
wtedy, bo teraz nie, w siedemdziesiątą
zresztą też, trzęsące się ręce, rozbielone tęczęwki,
jeszcze w sześćdziesiątą było ich więcej,
medale w klapach, przy garsonkach,
ale już wtedy wyglądali na oddział
wystawiony do walki przez dom starców.
Pięćdziesiątą też była emerycka, wcześniej
nie podejrzewali, że starym jest się przez tyle lat.
Czterdziesta, trzydziesta to były jeszcze jakieś
plany na przyszłość, po dwudziestej
usiedli gdzieś i mówili tylko o dzieciach,
przy dziesiątej było tyle ważniejszych spraw
niż

punkt zero

kiedy, gdyby im to pokazano,
gdy pot złobił brudną strużkę w ceglanym pyle,
machnęliby, machnęłyby ręką, na mrzonkę, głupotę,
na śmieszność w obliczu

tego.

Muybridge

dla P.T.

oddech prędkości urywany
włoskami na udach czuję jak
napinają ci się ścięgna pod kolanami
dokąd biegniesz przez ten sen że aż tak
jaki tam las jaka rzeka
gonisz czy uciekasz?
na ile cię znam jesteś ścigany
ale na dobrą sprawę
nie znam człowieka, którym jesteś we śnie
ani ty sam nie znasz człowieka którym w nim jesteś
robiłby rzeczy których ty i ja się boimy
robiłby rzeczy których ty i ja się wstydzimy
nie lituje się nie pyta nie czeka
i wszystko uchodzi mu jawą

Tok

Wielki poeta odbiera nagrodę imienia innego wielkiego poety
wielki poeta dobiega dziewięćdziesiątki
inny wielki poeta od ćwierć wieku nie żyje

Włosy ma siwe i rzadkie ten wielki poeta
mówi z wysiłkiem chodzi z wysiłkiem
żyje z wysiłkiem bo do tych krzyżyków nie ma Szymona z Cyreny

Kiedy ogromne głazy z hukiem spadają z urwiska
łatwo o lament że *takich już nie robią że ostatni z wielkich*
jest o tym osobna strona w słowniku komunałów

Ale toczą się spod szafy małe groszki paciorki
niepostrzeżenie z cichym terkotem
nikt ich nie poznaje kiedy raczkują kiedy stawiają pierwsze litery

Ujmą w nie świat którego jeszcze nie ma
na sposoby jakich jeszcze nie ma

Tocząc się urosną w takie same huczące głazy
i będą tak samo zachwycające

tylko kogo innego

i nad tym ten lament

Na ciebie króle, prorocy

Więc

to jest ten dzień na który czekaliśmy o którym marzyliśmy który sobie
opowiadaliśmy z niepewnym niecierpliwym uśmiechem:

dzień

w którym sięgnąłem do kieszeni marynarki nienoszonej od zeszłego lata
i dotknąłem szorstkiej maseczki zbędnej

Żółto-niebieskie wstążki

teraz kolej na was

Armand Croissant



MAREK KĘDZIERSKI

Søren

Przybywała tu, przed zakrystię, zjeżdżając, niemal codziennie, na swoim osiołku, mówi Søren, i zaraz sam się poprawia, nie, raczej w powozie, ciągniętym przez jej ulubione zwierzęta pociągowe, w otoczeniu niewielkiej świty, damy dworu też korzystały z osiołków, kilku dziś by się powiedziało ochroniarzy nie miało rąk... pełnych roboty. Przybywała bez fanfar. Tylnym wejściem wchodziła, od strony cmentarza, wprost do jadalni. Jej królewska mość. *High tea for Her Majesty*, tak to określano w parafii. Teraz lud mówi *five o'clock tea*. Przybywała z Cimiez, z sybarycko po królewsku wygodnego hotelu, *nomen omen*, Régina, a dokładnie *Excelsior Régina Palace* – czego tu nie było? prąd elektryczny, centralne ogrzewanie, nowoczesna kanalizacja, jak dzisiaj, co ja mówię!, znacznie lepsza niż dzisiaj! *All that for our beloved queen!* Wokół Réginy powalał z nóg wonny aromat kwitnącej roślinności, choć w marcu nie było już mowy o mimozach, które tak sobie ukochała. Z okien hotelu roztaczał się cudownie niepowtarzalny widok na majestatyczną Zatokę Aniołów, panorama jeszcze niezmaczona zwartą zabudową, a więc z Cimiez, dzielnicy na wzgórzach, do parafii, przy obecnej rue de la Buffa, dwa kroki od morza, Wiktoria docierała w ciągu kwadransa, a raczej trzech, to w końcu trzy kilometry, poprawia się Søren. Powrót, pod górkę, zabierał zapewne ponad godzinę. W kierunku morza wszakże orszak sunął bez wysiłku, jak arka Noego, kiedy ustały opady. Potem trzeba było pomóc monarchini zsunąć się z osła na ziemię. A ściśle mówiąc, poprawia się Søren, powstać z małej bryczki i zstąpić na żwirek podwórca przed plebanią. W trzeźwiutko ciemnoszarej, bądź jasnoczarnej, obowiązkowej sukni z krynoliny, nie bez pewnego wysiłku, statecznym krokiem, wkraczała na plebanię, witana już na krużganku przez plebana. A po herbacie przychodził czas na krótki odpoczynek, nierzadko przechodzący w drzemkę. A potem *on and on*, dalej, w kierunku fal, które uderzały miarowo, statecznie, o założoną przez Anglików – no, Anglosasów – wówczas jeszcze skromną, ale już istniejącą promenadę Anglików. Dwa kroki od Holy Trinity, anglikańskiego kościoła Świętej Trójcy.

To przybysze z dalekiej Ameryki wyprosili zgodę miasta na założenie kościoła Świętego Ducha, Holy Spirit Church w 1873 roku. Wcześniej Karol Albert, król Sardynii, nadał Nicei przywilej wykorzystania brzegu morza na cele miasta – jeśli ktoś myśli, że to zawsze była Francja, to się myli. Nicea przechodziła z rąk do rąk, królewskich oczywiście, ręce królów Sabaudii, potem Sardynii, wcześniej Neapolu, i cesarzy Francji... Nawet tak zwana aneksja, przyłączenie tego, co historycy zwą Comté de Nice, nicejskiego księstwa, do tej ostatniej w 1860 roku, nie dla każdego przypieczętowało kompletnie losy miasta. O losach i o spektakularnym sukcesie Nicei zdecydowały choroby, toczące większą część Europy. Tak zwane Lazurowe Wybrzeże zawdzięcza swój zdrowy rozwój, i wręcz istnienie, w dzisiejszym kształcie, wielkim, dużym, i nieco mniejszym chorym i rekonwalescentom – całkiem mali nie mieli środków, aby tu się utrzymać. Do wyboru Nicei predysponowała już sama idea tak zwanego klimatyzmu, w rozumieniu historycznym, klimatyzmu Czarodziejskiej Góry. W tym rozumieniu nie odnosi się on, klimatyzm, do Greta Thunberg i dyskusji, jak zapobiec klimatycznej katastrofie. Wówczas wystarczały katastrofy personalno-egzystencjalne. Cały region obrósł w piórka wraz z ideą klimatyzmu, a więc z podsycaną przez lekarzy wiarą chorych, iż dobrodziejstwa klimatu wyleczą ich z nabytej w innym klimacie choroby. Ta wiara skłaniała do aktywności różnych maści, mającej służyć leczeniu infekcji w rodzaju tuberkulozy – do której to aktywności zachęcają: czyste powietrze, jasne aż do jaskrawości słońce, etos wypoczynku, ćwiczenia fizyczne, umiarkowane zresztą, oraz pożywienie bogate w to, co, według ówczesnych przekonań, służyło zdrowiu. Dzisiaj wiemy, że klimat nicejski sprzyja leczeniu podagry (nazywana, jak wiadomo, chorobą królów), krzywicy i astmy, i rzekomo pomaga tym, których osłabiła praca intelektualna, potrafi jednak być zabójczy na, jak to się ładnie mówi, dotkniętych chorobami krążenia i nerwów.

Pomyślność tego nadmorskiego miasta, jak zresztą całego tutejszego pasa nadmorskiego, osadzona była na zdrowym dla niego fundamencie choroby, toczącej ludność, nie tylko napływową. Kto tu nie chorował! Pod moim nosem, na parterze dawnego pensjonatu rosyjskiego, okna pokoiku, w którym Czechow kreślił ostatnie zdania w rękopisie *Trzech siostr*. Z płucami zżartymi przez gruźlicę, trudno byłoby mu pieszko przebrnąć osiemset metrów dzielących pensjonat od morza, niewykluczone jednak, że nad brzeg Zatoki Aniołów zawiozła go dorożka, i w takim

wypadku, jeśli w marcu 1898 roku, po spędzonej w Nicei zimie, bawił tam jeszcze, już mógł się natknąć na królewski orszak królowej Wiktorii.

Anglosasi to nie tylko odpoczywający w łagodnym klimacie tak zwani zimownicy, to także lekarze z dużym doświadczeniem, inżynierowie, którzy budowali kanały, i architekci, ci, co wznosili budowle, wydatnie przyczyniając się do cywilizacyjnego rozwoju tej tak zwanej dzisiaj milionowej aglomeracji z nicejską metropolią w centrum. Dzisiaj praktycznie cały, niemal stukilometrowy pas wybrzeża, i raczej podle skanalizowany, co widać po każdym większym deszczu, zabetonowany został na amen.

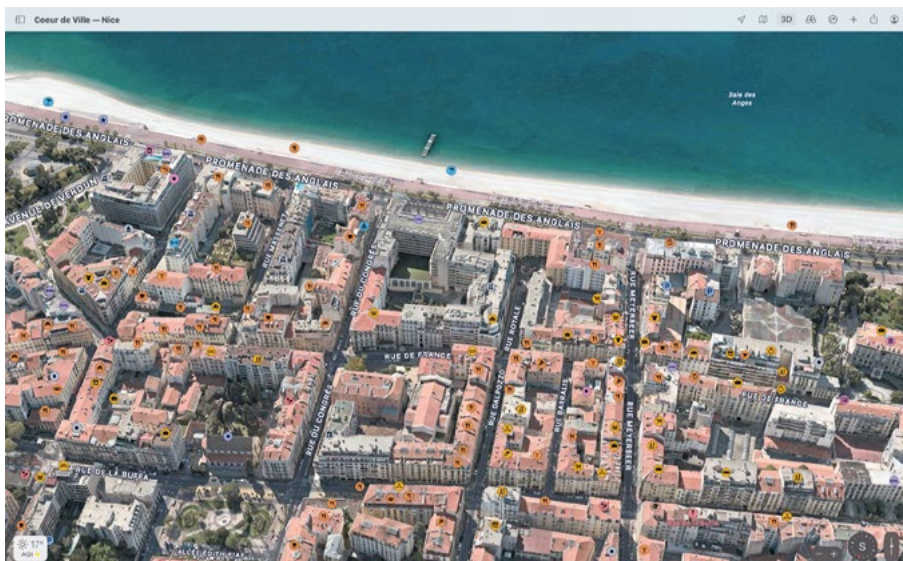
Wracając na ulicę de la Buffa, do trójkąta, a ściślej mówiąc trapezu, wyznaczonego przez bulwar Wiktora Hugo, ujście rzeki Paillon, wznoszący się prościutką linią ku niebu w Aspremont bulwar Leona Gambetty i rzecz jasna morze – ten prostokąt to tak zwany Carré d'Or, czyli Złoty Kwadrat. A wewnątrz niego La Croix de Marbre, Marmurowy Krzyż, centrum dziewiętnastowiecznego Kwartалу Anglików.

Przypadek sprawił, że Lewis Way, świątły absolwent Merton College w Oxfordzie, choć skromny adwokat, o niecodziennym nazwisku znaczącym rzecz jasna „droga”, spisywał testament arystokraty finansowego Johna Waya i spotkanie to, już chyba nieprzypadkowo, zaowocowało przyjaźnią, a następnie przekazaną Lewisowi po śmierci Johna sumą trzystu tysięcy ówczesnych funtów, dzięki której ten pierwszy przestał spisywać testamenty i skupiając się na jednym, przez siebie we właściwych, sprzyjających okolicznościach spisany, stał się filantropem. Dwaj panowie Way, pierwszy po śmierci, drugi za życia, sfinansowali konstrukcję the English Way, szerokiej na niecałe dwa metry drożki Anglików, od zachodniego brzegu wymienionej już rzeczki Paillon (która jednak błyskawicznie potrafi wzbierać i stawać się wzburzoną) do wspomnianego już Krzyża z marmuru. A szkocki architekt z Londynu, W.G. Habershon (a nie jak podaje na oficjalnej stronie francuskie ministerstwo kultury Aberson, tak zwane nieme h często odzywa się we francuskich publikacjach) na kupionym przez parafię w 1885 terenie, obecnie między rue Buffa a rue de France, zaprojektował zrealizowany trzy lata później kościół neogotycki i prezbiterium. Bogatsi parafianie sfinansowali komplet witraży wykonanych pieczołowicie przez londyńską manufakturę Clayton and Bell.

Kościół Świętej Trójcy, anglosaska wyspa w centrum Nicei, zarządzana przez biskupów z Canterbury, acz nie żelazną ręką, bo parafialna autonomia jest znaczna, a parafia w dużej mierze na własnym rozrachunku. Tylko wtedy, gdy zmienia się pleban, wpływ Londynu jest dominujący. Kościół anglikański w Nicei z filią w Vence to do dziś dnia funkcjonujące po angielsku miejsce kultu. Na nabożeństwa, które odbywają się w języku Shakespeare'a i Milтона, rozbrzmiewającym tu w rozlicznych akcentach (od Australii przez Jamaikę, Stany, Kanadę, Szkocję i tak dalej), przychodzą tak stali rezydenci, jak i przejezdni, zazwyczaj Anglosasi przebywający akurat na Lazurowym Wybrzeżu, w odwiedzinach u przyjaciół i/lub znajomych. Także dla przypadkowych i standardowych turystów drzwi kościoła w czasie niedzielnego nabożeństwa stoją, jak to się mówi, otworem, nawet jeśli po rozpoczęciu mszy brama od ulicy zostaje zamknięta, w obawie przed terrorystami.

Czasami wpadają tu gwiazdy i VIPy, wielcy ludzie, dbający jednak zawsze i skromnie o tak zwany niski profil, *low profile*. Którejś niedzieli, niedługo przed pandemią, z niedowierzaniem przetarłem oczy, trudno mi było uwierzyć, że o parę miejsc dalej, w tym samym rzędzie, usiadł profil znany królowej Elżbiecie. Elton John, człowiek w miarę skromny, można powiedzieć. Strach pomyśleć, jaki obrót przybrałyby rzeczy, gdyby w narteksie świątyni pojawił się Gérard Depardieu, wielki olbrzym kina światowego, a zwłaszcza francuskiego, otyła ikona nieskromności, co to nie jest w stanie trzymać w ryzach całej rozbiegającej się we wszystkich kierunkach, włącznie z moskiewskim, galaretowatej somy. Zebranej w kupę jedynie poczuciem własnej wartości, alfa samiec, dyszący jak Donald Trump na widok łupu, któremu nie wiadomo, czy uda się umknąć. Chłop dopiero co umartwionemu jadłu i jeszcze żywej samicy nie przepuści.

Elton John, kiedy go zobaczyłem w moim rzędzie parafian, emanował pozytywną energią, jeśli mogę tak się wyrazić. Osobowością mniej znaną – powszechnie – ale za to wiernym, który często przychodził do parafii, był John Montague, wielki irlandzki poeta, mieszkający przy rue d'Angleterre, znowu Anglia w nazwie, choć dla niektórych Irlandczyków nie jest wcale błogosławiona i choć okolice ulicy Angielskiej, o krok od dworca, trudno uznać za *bon quartier*. John, urodzony w Nowym Jorku poetycki geniusz Irlandii, a przy tym człowiek skromności oso-



Topografia obecna, w telegraficznym skrócie. Brzeg morza podług linii południowy zachód (lotnisko) – północny wschód (port i trasa via Monaco) i Menton do granicy włoskiej między Menton i Ventimiglią. Między portem a hotelem Negresco ujście rzeki Paillon, przykryte w całości terenami parku. Od ujścia Paillon do lotniska siedmiokilometrowy odcinek Promenade des Anglais. Na południowy zachód od ujścia Paillon, od rue du Congrès do bulwaru Gambetta równoległe do linii brzegu ulice: 1. rue de France, 2. rue de la Buffa, 3. rue Joffre i 4. bulwar Hugo. Odległość do skrzyżowania rue du Congrès z Promenade des Anglais do hotelu Le Negresco przy promenadzie – pięćset metrów, do Kościoła Holy Trinity dwieście pięćdziesiąt metrów.

Poniżej centrum Nicei widziane w kierunku na Północ, od strony morza.



bistej dorównującej artystycznej wielkości jego dzieła, obdarzony niesamowitym taktem, współ-czujący z malutkimi świata tego. Tak, na terenach parafii spotykała się czasami cała plejada fascynujących ludzi. Choć po stroju trudno ich odróżnić, garderoba nie zdradza od razu *who's who*, mówi Søren.

Søren. No więc Søren nie jest Anglikiem. Ani Szkotem, Walijczykiem, Irlandczykiem. Do anglosaskiej drużyny nie należy od urodzenia. Nigdy nie postawił stopy w Australii ani w Nowej Zelandii. Bywał w Południowej Afryce, owszem, był w Ameryce Północnej, tak, ale angielskiego nauczył się w Szwecji. Tam, na północ od Sztokholmu, w eleganckiej willi w stylu Tudorów – tak, Tudorów, wbrew pozorom wille w stylu Tudorów budowano nie tylko w Bristolu czy Foxrock, lecz także na przykład w Skandynawii – od wczesnych lat rodzice i brat zapalali kolejne świece na torcie urodzinowym Sørena. W pięknej willi, ale i w strasznym klimacie, przynajmniej dla kogoś, kto ceni sobie słońce i ciepło, w skali roku. Choć kiedy tę część Europy opanuje słońce, świeci ono nad urzekającym pięknem absolutnej nadbałtyckiej riwieri. Ale niezbyt długo i nie tak intensywnym światłem, jak na Promenade des Anglais.

A wracając na Promenadę: wytyczona już w 1836 roku przez architekta miasta Nizza ścieżka, do 1860 roku znana jako Lungomare degli Inglesi, kilkanaście lat później ma już jedenaście metrów szerokości i podwójny rząd drzew, wyobrażam sobie, że palm, i sięga do Magnan. W czasie, kiedy purytańska, ale lubiąca monarsze wygodę Wiktorja zjeżdża z pomocą osiołków do parafii na popołudniową herbatkę i drepcze dalej, do samego morza, przy nadmorskiej promenadzie, przedłużonej już wtedy do Carras, a więc jakieś pięć kilometrów za Magnan, wybudowane z umiarem i smakiem spokojne wille, już okazałe, ale nie nadwymiarowe, nie ustąpiły jeszcze miejsca wypasionym hotelom. West-End, Westminster czy, rzecz jasna, obowiązkowy Le Negresco, powstały dziesięciolecie po jej śmierci. Wiktorja spędziła w Reginie trzy wiosny ostatnich lat jej stulecia, więc zaglądała do Świętej Trójcy przed i po Wielkiej Nocy 1897, 1898 i 1899 roku.

Nie pamiętam, od kiedy jej ulubionym stał się osioł Jacquot, którego jej wprawne w materii zwierząt oko wypatrzyło na ulicy, chyba w pobliżu Cannes. Monarchini sama negocjowała cenę z wieśniakiem, którego powóz zwierzę ciągnęło. Dowiedział się, że zapłacił za nie 100 franków, zaproponowała dwieście. Targu ubito

w mgnieniu oka. *Coup de coeur*, miłość od pierwszego wejrzenia, była podobno odwzajemniona. Jacquot zastąpił dotychczasowego faworyta Wiktorii, szkockiego osiołka imieniem Pierrot. Pod koniec wieku obu usunął jednak w cień podarowany monarchini młodzietki biały osioł z Egiptu. Jeśli Pierrot żył jeszcze, to wszystkie trzy spędzały zimę 1899/1900 w dżdżystym klimacie wysp brytyjskich. Jacquotowi nie było już dane powrócić na Lazurowe Wybrzeże. Nie tylko kryzys polityczny powstrzymał Wiktorię od przyjazdu do Nicei. W posępnym początku nowego wieku wojen, kiedy brytyjska armia masakrowała Boerów w Afryce Południowej, jej mocarstwo stało się na naszym stałym lądzie niepopularne. Gorzej jeszcze, od Nicei odcięła ją postępująca choroba. Reumatyzm nie pozwalał się poruszać, katarakta uniemożliwiała widzenie. Prawdopodobnie wylew położył kres jej cierpieniom.

Oprócz wymienionej wcześniej podagry, schorzenia tak zwanych klas próżniaczych, nie stroniących od imprez i alkoholu, choroby brytyjskich królów poczynawszy od Henryka VIII, jeśli nie wcześniej, Wiktoria cierpiała na inną królewską chorobę, hemofilię – i w tym wypadku to ona wprowadziła owo schorzenie w arystokratyczny krwiobieg Europy. Widocznych jego śladów nie stwierdzono u Windsorów wcześniej. Jej rodzice, książę Edward i Wiktoria, niemiecka księżniczka z Coburga, nie zdradzali symptomów hemofilii. Wiktoria dzieciństwo miała zdrowe, na tron wstąpiła w wieku lat osiemnastu, ukochanego kuzyna Alberta poślubiła trzy lata później i dopiero trzynastcie lat po ślubie, po urodzeniu ósmego potomka, kolejnego Alberta, okazało się, że choroba zagościła na dobre w królewskim rodzie. Uwielbiana *grandmother of Europe* pozarażała (*sensu largo*, oczywiście, działając jako prze-nosicielka) monarsze kręgi od dalekiej Rosji carskiej, przez cesarstwo wilhelmińsko-bismarckowskie, aż po księcia Asturii i jego potomków.

Nie wiadomo, jaki los spotkał Jacquota, Wiktoria nie przekraczała już granicy Królestwa. Umierając, nie miała nadziei, ale wierzyła: „Gdybym była teraz w Nicei, wyzdrowiałabym”. No a w Nicei, po wybudowaniu hotelu Régina, powstałego z jej inspiracji, a przynajmniej nią inspirowanego, z myślą o jej przyszłych wpływach i wartości handlowej (wymarzona osoba na rozpoczęcie kampanii turystycznych), nie dało się już zahamować trendu. Wyjątkowo okazałe rezydencje i luksusowe hotele zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. Nikt zresztą nie próbował tego trendu hamować.

Właśnie w marcu 1899 roku, kiedy Wiktorja, zdaniem Sorena – tak twierdził Jonas – zjeżdżała na osiołku nad brzeg morza, na promenadzie nadmorskiej ryzczały już silniki spalinowe. To tam odbyła się po raz pierwszy *la Semaine de Nice*, tak zwany Nicejski Tydzień, w ramach którego obok konkursów piękności, elegancji czy na przykład batalii kwiatów (starsza pani uwielbiała ich aromat także w Menton) ktoś wymyślił próbę *vitesse terrestre*, prędkości naziemskiej lub naziemnej. To tam, na promenadzie, okres dreptania na osiołkach zakończył się inauguracją epoki pędzących samochodów. Między dzisiejszym Nabrzeżem Stanów Zjednoczonych a Negresco, 13 kwietnia 1902 roku Léon Serpollet pobił w aucie Gardner-Serpollet rekord szybkości, osiągając nieziemskie wówczas sto dwadzieścia kilometrów na godzinę (już widzę jak Elon Musk ostrzy sobie zęby na gigantyczną imprezę Starlink Tesla – oby jak najprędzej! – i bez wycieków, wystarczy lekki zapach gumy pozostawionej na asfalcie). Potem na promenadzie, przynajmniej w pewne tygodnie, było jeszcze szybciej, smrodliwiej i głośniej – między 1932 a 1947 rokiem jej okazały fragment stał się odcinkiem wyścigu Grand Prix automobile de Nice. Wygrywały auta Maserati, Alfa Romeo i Bugatti, za zwycięską kierownicą sami Włosi i jeden Monakijczyk – ani razu nie wygrał Francuz, więc gdy ów *grand prix* zawieszono, jak się okazało, na zawsze chyba, nicejczycy nie musieli oplakiwać francuskich mistrzów kierownicy.

Filmy z tamtej epoki krążą po nostalgicznych portalach internetowych w rodzaju *Comté de Nice et son histoire*. Pod czarno-białą fotografią, chyba z końca lat pięćdziesiątych, sądząc po modelach aut renault, peugeot, citroen i simca, umieszczoną na portalu przez Jacquesa Morela, znajduję kilka tak zwanych wpisów. Pozwolę sobie zacytować. Niejaki Jean-Claude Lacroix komentuje „Bardzo piękna fotografia. Francja należała wówczas do Francuzów”, co wzbudza polemikę tylko jednego członka grupy. Jean-Loup Gallas pisze do Lacroix: „Nie rozumiem, a dziś należy do kogo? W tamtych pięknych czasach poborowi ginęli na wojnie w Algierii, na emeryturę ludzie chodzili w wieku 65 lat, jeżeli wcześniej nie umarli, w mieszkaniach nie było łazienek, poziom życia większości Francuzów był bardzo liche, kobiety nie mogły mieć książeczek czekowych na swoje nazwisko, dostawały dużo niższe pensje, tydzień pracy wynosił 45 godzin, wakacje były trzytygodniowe i to nie dla każdego, nie chodziło się do dentysty, bo był za drogi. NIE, nie było lepiej...”.

Wracając (znowu!) na Promenadę: Okres powojenny skutkował zacementowaniem na amen, i to bezlitośnie chyżym krokiem, nadmorskiej promenady. Mieszkać na Promenadzie i widzieć całą Zatokę Aniołów, a z górnych pięter przy przejrzystym powietrzu nawet Korsykę, to jedna sprawa, do morza jednak, tak bliskiego, musi się przedzierać się przez tor wyścigowy, a z dolnych pięter wąchać to nawet przy zamkniętych oknach, to zupełnie inna sprawa. Co oznaczało osiem pasów ruchu przed pierzeją ulicy, wypełnionych autami napędzanymi benzyną ołowiową, albo ulubionym przez Francuzów jeszcze teraz paliwem dieslowskim, można sobie wyobrazić. Promenadę ukochali sobie organizatorzy wyścigów automobilowych, tak autoryzowanych, jak i dzikich. W komedii filmowej *L'homme orchestre* z 1970 roku Louis de Funés (który nawiasem mówiąc posiadał mieszkanie *vis-à-vis* parafii przy rue de la Buffa) co najmniej osiem razy próbuje z piskiem opon ruszać spod świateł w czerwonym fiacie 124 sport coupé, pod kolejnymi światłami tłumacząc, że musi wygrać, bo jest dyrygentem w Monaco. Dziś promenada jest odrobinę cichsza i nieznacznie spokojniejsza. Po wybudowaniu nowoczesnej linii tramwaju, łączącej lotnisko na jej zachodnim krańcu z portem, tramwaje w centrum jeżdżą pod ziemią. Z promenady znikło osiemdziesiąt procent autobusów, a te, które wciąż jeżdżą, mają w coraz większej części napęd elektryczny.

Zredukowano też ośmiopasmową jezdnię do pasm sześciu, co było, niestety, częścią zabezpieczeń (na przyszłość) po tragicznym finale Quatorze Juillet w 2016 roku. Rajdowcowi, prowadzącemu ciężarówkę, nie zależało na tempie w rozumieniu kilometrów na godzinę. Polował na ludzi. Dwutonowy pojazd dwukilometrowy odcinek od szpitala dla dzieci Lenval (założonego *nota bene* przez polskiego filantropa) pokonał w czasie długich dziesięciu minut, jako że jechał zygakiem. Kiedy za dużo było przeszkód na deptaku, zabijał ludzi na jezdni promenady. Masakra trwałaby dłużej, gdyby ciężarówki nie zatrzymały w biegu kule posłane w kierunku Nicejczyka z Tunezji przez dwóch policjantów na służbie. To oni wyznaczyli metę wyścigu, dwieście metrów za Negresco, przy pretensjonalnie masywnym budynku Palais de la Méditerranée. Negresco i inne hotele zamieniły się w szpitale polowe. Kierowca staranował ponad pięćset osób, osiemdziesiąt sześć nie przeżyło ataku. Język francuski ma eleganckie określenie na tego typu zamachy, *à la voiture-belier*, w stylu samochodu-barana. To dość popularna forma wyrażania niezadowolenia,

niedawno w ten sposób zaatakowano dom mera w podparyskim miasteczku. Jeden, w poczuciu wściekłości, wjeżdża w dom mera, drugi w tłum przechodniów.

A potem nastąpił następny epizod, koniec rozdziału w życiu nicejskiego bezdomnego. Pewnego pięknego przedpołudnia w marcu 2022 roku na przejściu dla pieszych przy rue du Congrès, dwa kroki od miejsca, gdzie strzały policjantów zatrzymały wspomnianą dwutonową ciężarówkę, przed wspomnianym Pałacem Śródziemnomorskim, ciężarówka, choć mniejszych rozmiarów, biała furgonetka, równie niespodzianie, choć mniej brutalnie, staranowała Sørena. Nie w celu radykalno-religijnym, tylko przez nieuwagę kierowcy, mówi Jonas o Sørenie. Choć Jonas nie widział tego wypadku. Choć przebywał niedaleko. Søren był ostatnią ofiarą na przejściu, chyba że ktoś będzie chciał przejść w tym miejscu przez Promenadę, że tak powiem, na dziko. Po wypadku Sørena miasto Nicea zlikwidowało przejście dla pieszych przy rue du Congrès. Teraz, jeśli ktoś wybiegnie z kasyna lub z imprezy w Pałacu Śródziemnomorskim w przypływie euforii (że wygrał w automatach na monety) lub w przystępie rozpacz (że zrujnował się w ruletkę) i w drodze ku Zatoce Aniołów zmiecie go z asfaltu jakieś auto, nim do aniołów dotrze, uczyni to na własną odpowiedzialność.

Parę minut przed wypadkiem pozdrowił Sørena recepcjonista z hotelu Westminster. Niektórzy, nieco starsi wiekiem, kelnerzy z West-Endu i z Westminster, a także elegancko umundurowani odźwierni z Negresco, jeszcze go rozpoznawali, po tylu latach jeszcze pozdrawiając przyjacielskim wołaniem *Bonjour Mr Soren* albo *Bonne journée Mr Soren*. Widocznie z ich pamięci trudno wymazać zostawiane przez niego, im właśnie, sowite napiwki. Pamięć zwłaszcza mimowolna, chodzi własnymi ścieżkami. I ma własne prawa.

Søren, szwedzki wykwit, a raczej transplant, na nicejskiej tkance. Co zdarza się raczej rzadko, choć w południowej Francji przebywa od wielu dziesięcioleci wielu rezydentów ze Skandynawii. W Nicei na ulicach i na plaży często słyszy się szwedzki. Dostyc szybko wyławia szwedzkie umlauty, a zwłaszcza tak zwane podwójne tony, wprawne ucho. Podwójne tony polegają na tym, że na przykład słowo Strindberg wymawia się, równie mocno akcentując sylabę *strind*, jak *berg*, ta ostatnia, nawiasem mówiąc, dla polskiego ucha, brzmi jak *beri*. Tym samym tonem, podwójnym,

wymawia się nazwisko Bergman. Najpierw *beri*, czyli góra, potem *man*, czyli człowiek, wysokogórski, nawet jeśli nigdy na wysokie góry się nie wspinał.

A wprawne oko wyłowi Szweda z tłumu, tak po sylwetce, tak zwanym chodzie, czyli stylu chodzenia, bo to jest styl, tak jak i stroju. Klasyczny Szwed, teraz oczywiście coraz mniej Szwedów podpadałoby pod kategorię Szwedów klasycznych, chodzi po promenadzie, rozmawiając po szwedzku, lecz nie tylko przez to wyróżnia się z tłumu, klasyczny Szwed, proszę państwa, mówi Jonas, innej jest urody, a przede wszystkim innej ekspresji ciała, mówi Szwed Jonas, który, podobnie jak Søren, godzinami wysiadywał na promenadzie. Szwed, klasyczny, mówi Jonas, inaczej się też do ciebie zwraca. Do siebie też – patrząc z daleka na rozmawiających Szwedów, ja też od razu spostrzegam, że rozmawiają z sobą, między sobą, inaczej niż inni. Tak uważasz?, reaguje Jonas, a ja potwierdzam, że tak.

Dwadzieścia lat temu Søren, w całej swej skandynawskiej fizyczności, przyjeżdżał tu, do Nicei, w krótkich przerwach w pracy, po to, aby odetchnąć od pracy, i od Sztokholmu, aby oddychać nicejskim powietrzem. Jak tysiące innych przyjezdnych z północy chciał zaczerpnąć w płuca śródziemnomorskiego powietrza, nacieszyć się Niceą i Niceą nasycić, zakosztować tego *esprit Méditerranée*. W Nicei, nawiasem mówiąc, powietrze jest znacznie bardziej zanieczyszczone niż w Sztokholmie, podobnie jak woda, choć tego nie widać, nie wszyscy to czują. Zaczerpnąwszy nicejskiego oddechu, wracał do rzetelnej pracy w trzeźwym Sztokholmie. We wcześniejszych latach, latach pracy, w przerwach w pracy jechał ze Sztokholmu, potem, w późniejszych latach, kiedy nie pracował, albo pracował mało, w przerwach jeździł do Sztokholmu. Przed piętnastu laty Søren nagle ze Sztokholmu uciekł, choć jeszcze nie na promenadę, mówi do mnie Jonas na promenadzie, uciekł do Nicei, do której uciekał ze Sztokholmu, po to, by odtąd uciekać do Sztokholmu, wracać do Sztokholmu jako uciekinier, do siebie, tylko w krótkich przerwach. Uciekał od siebie i uciekał do siebie, potem już tylko uciekał, choć utknął na dobre w jednym miejscu. A potem tu utknął, już na stałe, jak mówił mu Søren, twierdzi Jonas, z własnej woli. I przestał stąd wyjeżdżać. Na stałe, czy na zawsze, oto jest pytanie.

Wykapany Szwed, podobny jak dwie krople wody, lub whiskey, do swego ojca, mówił Jonas. Okaz Szweda kompletnego, *hook, sink and line*. Rodziny Sørena nikt

nigdy nie widział tu na oczy, własne, mówi Jonas, pominąwszy to, że nagle w Nicei, dzień po wypadku syna, zawitał naraz, na Promenadzie, jego ojciec. Jego ojciec, podobnie jak ojciec Ingmara Bergmana, to surowy pastor, powiedział Jonas. Natychmiast przyszła mi do głowy myśl o Fanny i Alexandrze. Chłód, chłód zawsze i wszędzie. A od filmu Bergmana przeszedłem, może nie całkiem logicznie, do *Białej wstążki* Haneckiego. Mroczne strony ludzkich społeczności. Czy z Bogiem, czy mimo Boga, to też jest pytanie. Dramatyzuję oczywiście, według Jonasa, ojciec Søren był ponoć całkiem sympatycznym gościem.

Wykapany Szwed, owszem, Szwed Szwedem, zgadzam się, Jonas ma rację, choć nie w stu procentach, choćby dlatego, że Jonas jedną rzecz przeoczył, może zignorował, nie wykluczone, że nie był jej świadomy, generalnie, choć, moim zdaniem, bardziej prawdopodobne, że w chwili, kiedy mi to mówił, nie był jej świadomy chwilowo, tego wieczora spędziwszy bardzo wiele chwil ze swym ulubionym trunkiem. A mianowicie? Czego nieświadomy? Tego mianowicie, że Søren, jak sama nazwa wskazuje, czyli jego imię, pisownia bardziej niż wymowa, stuprocentowym Szwedem być nie mógł. Miał bowiem Dunkę matkę. Urodził się w Kopenhadze, z Kopenhagi pochodziła jego matka, Dunka. Choć matka Dunka poślubiła ojca Sørena w Szwecji, i w Szwecji już jakiś czas z nim mieszkała, jakiś tydzień, kilka dni przed porodem zapragnęła odwiedzić swoją matkę w Kopenhadze, Christianshavn. To było przed 1968 rokiem. Matka matki była pozytywnie nastawiona, po posiłku rozstały się w spokoju, w pokoju ducha, ledwie jednak jej córka stanęła w progu pokoju, w którym miała spędzić noc, coś chlupnęło, coś przedarło się przez majtki ciążowe, nagle odeszły wody porodowe, pękł płodowy pęcherz, kilkanaście litrów płynu rozpląnęło się na sosnowej duńskiej podłodze, nie było nawet czasu, by zawiadomić męża i ojca, męża matki, ojca Sørena, o tym fakcie, nie było telefonii komórkowej, nawet automatycznych sekretarek, ojciec i mąż dowiedział się *post factum*. Matka, nie chcąc niepokoić rodziców, nie chciała dzwonić z telefonu w pokoju stołowym, wyszła w panice przed dom, w poszukiwaniu taksówki. *Skodsborg Strandvej*, tę ulicę wymieniała matka tyle razy już od jego dzieciństwa, później jednak okazało się, że aż tak daleko matka nie musiała jechać, bo tak zwane rozwiązanie dokonało się dużo bliżej Christianshavn, w szpitalu Bispebjerg.

Søren urodził się więc pod inną gwiazdą niż jego brat Micha, późniejszy komik, który też przyszedł na świat w bezchmurną czerwcową noc, dwa lata wcześniej, niemal co do dnia, a wieczory czerwcowe na północ od Sztokholmu trwają w nieskończoność, światło gaśnie godziny później niż w Kopenhadze. Narodziny brata odbyły się w zgodzie z przyjętym przez medyków kalendarzem, w rodzinnym domu. Akuszer obawiał się, że nie prędko się skończą. Ojciec-pastor czekał na poród w pokoju obok, w tak zwanym *hobby room*, w którym często zamykał się, aby móc lepiej się skoncentrować. Tym razem koncentrował się przy dźwiękach *Verklärte Nacht* Arnolda Schönberga. Chciał już zmienić płytę, blisko finału, w samej końcówce sekstetu, w smyczki wdarł się tubalny głos akuszerza, Panie pastorze, już jest po! Po wszystkim.

W przypadku Sørena, to wszystko dłużej trwało. Søren po raz pierwszy, jak to się mówi, ujrzał światło dnia w Bispebjerg Hospital. Jego ojciec pastor ujrzał swego syna po raz pierwszy parę dni później, kiedy dotarł do Kopenhagi – w objęciach żony i matki, w pokoju jadalnym babci.

Nie wiem, jak jest w Danii, lecz w Szwecji Bóg jest raczej świecki, a jeszcze precyzyjniej się wyrażając: ... cywilny, podkreślał Jonas. Jego zdaniem, Søren, od najmłodszych lat przyzwyczajony do Boga, surowego ojca, może nie tak, jak w filmie Bergmana, ale dużo surowszego niż Bóg katolicki, w Nicei odnalazł się w kościele anglikańskim. To tam, na rue de la Buffa, trafił w czasie jednego ze swych lipcowych pobytów w hotelu West-End, lub Westminster, już nie pamiętam, którym. Czy stało się tak z powodu... za sprawą języka, czy nie, Søren bardzo dobrze, jak to się mówiło, władał angielskim, czy za sprawą pastora Paula, wykształconego w Oxfordzie, którego kazania, choć, jak mówił, apelowały do serca, jednocześnie stanowiły misterną konstrukcję – to była architektura intelektualna najwyższych lotów. Paul jeszcze przed studiami, a był to czas wojny w Wietnamie, sam zadawał sobie pytania o sens wiary, i jak wielu w jego wieku czuł wielki gniew. Nie przestał chodzić do kościoła, ale czuł w sobie wielkie rozdarcie, dopiero potem zdał sobie sprawę, że fundamentalne ludzkie pytanie, dlaczego Bóg pozwala na takie cierpienie, jest częścią dojrzewania duchowego, czymś całkiem normalnym dla myślącego i skłonnego do rozmyślań nastolatka. Słowa Paula. Wszakże bez tendencji do rozczepiania włosa na czworo.

Z tej duchowej szarpaniny wyzwoliła Paula lektura Bertranda Russela, studia filozoficzno-teologiczne, a przede wszystkim działalność kapłańska. Teleologia!

Myśl o śmierci jako realności, mówił Paul. Rozmowy z Paulem zbliżyły Sørensa do kościoła. Rozmowy o religii i filozofii. Religii i filozofii, które Paul znał dobrze, ponieważ je studiował i które Søren dobrze znał, choć ich nie studiował. Domeną Sørensa było bowiem coś, czego ludzie niekoniecznie, i nie od razu, łączą z filozofią i religią. Søren był dyplomowanym fizjoterapeutą, ergo-terapeutą, masażystą, akupunkturzystą, więcej nazw nie pamiętam, uczynił z ciała ludzkiego, mięśni, stawów, ścięgien, kości, nerwów, węzłów chłonnych, pole walki z chorobą. Miał wielką inwencję, talent do wymyślania kolejnych terapii i podobno we wszystkich się odnajdował, jako terapeuta, we wszystkich się sprawdzał. Jeśli nie w stu procentach się sprawdzał, to w stu procentach się odnajdował. Własnoręcznie i własnomóźnie, że tak powiem. Jako fizjoterapeuta, ergo-terapeuta, masażysta, akupunkturzysta, więcej nazw nie pamiętam, które sam aplikował do ciała pacjentów. Miał wycucie tego, co pacjentowi pomoże, intuicja rzadko go myliła. Znajdował sposób, czasami fortel, by odnaleźć się w ciele pacjenta, w kimś, komu mógł i chciał pomóc. Wola pomocy była zawsze punktem wyjścia, terapie były punktem dojścia, rzecz jasna w terapii dochodził tam na chwilę tylko, było to dojście do pewnego etapu. Jedna jego terapia wymagała drugiej, odsyłała do drugiej, wynikała z drugiej – wszystko służyło ulepszeniu ciała. Ulepszenie, według Sørensa, nie znaczy, że ciało stanie się lepsze, czyli, że jest dobre, a będzie jeszcze lepsze, czyli nie tak złe, jak teraz, w danej chwili, że terapia zapobiegnie gorszemu, uśmierzy ból, przyniesie ulgę w chorobie, odpowie na szach schorzenia, wymknie się, odłoży na jakiś czas, odwlecze, szach mat, bo ta gra zawsze się kończy klęską chorego. Cytował Jonas. Ale trzeba próbować ją grać w nieskończoność. Do czasu.

Inwencja Sørensa, poparta jego filozofią leczenia, czyli grania, głoszoną przez niego *implicite* koncepcją grania, lub grywania, jeśli nie pogrywania, z chorobą, w szachy, chorobą na śmierć, cytował Søren, pozwoliła mu obrócić zręczną manipulację chorym ciałem w całkiem intratny biznes. Finntorp, Henriksdal, Årsta to etapy sukcesu Sørensa – zaczynał w oddalonych od centrum północnej stolicy dzielnicach, potem przeniósł swoją praktykę, czyli jak to się u nas mówi, gabinet fizjoterapeuty do

lokalu przy Drottninggatan. Najpierw przyjmował i leczył w mieszkaniu wynajmowanym na korzystnych warunkach od Michy, który – rzecz jasna wbrew woli rodziców – błyskawicznie zabłysnął w Sztokholmie jako tak zwany *stand-up comedian* (szwedzki nie miał na to słowa lub słów), potem już we własnym lokalu w kupionym na ten cel mieszkaniu piętro wyżej. Biznes na Drottninggatan, ulicy Królowej, chwycił, jak to się mówi, błyskawicznie, mówi Jonas, i w spektakularnym tempie zaczął przyspieszać i rosnąć. W tej kolejności, przyspieszać i rosnąć. Uczył pacjenta pogrywać z chorobą, czasami z chorobą na śmierć, choć mogło się okazać, że to śmierć z nim pogrywała.

Søren, mówi Jonas, otworzył kilka punktów terapeutycznych w Sztokholmie i jeden w Umeå, niedaleko największego w Norlandii szpitala uniwersyteckiego, który niemal masowo po uniwersyteckiej terapii dostarczał mu licznych wykonanych nią pacjentów. Których Søren i jego personel przywracali do życia, na ile to było możliwe. W warstwie psychologicznej, do pacjentów w Sztokholmie i w Norlandii zwracał się Søren z bezpośredniością raczej na tej szerokości geograficznej nietypową, rozmawiał z nimi z egzystencjalną uwagą, w wielkim skupieniu, i podobnie traktował szkolonych przez siebie terapeutów. Jak równych sobie.

Nagle jednak przestał sam urabiać ciała chorych i bolejących. Z jakiegoś powodu, myślę – w narracji Jonasa nie jest to oczywiste – Søren zaczął myśleć o tym, by zaszyć się gdzieś na Gotlandii i zacząć spisywać swoje przemyślenia, na równi z tym, czego doświadczył, opowiedzieć o tym, do czego dotarł, sformułować to, co opowiadał pacjentom i szkolonym przez siebie terapeutom. Choć w końcu nie wybył ze Sztokholmu na Gotlandię, tylko wybrał emigrację wewnętrzną, zaczął żyć po spartańsku, tak to ponoć nazwał w rozmowie z Jonasem, twierdzi Jonas, i zaszył się w okolicach wielkiego Sztokholmu, otoczony wodą i zielenią, przez pół roku brązową, powierzając prowadzenie praktyk zaufanym pracownikom, których zawsze starał się traktować na równi z sobą, dodał, jednym tchem, Jonas. Zatrudnił ich, pracowali u niego, dla niego, ale chciał ich traktować jak współ-pracowników. Współ-pracujących. Gdybym miał tu teraz własną praktykę, zatrudniłbym cię na równych warunkach (równych czemu?) i nauczył mego rzemiosła od zera, miał powiedzieć Jonasowi.

Zaufaniem obdarzał wielu, jak się okazało, zbyt wielu, nadmiar zaufania miał go zgubić, najpierw finansowo. Zaufał bowiem doradcy finansowemu, który doradził mu ulokowanie kapitału w funduszach za oceanem. I kiedy w 2008 roku doszło do tąpnięcia – wielkiego załamania, *il vero crollo!* – z powodu ufnej natury Sørena, najpierw po cichu, potem coraz głośniejsze, rozpoczął się koniec Sørena-przedsiębiorcy. Wraz z upadkiem i końcem Lehman Brothers, bo jak się okazało, w tym banku inwestycyjnym zainwestował Søren większą część swego kapitału, cały swój kapitał, twierdzi Jonas. Stracił wszystko, cytuję kościelnego. Stracił w Sztokholmie wszystko. To było bankructwo. Z dnia na dzień. Noc. Zaczęła się noc. Wyjechał do Nicei. Noc pod oślepiającym – niektórych! – słońcem południa. Tym samym, jak na Północy.

Załamał się, Søren musiał się załamać, ale nie od razu, z początku się nie załamywał, najpierw załamał się tylko częściowo. Choć kiedy o tym teraz myślę, myślę, że już wtedy zaczął się jego, jak to nazwać? – w jego języku łatwiej niż w moim, *nedgång, avgång, undergång*, jego zejście, odchodzenie, coraz niżej, ruch w dół, na dno. *Descensus spectaculi*, jego zstąpienie, zejście – może nie do piekła, nie od razu, ale schodzenie coraz niżej, ku dnu, w kierunku głębi. *De profundis* to dopiero będzie. Więc krach na giełdach był zewnętrznym sygnałem, znaczył dla Sørena początkowy etap tej nocy, nastającej powoli i, jak się okaże, nieubłaganej, początek złej passy. Choć przecież nic nie wskazywało, lub jeśli nawet, to niekoniecznie, że to był początek końca, najwyżej jakiejś tendencji może. Można bowiem było mieć jeszcze nadzieję, że ów trend, że tak powiem, mógłby się odwrócić, że to nie był jeszcze koniec. Bo to nie był jeszcze koniec. Nie ostatni etap.

Søren próbował tym się zanadto nie zrażać, znalazł skromne locum w północnej części miasta, Nice-Nord, na którą słońce świeciło tak samo, jak na dzielnicę kompozytorów, włączając Złoty Kwadrat i hotel Negresco, tak samo łaskawe, na tym jednak kończyły się podobieństwa. Na północy nie było łaski. Północ była bezlitosna. Nice-Nord to tereny trudne socjalnie, obszar, na którym najwyraźniej w świecie, dzień w dzień, jak na dłoni, widać klęskę prowadzonej w Nicei, i we Francji generalnie, polityki socjalnej. Z tej niedalekiej od południa miasta jego północy codziennie przemieszczał się Søren w kierunku śródziemnego morza. Nad które

przychodził z małą tabliczką, rozkładając swój warsztat dwa kroki od Negresco, na deptaku promenady. Na tabliczce, przykładowo, umieszczał treść w rodzaju „Profesjonalny masaż w dziesięć minut”, obiecując: „Jeden kwadrans, a będziesz się czuł jak nowo narodzony”, po francusku, a po angielsku, na przykład *Physiotherapy and massage of your back. Satisfaction guaranteed or your money back*. Można by powiedzieć, że na tym polega pokora, potulność, uniżoność, ale nie poddanie, to nie są odpowiednie słowa, jest cnota. Jedną z restauracji na plaży, przed hotelem Le Méridien, dopóki miasto nie zakończyło siłowo jego licencji, prowadził wtedy inżynier ze Sztokholmu. Kiedy zaprzyjaźniona z nim grupa Abba uczestniczyła w kilkudniowych „animacjach kulturalnych”, Søren na kilka miesięcy przenosił swój warsztat pracy na tak zwane Lido. Tam urzędował, na deptaku nad restauracją albo na plaży obok, na kamieniach. I miał pełne ręce roboty. Na chwilę odżył.

Starczyło jednak kilka miesięcy niskiej frekwencji lub całkowitego braku pacjentów, by Sørenowi nie starczyło pieniędzy na czynsz za skromne mieszkanie na nicejskiej północy. Nie mógł starać się o wsparcie miasta, o tak zwane *allocations*, ponieważ nie zdołał dostarczyć ze Szwecji wymaganych dokumentów. Kościelny sugerował, że nie mógł ich zdobyć, bo w Szwecji nie zapłacił podatków, ponieważ, to wciąż kościelny, po prostu nie miał z czego. W konsekwencji, musiał przenieść się na ulicę. W Szwecji był spalony, mówi Jonas.

Przeniósł się na ulicę. Na tej tak zwanej ulicy niedługo później wykryli go pomagający bezdomnym wolontariusze. Miasto przeznaczyło dla takich „osób” kilka lokali. Za namową wolontariuszy, chodzących po ulicach, by wyłowić leżących na ulicy nie-szczęśników, Søren zgodził się zamieszkać w jednym z takich przytułków. Bezdomni przychodzą do niego wieczorem i wracają na ulicę rano. To lepsze niż nic! Lepsze niż nic?, zastanawia się Søren. I potwierdza, że z niektórymi *socii malorum* (towarzyszami niedoli) miał dobry kontakt, ale wielu innych było agresywnych. Kilka razy go okradziono, kiedy spał albo gdy wychodził do toalety. Wzbudziło to jego podejrzenia, że w domu dla bezdomnych łatwiej zostać okradzionym niż sypiając na ulicy.

Zaczął sypiać koło Bureau de Tourisme, czyli tak zwanego Domu Turystyki, najpierw usadawiał się obok wejścia, a po zamknięciu biura przesuwiał się wprost przed drzwiami

wejściowe, czuł się tam bezpieczniej, miał przyzwolenie pracowników, pozdrawiali go, wychodząc. Nim wrócili do pracy, Søren wracał już na plażę lub deptak. McDonald też go tolerował, przyjazne dusze od czasu do czasu skłonne były sponsorować fiszburger czy kawę. Stworzyło to pewną rutynę, której zbytnio nie lubił, ale zbudzony rano, odczuwał pewną ulgę, stwierdzając, że nic się nie stało, więc nie jest gorzej. Tak, człowiek uczy się z biegiem czasu rekalkibrować swoje wymagania od rzeczywistości. Søren budził się z poczuciem ulgi, stwierdzając, że kiedy spał, nic się nie stało. Nic dramatycznego. I z tą ulgą w sercu przemieszczał się o kilkaset metrów w stronę morza ze swoją tabliczką i na plaży, często na deptaku nad plażą, czekał na pacjentów. Bywało, jak to się mówi, różnie, z reguły jednak ktoś, jedna, dwie osoby, wyrażał, lub wyrażały, chęć poddania się dłoniom znanego wtajemniczonym masażysty. I zazwyczaj, jak twierdzi Jonas, tacy ludzie wracali do Sørena dzień po pierwszym masażu czy manipulacji fizjoterapeutycznej. Wracając potem do mniej nasłonecznionych części Europy i świata z uczuciem ulgi.

Niestety, miasto przegłosowało zakaz działalności komercyjnej na promenadzie. Od tego czasu Søren siedział wprawdzie na niej pod bielutkimi pergolami na deptaku w pobliżu Pałacu Śródziemnomorskiego, ale już nie przynosił tabliczki z reklamą fizjoterapii i masażu. Nigdy nie prosił o cokolwiek, nie wyciągał dłoni, nie zebrał. Niektórzy uzdrowieni pamiętali go i przypominali sobie, co robił. Więc od czasu do czasu komuś jeszcze sprawiała ulgę masaż czy fizjoterapia u Sørena. Ale słabemu i wyczerpanemu życiem i słońcem na promenadzie masażysty i fizjoterapeucie trudno było zdobyć nowych pacjentów.

Ludzie przynosili mu na promenadę jedzenie, ubrania, czapki i kapelusze, także ciemne okulary, ważne przy całodziennym nasłonecznieniu. Święta Trójca pomagała mu finansowo i nie tylko. Søren spędzał w kościele anglikańskim kilka dobrych godzin dziennie. Bogu dzięki. Wchodził do świątyni – a jak wspominałem wejście do niej poza godzinami nabożeństw było utrudnione od czasu zamachu w 2016 roku i kilku innych zamachów w kościołach, na mniejszą skalę. Choć przecież nożowników i tak nie można powstrzymać przed wejściem razem z wiernymi na nabożeństwa, nikt przed nabożeństwem nie szuka noży u tak zwanych wiernych, więc zamykanie kościołów w tym względzie niewiele daje. Ale co daje wiele, w takiej sytuacji? Søren

siadał w tyle kościoła, Paul zawsze miał dla niego dobre słowo, choć przestali rozmawiać o religii i filozofii. Ale potem nagle Paul, człowiek w pełni sił, jak to się mówi, doznał wylewu i po miesiącu spędzonym w szpitalu w śpiączce farmakologicznej, odłączono wszystkie aparaty. Wtedy Søren wyznał kościelnemu, że zimą, kiedy nocą robiło się chłodno, Paul pozwalał mu spać w kościele.

Przed oficjalnym desygnowaniem nowego proboszcza, co stanowiło proces złożony formalnie i wymagało pieczęci aprobacyjnej biskupa Canterbury, nabożeństwa odprawiali kapłani zastępczy. Każdy z nich zapewne powiadamiał następcę o Sørenie, tak by Søren mógł liczyć na akceptację i wyrozumiałość. Ktoś z parafii lub dyżurny kapłan przynosił mu pożywienie. W niedzielę za budynkiem kościelnym, w romantyczno-kameralnym ogrodzie, z nastrojową architekturą funeralną w tle, nocą zapewne zupełnie jak u Caspara Davida Friedricha, nawet jeśli atmosferę łagodził wonny zapach roślin śródziemnomorskich, kościelny lub ktoś z parafii stawia kilka stolików z tak zwanymi *refreshments*. Po przedpołudniowym nabożeństwie wierni przenoszą się tam, przy sprzyjającej pogodzie – a pogoda w większość niedziel sprzyja takim przenosinom – aby w cieniu drzew na lekkim wiatyku w atmosferze serdeczności porozmawiać jak przyjaciele. To nie jest *tea time* tylko *coffee hour*. Przygotowywana przez życzliwego parafii wolontariusza lub pełniących funkcje w strukturze Świętej Trójcy. Kiedy mówię kościelny, czy *church warden*, czy księgowy, to są funkcje pełnione honorowo, nie ma na nie wynagrodzenia z budżetu, coraz bardziej redukowanego, nawet kantor, choć ma skromne honorarium, robi to za półdarmo, tylko organiście wypłacamy pełne honorarium, mówił mi Paul już w czasie jednej z naszych pierwszych rozmów.

Søren siadał zazwyczaj na kamieniu między ogrodem a cmentarzem i nad kilkoma ciasteczkami, z papierowym kubeczkiem wypełnionym winem rosé, rozmyślał. Niedziela. Przeczekuję dzień. Dni są po to, by je przeczekać, przeczekiwać, wypełniać czekaniem, mówił Søren Jonasowi. Nie wiadomo, na co. Potem, w sali parafialnej, Jessica, jedna z tak zwanych *church wardens* odgrzewała mu w mikrofalowej kuchence ciepły posiłek. Życie nie umierać. Przy okazji Søren ładował telefon komórkowy, prezent od parafian. Robił to też w McDonaldzie, który zamyka swe podwoje później niż parafia. Znają go tam i okazują wyrozumiałość. Jessica zbierała

u parafian datki, czasami na konkretny cel. Kapłan lub honorowy księgowy parafii wypłacał mu w niedzielę parafialne kieszonkowe na najbliższy tydzień.

W czasie pandemii mieszkańcy mieli prawo spędzić godzinę w przestrzeni publicznej, oddalając się maksymalnie o tysiąc metrów od domu, w linii prostej. Co to znaczyło dla Sørena? Przede wszystkim, w sytuacji Sørena tysiąc metrów teoretycznie jest wszędzie. Wielki przywilej. Skoro nie ma domu, dom jest wszędzie, może więc być gdziekolwiek. Gdziekolwiek Søren się znajduje.

Ale promenada od strony morza była dla pieszych zamknięta, oficjalnie na plaży bowiem łatwiej się było zarazić od sąsiada. Zresztą całe morze zostało zamknięte. Komuś, kto mieszkał w porcie i miał łódkę pod domem, zabroniono wypłynąć na niej samotnie na morze. Nie z powodu ryzyka infekcji, jak tłumaczył rząd, lecz przez solidarność. Kajakarz nie mógł wypłynąć sam kajakiem na morze, kazano mu solidaryzować się z resztą społeczeństwa.

Paul w niedzielę wypłacał Sørenowi zebraną przez parafian sumę osiemdziesięciu euro. Na Wielkanoc było to nawet trochę więcej. I właśnie w Wielką Niedzielę podjechał do Sørena, siedzącego niedaleko kościoła, radiowóz tak zwanej policji municypalnej i ukarał go mandatem za przebywanie ponad godzinę w przestrzeni publicznej. Mandat wynosił dokładnie tyle, ile Søren miał w kieszeni. Strażnicy zaufali mu, uwierzywszy na słowo, ile ma w kieszeni pieniędzy, nie sprawdzając tego sami, skrupulatnie go rewidując. Okazali też łaskę, bo w kieszeni miał Søren mniej niż sto trzydzieści pięć euro, a tyle wynosił mandat za recydywę, którą u niego rzekomo stwierdzono. Więc łaskawie podarowali mi dwadzieścia euro, miał powiedzieć Søren Jonasowi. Odtąd gotówkę deponuje w kościele anglikańskim i w kieszeni ma ją tylko, gdy idzie kupić coś w sklepie. W sklepie kupuje głównie chleb i wino. Wypija kilka litrów wina dziennie, szacuje Jonas. Zupełnie jak ja, słowa Jonasa. Choć tacy różni jesteśmy, zaznacza Jonas. Kościelna i członkowie rady kongregacji są podzieleni w kwestii alkoholu dla Sørena. I nie tylko alkoholu, jeden z parafian ostrzegł radę, że widzi ryzyko przejścia od alkoholu do narkotyków, tak bowiem często się zdarza. Może nie powinno się mu dawać gotówki, bo gotówka może pójść na narkotyki, a tego trzeba za wszelką cenę uniknąć. Żeby nie stoczył się jeszcze niżej.

Dawać mu alkohol, czy nie? Niestety, alkohol w ulicznym stadium egzystencji pozwala przetrwać w stopniu wyższym niż brak alkoholu. I nie mówię jedynie o morale. Opinie o tym, czy dawać Sørenowi alkohol, inaczej mówiąc, czy oprócz papierowego kubeczka wypełnionego winem rosé dawać mu *na* alkohol, są podzielone. Choć nikt nie twierdzi, przynajmniej otwarcie, że alkohol po prostu mu się należy, niektórzy są zdania, że nie ma sensu za zebrane na Sørena pieniądze kupować mu jedzenia i artykułów pierwszej potrzeby, wykluczając alkohol, nie jest przecież ubezwłasnowolniony, jest wolnym człowiekiem, sam może wybierać, czym się żywi. Tak chyba argumentowała Jessica. Ale można by mu kupować na przykład za sześćdziesiąt euro artykuły pierwszej potrzeby oraz żywność, bez alkoholu, zostawiając mu z osiemdziesięciu euro przykładowo dwadzieścia na *pocket money*. To jednak też nie jest takie oczywiste. Za owe tak zwane kieszonkowe natychmiast kupiłby alkohol, tym samym sam siebie pozbawiając kieszonkowego, więc aby dać mu kieszonkowe, trzeba by zwiększyć część wypłacaną gotówką, na przykład dodając kolejne dwadzieścia. Ale, znając Sørena i sytuację, te dodatkowe kieszonkowe też by poszło na alkohol. Błędne koło.

Rzecz jasna, sam Søren o tym nie wiedział, choć pewnie się domyślał, że członkowie kongregacji, rozmawiając na jego temat, poruszają wątek jego tak zwanego problemu z alkoholem.

Ale niektórzy w kościele uważali, że kościół, dając mu pieniądze i raz w tygodniu w niedzielę fundując mu gorący posiłek, wraz z kieliszkiem, a właściwie papierowym kubkiem, różowego wina, przyczynia się do pogorszenia jego sytuacji, wejścia w jeszcze większy impas i mieli na myśli nie tylko alkohol, ale generalnie wszelką pomoc, ponieważ taka pomoc nie mobilizuje go, jak to określali, do stanięcia na własnych nogach, dusi w zarodku prawdopodobieństwo lub nadzieję, że z własnej inicjatywy będzie chciał wziąć w swoje ręce własny byt i podjąć własną egzystencję. Jessica studiła jednak zapał wierzących w to parafian. Przecież trzeba na tę sprawę patrzeć realistycznie. Czy powiedzenie Sørenowi, że Święta Trójca wstrzyma wszelką pomoc, sprawi, że Søren, zrozumiałwszy intencję, wstanie z barłogu, weźmie swoje istnienie w tak zwane własne ręce i ochoczo pomaszeruje na własnych nogach ku własnemu szczęściu?

Przecież to jest człowiek wyniszczony. Wyniszczony, powtórzyła, tak dobitnie, że kościelny aż się wzdrygnął.

Którejś niedzieli w czasie nabożeństwa Søren przeszedł do ogrodu i zatrzymał się nieco bliżej stolików z poczęstunkiem dla parafian niż zazwyczaj, kiedy siedział na kamieniu. Na skraju ogrodu, w którym towarzystwo kościelne zbierało się na rozmowy po nabożeństwie, położył się na trawie i zasnął. Parę minut później pojawili się tam inni. Niektórzy dobrze ubrani, kosztując *cookies* i *chocolate cake* zerkali w jego stronę ze słabo ukrywanym zniesmaczeniem. Kościelny otrzymał sygnały, że część ludzi poczuła się nieswojo. Że Søren przekroczył jakąś niewidoczną linię. Niezbyt smaczny był to dla nich widok. Søren tym razem nie drzemał sobie lekko, jak zazwyczaj, tylko zapadł w głęboki sen, można było użyć określenia: zmorzony ciężkim snem. Wszystko dobrze, można mu pomagać, ale nie powinien sobie pozwalać na takie rzeczy. Jessica się z tym nie zgadzała. Nie tyle nie zgadzała, lecz widziała to inaczej, nie, nie widziała tego inaczej, ale patrzyła na to z innej perspektywy. Søren musiał być chyba bardzo zmęczony i położył się na skraju ogrodu, bo czuł się bezpieczny pośród nas, argumentowała, wiedział, że nikt mu nic nie zrobi, włos nie spadnie mu z głowy, więc dał ciału zasnąć, być może nawet znajdował się w pewnym stanie... błogości, mówiła Jessica. Przecież Søren w nocy praktycznie nie śpi, tak bardzo zestresowany jest tym, że w czasie snu ktoś go napadnie lub ograbi. Odrabia to w dzień, ale leżąc na słońcu pośród tysięcy ludzi, na pewno śpi jak gonione wciąż zwierzę.

Możliwe, że ciało Sørena, niekontrolowane wysiłkiem umysłu, owej niedzieli go zdradziło, nie po raz pierwszy zresztą, ale po raz pierwszy w takich okolicznościach, o krok od kilkudziesięciu ludzi, ludzi mu życzliwych, niewątpliwie, co do tego nie ma żadnej wątpliwości, ale to, że ciało zdradziło go nie, jak zazwyczaj, pośród tysięcy *perfect strangers*, (zupełnie obcych?) tylko pośród perfekcyjnie życzliwych dusz, świadczyło o jeszcze większej zdradzie.

Co mogło tak negatywnie nastawić do Sørena tych dobrze ubranych członków kongregacji? Jego ubranie, zgoda, mocno wytarte i niepasujące do pory roku, ale kwestia stroju naprawdę była mniejszym problemem w tym kościele niż w innych

świątyniach w mieście i okolicach, na przykład w Monaco. I zawarte w tym wytartym ubraniu jego ciało. Bujne i zmierzwione włosy, wydatne wargi, jak u Olafa Palmego, przyszło mi na myśl, zniszczona – choć słońcem, nie mrozem (jaka różnica!?) twarz – sterana i bardziej nieprzenikniona w czasie snu niż wtedy, kiedy rozmawiał z ludźmi. Czerwoną twarz w lecie maskowała opalenizna, całe ciało Søren'a było jednolicie spalone promieniami słońca, niemal na czarno, choć okrywał je przez większą część dnia, starał się okrywać. W zimie i na wiosnę czerwień okazywała się silniejsza niż opalenizna. Czerwona twarz, racja, w pewnym sensie wynik picia alkoholu, ale też objaw chorób, które, byłem przekonany, toczyły jego ciało – nawet jeśli musiał mieć żelazną kondycję, by przejść przez tyle, przeżyć ten ciągły atak świata zewnętrznego. Może przeszkadzał tym ludziom zapach Søren'a, zapach ciała borykającego się z ciągłym brakiem higieny, do tego dodatkowo zapach ciała zimą wciąż spowitego ubraniem na ulicę. To uliczne ubranie w kontraście z wyjściowym ubraniem niektórych uczestników nabożeństwa naruszało równowagę. A może wszystko razem i wszystko naraz – *esprit* i aparycja, dźwięk i zapach, pewne aspekty ciała, te, których nikomu nie zależy, by je eksponować, tak wobec przyjaciół, jak wrogów. Rozkład ciała, klinicznie zademonstrowany w czasie poczęstunku w ogrodzie na skraju historycznego cmentarza parafii Świętej Trójcy. Rozkład, jawny upadek ciała, skonstrastowany z dyskretniejszym rozkładem ciał lepiej ubranych. Jasne, każde ciało upada, ale ciało bezdomnego upada inaczej i szybciej, z jednej strony wydane na żywioły, z drugiej nieszczęśliwe na duszy. Żelazna kondycja, ale nie nerwy ze stali.

Nigdy nie rozmawiałem z Søren'em o jego losie, nawet jego aktualnej kondycji. W tym względzie Jonas był dobrym, acz nie niezawodnym źródłem informacji. Jeśli ktoś tak, jak ja jest na promenadzie, tak jak ja, dzień w dzień, mówił Jonasowi Søren, składa do kupy to, co inni zauważają pojedynczo? Kiedy dowiadawali się, że nie jestem Francuzem, brali mnie za Polaka lub Rumuna. Francuzi. A Niemcy i Holendrzy, rzecz jasna także Skandynawowie, chętnie korzystali z moich usług, zostawiali napiwki. Lokalsi, Søren nazywa ich, według Jonasa, Frenczuchami, ci mniej *sympa*, proponowali, już po masażu czy fizjoterapii, niższą cenę niż umówiona. Jeden, w dobrym ubraniu, zanim jeszcze papierowym ręcznikiem starłem z jego pleców nadmiar oleju, gdy na chwilę odwróciłem się do kogoś, kto o coś mnie

zapytał, ulotnił się, dał nogi za pas z dobrym ubraniem pod pachą, wiedząc, że nie będę go gonił, opowiedział Søren Jonasowi.

Ludzie na Promenadzie, generalnie, mówi Søren, zachowują się rozmaicie. Raczej zawiedli mnie ci tak zwani rdzenni. Mówię, oczywiście, o tym, co znam z empirii, mówił Søren, co wynika z mojego doświadczenia, powtarza Jonas. Tacy lokalsi są bardzo mili, w kontakcie z cudzoziemcem, dopóki to oni mają z takiego kontaktu korzyść, albo czują, że mają jakąś przewagę. Gdy oceniają, że to obcy ma z tego kontaktu, w ich ocenie i wycenie, większą od nich korzyść, jak to się mówi, wycofują miłość. Bądź pokorny, ale nie daj się upokorzyć, mówię sobie, mówił Søren, powiedział Jonas.

Latem i w święta zimowe są tu wszelkie nacje, mniejszość francuska zdobywa jednak przyczółki zimą, pomijając święta. Wtedy bardziej rzucam się w oczy. Tylko nieliczni zauważają, że dobrze mówię po francusku, inni, gdy tylko wyczują, że nie jestem Francuzem, chcą natychmiast przechodzić na angielski, zwłaszcza ci, którzy angielskiego nie znają. Kiedy mówię skromnie – przecież trzeba znać swoją pozycję – że mój francuski nie jest idealny, chcą mnie pocieszać, mówiąc, że i tak mówię lepiej po francusku niż oni po szwedzku. Usłyszeć to od kogoś, kto w tak zwanym obcym języku nie potrafi skleić jednego zdania! Francuzi to nacja, spośród tych, które poznałem, obdarzona największym talentem do języka, ale własnego, nacja, która z nielicznymi wyjątkami niemiłosiernie kaleczy każdy bez wyjątku język, z wyjątkiem francuskiego, mówił Søren, według Jonasa.

Niektórzy, kiedy mówię, że jestem ze Szwecji, czasami, że z Danii, mówią mi, że byli przekonani, że biali bezdomni przy promenadzie to ludzie ze wschodu, Rumuni, Polacy, że Duńczycy i Szwedzi nie muszą o nic żebrać. Ja nie żebrzę, mówię, a wtedy przyznają mi rację: No tak, bo jesteś ze Szwecji. Żelazna logika! Ale są i bardzo życzliwi ludzie, ciekawi tego, co mówię. Parę rencistów zainteresowałem Skandynawią do tego stopnia, że sięgnęli po książki które im poleciłem. Zaczęło się od tego, że dowiedziawszy się, jak mam na imię, pytali o to, w jaki sposób zapisuję swoje imię, po duńsku, czy po szwedzku. I o różnicę w wymowie przekreślonego po duńsku ø a o z umlautem. Søren czy Sören? Inna para, słysząc moje imię, od razu zareagowała: tak jak Kierkegaard. Ja na to od razu, że nie czytałem Kierkega-

arda. Rzecz jasna wymawiali nazwisko Kierkegaard po francusku, ale przecież nikt przy zdrowych zmysłach i o zdrowym rozsądku, widząc słowo Kierkegaard, które nawiasem mówiąc oznacza ... cmentarz, nie wymyśliłby jego duńskiej wymowy. A czy samo imię Søren to imię skandynawskie?, pytała para na plaży, tak jak Odin, Thor czy Sigurd? Brawo. Dowiedziawszy się źródłosłowu, byli zaskoczeni – a więc to Severin, St-Severin. Święty Seweryn. Tak, to ja. Surowy jak Seweryn. Choć dźwiękowo Søren lepiej się rymuje z *sereine*, pogodnym, San Sereno, Sanctus Serenus.

Søren w Moulinet. Już kiedy zamieszkał w Nicei na ulicy, na tydzień przeniósł się do prawdziwego domu, w Moulinet właśnie. Krótki epizod w tej miejscowości sporo dla niego znaczył. Znał Moulinet z poprzedniej epoki, zamierzchłej. Pamiętał odcinek specjalny rajdu Monte Carlo, próbę szybkości, na którą pojechał kiedyś zimą, była to sobotnia atrakcja hotelu West End. Nie trzeba go było zresztą namawiać. W młodości miał pasję szybkiego poruszania się w zimowym pejzażu. Wczesnym rankiem brat, Micha, dyskretnie zabierał ojcu klucze od samochodu, pędzili do garażu po oblodzonym chodniku, wprawiali w ruch bestię, mieli zaledwie kwadrans, by pokonać kilkadziesiąt zakrętów, przyspieszać i hamować, na każdym zakręcie wprowadzając auto w poślizg, kontrolowany. Rajdowa jazda przez kwadrans oznaczała nieco ponad siedem minut jazdy na głowę. Na łeb na szyję. Ale tam nie było gór i nie było morza. A rajd Monte Carlo, od morza ku szczytom, oznaczał śnieg i lód. W Moulinet kończy się lub zaczyna etap z próbą szybkości górskiej. Więc Moulinet nie był dla Sørena ziemią niczyją.

Moulinet to pokaźna wioska nad rzeczką Beverą, która jednak potrafi gwałtownie wzbierać, trzynaście kilometrów na północ od Sospel, sporego miasteczka, w którym mieszka dzisiaj lub przebywa wielu dobrze się odżywiających i bawiących wczasowiczów i rezydentów na stałe. Pod koniec XIV wieku Sospel odegrało pewną rolę w schizmie papieskiej, w sporze między Urbanem VI z Rzymu i antypapieżem Klemensem VII z Awinionu, opowiadając się za Awinionem, zatem przeciw biskupstwu w Ventimiglii należącej do Republiki Genui. Bevera, w swym górnym biegu płynąca przez Sospel, kilkanaście kilometrów dalej na wschód i niżej wpada do rzeki Roya, która w swym dolnym biegu płynie przez Italię do morza w Ventimiglii. Droga z Sospel do Moulinet jest spektakularna, od wąskiego wąwozu Bevery

wznosząc się stromo o czterysta metrów do kaplicy Notre-Dame de la Menour, od której zaczyna się gmina Moulinet, rozciągająca się – dosłownie – aż do szczytu Authion dziesięć kilometrów na północ w linii prostej i tysiąc dwieście metrów wyżej, na którym gmina się kończy. Masyw Authion zagradza drogę na północ, za stojącym w poprzek Authionem stoi murem ściana alpejskich szczytów z Mt Bégo, a najpierw tak zwanym Szczytem Diabła, górującymi nad Vallée des merveilles, Doliną Cudów. Do tych ostatnich należą tysiące rytów skalnych, najwcześniejsze z nich datowane są na erę neolitu. To na zboczach Authion bierze początek Bevera i przez zapierające dech w piersi zakola stromo wpada do Moulinet.

Kiedy Søren zaczął przychodzić do kościoła anglikańskiego, poznał Davida, Anglika, który mieszkał w Moulinet i od czasu do czasu przyjeżdżał do Nicei na nabożeństwa. Kiedy Søren znalazł się już na ulicy, Anglik i jego żona spontanicznie, a przynajmniej nieoczekiwanie, zaprosili go do Moulinet, proponując, by w czasie ich czterotygodniowej nieobecności przez tydzień opiekował się ich domem, nim opiekę nad domem przejmie ich syn z rodziną. Trzeba było cenić ten gest, i tak też Søren uczynił, biorąc pod uwagę, że był bezdomnym, a bezdomnemu na ogół nie powierza się własnego domu. Ktoś, kto żyje na ulicy, po krótkim czasie nabiera innych zwyczajów niż ci, którzy mieszkają, jak to się mówi, u siebie, lub u innych, ale nie na ulicy. Dla Sørena u siebie znaczyło już od dawna na ulicy. Ich propozycję przyjęli głównie z powodu empatii. Natychmiast docenił ten śmiały gest nicejskich parafian z Moulinet wobec człowieka z ulicy. Może pomyślał, że nie wszystek umarł, że jeszcze całkiem go z życia nie wykreślono. Czy sobie coś obiecywał? Nie obiecywał sobie komfortu, choć wiedział, że, w porównaniu z ulicą, w domu parafian w Moulinet będzie na niego czekał luksus willi Rothschildów, lub choćby komfort swego byłego domu w granicach wielkiego Sztokholmu. Przede wszystkim jednak obiecywał sobie, mówił Jonas, po prostu tygodniowy oddech od życia w nicejskim hałasie i brudzie, tak brudzie, tutaj Jonas brał pewną odpowiedzialność za to, że mówi głosem Sørena, niczego nie przeinaczając. Jonas twierdził zdecydowanie, iż Sørena najbardziej irytowało to, że w Nicei – tak jest wprawdzie w całej Francji, ale w Nicei nabiera to niespotykanych nawet we Francji rozmiarów – osobnicy płci męskiej tak łatwo, absolutnie bez skrupowania, potrafią rozpiąć rozporek w miejscu publicznym, na środku ulicy, w biały dzień, zwłaszcza u tych w ciemnych garniturach było to irytujące, w każ-

dym razie dobrze odzianych, po to by swobodnie sobie urynować, oddawać moc, gdzie popadło, choćby na trotuar przed kościołem anglikańskim, na co on, Søren, tak zwany człowiek ulicy, w starych łachach, nigdy by się nie odważył. W tak trudnej fazie życia, skazany na egzystencję pod gołym niebem, niezbyt łaskawym dla bezdomnych nawet w nicejskim klimacie, nie mając toalety, czuł się zawsze nieswojo, szukając miejsca jak najbardziej ukrytego, możliwie na uboczu. Odczuwał wstyd, a zawsze zażenowanie, choć przecież, pozbawiony własnego dachu nad głową, nie miał przecież wyjścia. Tymczasem ci panowie, choć eleganckie łazienki mieli, choć wkoło było mnóstwo restauracji, kawiarni i barów, wyposażonych przecież w toalety, które nawet jeśli były śmierdzące i brudne, oferowały jednak minimum komfortu, psychicznego, a przez to i fizycznego, ci panowie bez skrępowania załatwiali swe potrzeby na oczach przechodniów. Schwytani na tak zwanym gorącym uczynku, zwalali winę na Estrosiego, burmistrza nadbrzeżnej metropolii: Jak Nicea długa i szeroka, nie znajdziesz w niej toalety publicznej!

Tak więc Søren, kontynuował relację Jonas, choć bał się powrotu do tak zwanej normalnej egzystencji, czując, że kiedy znajdzie się (znajdzie się!) po tygodniu znowu na ulicy, będzie mu trudno do ulicznej powrócić egzystencji (powtórka z poprzedniego istnienia, według Jonasa), niemniej obiecywał sobie tygodniowe wytchnienie od hałasu, brudu i smrodu Nicei, Nicei, jaką poznał po przeniesieniu się na ulicę. I przez tydzień naprawdę wytchnął. Po tygodniu, tak jak było umówione z Davidem, w Moulinet zjawił się syn Davida, kończąc pobyt Sørena. Nie zdając sobie chyba sprawy z sytuacji Sørena, po prostu mu podziękował, syn Davida i odprowadziwszy do bramy uściśnął dłoń. Søren, bez grosza przy duszy, nie miał pojęcia, jak dostanie się do Sospel, nie mówiąc o Nicei, gdzie w parafii Świętej Trójcy czekało na niego kolejne kieszonkowe.

Nie tylko to zresztą, zdaniem Jonasa, sprawiło, że Søren poczuł się dziwnie, słabo, na umyśle i duszy. Kiedy opuścił domostwo anglikańskich parafian, doznał naraz czegoś pośredniego między szokiem a letargiem. Opuściwszy dom Davida i jego żony, znalazł się znowu na ulicy, znowu dobrowolnie, znowu zmuszony, tym razem zgodnie z uprzednią i uprzejmą umową, i poczuł nagle, jak to ujął Jonas, sztuczność całej tej sytuacji. Ja bym powiedział: swego istnienia, pomyślałem. W obec-

nej chwili. Dosłownie zawieszony w przestrzeni, osiemset metrów nad poziomem morza, osiemset metrów nad poziomem Nicei, przesiedział na ławce na opuszczonym przez ludzi prostokątnym placu przed tak zwanym merostwem i szkołą państwową, aż do zmierzchu, cały czas patrząc w przestrzeń. Bezwolnie wpatrywał się przed siebie, słowa Jonasa. Aż do zmierzchu, odwrócony tyłem do placu, siedząc na ławce zwróconej do przylegającej do placu ulicy, wpatrywał się tępo, bez emocji, w budynek po drugiej stronie. Nie spostrzegł tam żadnych oznak życia, żaden sygnał stamtąd nie dochodził, budynek wydawał się martwy. W tylnej części wypatrzył Søren nieogrodzony taras z ogrodem, rodzaj otwartej jadalni, bez trudu mieszczącej co najmniej tuzin biesiadników.

Kiedy o zmierzchu na opustoszałą dotąd ulicę na skraju placu wkroczyli ludzie i psy, ludzie przystawali na drodze, psy, te spuszczone ze smyczy, wbiegały na plac i wszystkie jak na gwizdek podchodziły Sorena od tyłu, mocno ujadając. Søren przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł na posesję, w którą uprzednio godzinami wpatrywał się, tępo, bez emocji. W nocy, w dalszym ciągu przekonany, że dom jest martwy, położył się na tarasie i nie myśląc o niczym, zamknął oczy i zasnął.

Kiedy je otworzył, ujrzał nad sobą brzuch, a zaraz nad brzuchem osadzoną na brzuchu klatkę piersiową, zakończoną twarzą, mocno nalaną twarzą, w okularach. Halo, dzień dobry, niech pan wstaje, jak człowiek, i wyjaśni mi, co pan tu robi – doszedł do Sorena głos właściciela brzucha i jak się okazało posesji. Słońce wyszło zza gór i świeciło wysoko nad Sørenem, brzuchatym człowiekiem, i białym kabrioletem, który prawdopodobnie przywiózł brzuchacza do Moulinet. Z kim mam przyjemność?, zapytał właściciel szorstkim tonem. Kto nocował na moim tarasie? Bo chyba się nie znamy. Søren przeprosił za najście, wyjaśniając, że dom wydawał mu się martwy. Skąd pan jest? Pan mówi z akcentem! W moim domu, na moim terenie, na naszych ziemiach. Potem słowo ziemia odmieniał we wszystkich przypadkach, *la terre* to, *la terre* tamto. Dzień dobry, jestem właścicielem tej nieruchomości, a kim jest pan? Gdzie pan mieszka? Ja osobiście nic nie mam przeciwko bezdomnym, Francja to bardzo hojna migrantom *ziemia*, dla przybyszów z całego świata francuskie *ziemie* od wieków były celem, z powodu naszego bogactwa, naszych bogactw naturalnych, naszych bogactw kulturowych, naszego promieniowania na cały świat

cywilizowany. Ale przybysze powinni się stosować do francuskiego prawa. A francuskie prawo nie zezwala na wchodzenie bez zezwolenia do czyjejś posiadłości. Że nie ma tu ogrodzenia, tylko niziutki płotek? Nie szkodzi. Nie wiedział pan? Migranci przybywają na nasze *ziemie* i bez pytania wchodzą na nasze tarasy, też twierdzą, że nie wiedzą, ale niech pan spojrzy, dobry człowieku! Czy to wygląda na niczyje? Moja posiadłość? Czy moje tereny wyglądają, jak coś, do czego każdy powinien mieć wstęp? Bynajmniej, mój panie, bynajmniej. Nie. Pan tu wszedł wbrew naszemu prawu. Skądkolwiek pan jest, ja w to nie wnikam, jakimukolwiek podlegałby pan prawu, teraz i tutaj podlega pan naszemu. To jest Francja, proszę pana, nasza ziemia i na to nie ma ratunku. Na francuskich ziemiach wszyscy podlegają tych ziem prawu. Tworzonego przez wieki. Ja, proszę pana, prowadzę znaną na świecie firmę, societę jachtową. Ja mam prestiżowe przedsiębiorstwo i na co dzień negocjuję milionowe kontrakty, z klientelą z całego świata. Począwszy od Johna Deppa, skończywszy na wpływowych klientach z dalekiego wschodu, na wschodzie Europy też mam wpływowych klientów, bardzo wpływowych. Można powiedzieć, że to oni decydują o naszych losach. Wśród naszych klientów jest na przykład Johny Depp i Gérard Depardieu, o innych nawet nie wspomnę. Na pewno wie pan, kto to taki, Depardieu, i teraz niech pan sobie wyobrazi, że ja tu przyjeżdżam z Gérardem, zaprosiłem go na lunch na przykład, wprowadzam go na taras i nagle pana ciało zagradza nam drogę, potykamy się o nie. Wie pan, z łatwością mógłbym zadzwonić, aby mer usunął pana z mojej posiadłości. Mógłbym, ale tego nie zrobię. Niech pan spróbuje sobie wyobrazić, jak by pan sam się czuł, przyjechawszy do siebie, z Gérardem Depardieu w aucie, aby ugościć Gérarda, a Depardieu zobaczyłby na tarasie cudzoziemca migranta, jak to się u nas mówi, człowieka podróży, przecież i panu też byłoby to nie-miłe. Kiedyś mówiło się Cyganie, teraz mówi się ludzie w podróży. To jest spokojne miejsce, mieszkańcy się tu wszyscy znają, żyją od wielu pokoleń w pokoju i harmonii. Bezdomni owszem, też mają swoje prawa, jednak dla bezdomnych istnieją struktury państwowe, one tym się zajmują. Od tego jest administracja.

Kiwa pan głową ze zrozumieniem. Widzę, że pan jest nastawiony ugodowo, to dla mnie ulga. Zrozumiał pan delikatność całej tej sytuacji, mojej i swojej sytuacji. Ja takie rzeczy potrafię docenić. Dam panu teraz złożyć śpiwór i pozbierać swoje rzeczy i jeśli poczeka pan tu przez chwilę, dam panu coś jeszcze. Zaraz wracam. Po

kilku minutach brzuchacz stanął w drzwiach z miską na tacy i gestem ręki zaprosił Søren, by siadł przy stole dla co najmniej tuzina gości.

Podał mu miskę pełną szaro-brązowej mazi – sądząc po woni, musiała zawierać kawałki mięsa – na niepasującym do niej, za dużym talerzu, niezbyt sprawdzającym się w roli spodka. Na tym spodku obok miski brzuchacz położył, a raczej postawił, grubą pajdę suchego chleba. Od razu wzbudziła niepokój Sørena. Jeszcze chwila, a pajda spadnie, pomyślał, i chwilę później sam trzymał, oburącz, tę niepasującą do siebie trójkę, asamblaż ciał w pełnym dysonansie. Wypełniona gęstą materią miska zaczęła poruszać się na spodku po cyrkularnej orbicie, chrobocząc przy tym coraz głośniejsze, jakby za moment miała wzbić się w powietrze, lepka substancja zaczęła wylewać się z rozdygotanego naczynia na spodek, przy każdym obrocie coraz bardziej mocząc pajdę chleba, podmywając ją, z tego powodu chleb nie spadał ze spodka na ziemię, zatrzymany siłą przylegania i spójności na samej krawędzi fajansowego naczynia. Miska zaczęła podskakiwać, chybocząc między chlebem a spodkiem, jakby przygotowywała się do lewitacji, wydając przy tym dźwięk szczękających zębów, chleb, nasiąkając wylewającą się nań cieczą, ledwie się przesuwał, ale w pewnym momencie faktycznie znalazł się poza spodkiem i ułamek sekundy później miękko wylądował na ziemi. Wtedy Søren zdecydowanym, ale spokojnym ruchem, rzucił na stół dla dwunastu oblepione cuchnącą cieczą miskę i talerz, rozbite szczyby ślizgały się jak w bagnisku po długim stole, dopóki nie zatrzymały się w bezruchu, wtedy Søren podniósł z ziemi namoczony mokrą treścią lepki kawał chleba, do którego przylgnął już kurz i brud z ziemi brzuchacza i również zdecydowanym acz spokojnym ruchem chlebem również cisnął o blat stołu. Trudno się bronić przed tego typu charytatywnym gestem. Temu, kto nie ma nic, nie wolno nie zachwycić się gównem, rzucił Søren brzuchaczowi spokojnym tonem. Po czym pomaszerował pieszo do Sospel, nie próbując nawet zatrzymywać przejeżdżających samochodów. Na obolałych nogach dotarł do stacji, wsiadł do pociągu, dojechał do Nice-Ville bez biletu i późnym wieczorem ulokował się przy wejściu do McDonalda. Następną stacją miało już być morze.

Następny etap, dziewięć miesięcy później, zapoczątkowała biała furgonetka. Uderzenie barana – złamanie karku Sørenowi – odbyło się po cichu, bez pisku opon i wołania o pomoc, nikt nie krzyczał, furgonetka zatrzymała się nie zostawiając śla-

dów gumy na jezdni. Ciało Sorena opadło na asfalt miękko i sucho, bez hałasu – doznał tylko obrażeń wewnętrznych, złamań i pęknięć, nic nie wylało się na zewnątrz, z asfaltu trzeba było tylko zmyć jedzenie i picie, które Søren miał w tobołku, z którym nigdy się nie rozstawał. Z bagażem z tak zwanym dobytkiem życiowym, do życia niewystarczającym. Z balastem, który być może nie pozwolił mu w ostatniej chwili uskoczyć przed furgonetką. Tobołek z zawartością materialną tego, do czego materialnie sprowadziła się (skurczyła się) jego egzystencja w ten marcowy dzień. *Equinox* był już blisko, dzień lub dwa od równonocy wiosennej, przesilenia, od którego zaczynała się na dobre dominacja słońca przez kolejne półrocze, na dobre czy złe. Zawartość tobołka rozsypała się bezładnie, płyny rozlały się na kilku metrach asfaltu, cały majątek bezdomnego, którego ciało, jak tobołek, okute w długi zniszczony, poplamiony płaszcz, zwinęło się w kulę i zatrzymało na drodze. Nagle wszystko się uciszyło, do zwinętego kłęбка w zmiętym płaszczu, który zatrzymał się w ruchu, podbiegło kilku przechodniów, jeden z nich, prawdopodobnie lekarz, lub ktoś szkolony medycznie, rozprostował ciało i – prawdopodobnie stwierdziwszy zatrzymanie oddechu – rozpoczął resuscytację krążeniowo-oddechową, ktoś zadzwonił po ambulans, kierowca furgonu zadzwonił na policję. Na promenadzie po stronie morza niezbyt liczne grupy ludzi powiewały żółto-niebieskimi flagami, ukraińską, gdzieś tam powiewano też mało znaną czerwoną flagą, gruzińską. Kilku policjantów obserwowało tę spontaniczną chyba demonstrację. Jeden z nich przeszedł na północną jezdnię i zatrzymał ruch w kierunku zachodnim. Kierowcy, jadący południową jezdnią na wschód, zwalniali, obracając głowę raz w stronę morza, raz w stronę lądu, od pro-ukraińskiej demonstracji odwracając się w kierunku Palais de la Méditerranée, by wzrok skierować ku blokującej dwa pasy białej furgonetce i okrągłemu kształtowi ciemnej barwy, który chwilę wcześniej turlał się po asfalcie. Ambulans nadjechał, nawet nie włączając sygnału dźwiękowego, lekarz zamienił kilka słów ze spontanicznym ratownikiem, po kilku minutach dotarł też radiowóz, policjant z radiowozu zmienił kolegę, ten wrócił obserwować demonstrację, i to on już otworzył dla ruchu jeden pas jezdni, auta przejeżdżały obok powoli, zator był niewielki, to nie były godziny szczytu.

Nie było ryku *gardner-serpoletta*, jeżeli przejeżdżały suvy maserati lub tesli, to elektrycznie cicho, nie rozpędział się żaden fiat 124 sport coupé, de Funés od dawna już

nie żył, nikt nie krzyczał. Nadszedł Jonas, Jonasa przy tym nie było, w chwili wypadku Jonas był już na swoim posterunku na Promenadzie, na kamiennej plaży poniżej deptaka, niczego nie słyszał. Jessica sporządziła z informacji zebranych z różnych źródeł rodzaj sprawozdania dla kościoła anglikańskiego. Jako organizacja wyznaniowa mógł on pomagać ofierze w kontakcie z urzędnikami administracji.

Co teraz? Operacja? A po operacji? Nie wiadomo. Po rozmowie z Jessiką wyszedłem z rue de la Buffa, nie myśląc o niczym. Nie, nieprawda – myśląc o Sørenie, nie myśląc o niczym innym – i skierowałem się w stronę Bulwaru Gambetta. Nie jestem pewien, dlaczego, nie wiem, czemu, bez wyraźnego celu, po prostu stopy poprowadziły mnie w stronę tego bulwaru, a potem dalej. Myślałem o nim. Szedłem pod słońce. Przed oczami, wpatrzonymi bezwiednie w słońce, coraz większe, pojawiały się obrazy z moich spotkań z Sørenem. Pod powiekami zaczęły przesuwac się migawki z nim w centrum. Słyszałem strzępy rozmów, z nim, z Sørenem, z Paulem, z Jessiką, nagle włączyły się w to, zaczęły rozbrzmiewać fragmenty przytaczanych przez innych relacji o Sørenie, w stylu: dawać mu alkohol czy nie?

A więc Søren o marcowym poranku na przejściu dla pieszych przy rue du Congrès wpadł pod samochód, na przejściu dla pieszych pieszego Sørena potrąciła biała furgonetka, nie wiadomo, w jakim był stanie, jeżeli był nietrzeźwy, to w odróżnieniu od popołudnia i wieczora, w leciutko nietrzeźwym, choć w stanie Sørena już lekka nietrzeźwość mogła osłabiać mechanizmy obronne. Może jednak to raczej bagaż, czyli niezgrabny tobołek, sprawił, że Søren szedł niepewnym krokiem, może zwolniło jego ruchy słońce, może wpłynęło na to ogólne wycieńczenie, hamowało, wydłużyło czas reakcji. Jego osłabiony organizm nie pozwolił mu w tym jednym rozstrzygającym momencie przyspieszyć, może gdyby szedł nieznacznie szybciej pozwoliłoby to uniknąć wypadku. Lub nieco wolniej.

Idąc rue de la Buffa, która od bulwaru Gambetty staje się rue Dante, nie wiem dlaczego, pomyślałem o Giacomettim, na którego przed pomnikiem Joanny d'Arc koło Luwru najechał w 1938 roku amerykański krażownik szos prowadzony przez pijaną kobietę nazwiskiem Nelson. Godzinę wcześniej rzeźbiarz zaczął nagle chodzić po pracowni przed pozującą mu modelką, przenosząc ciężar z jednej stopy na

drugą, czując w sobie siły, które pozwalały mu stać pionowo. Jak łatwo człowiek chodzi na nogach, przecież to jest cud, miał powiedzieć. I jak łatwo przestać. Od tej chwili kulał. Już nie musiał udawać. Udawać, że zależy mu na tym, by lekko się przemieszczać. Nie musiał, jak to się mówi, pretendować do ruchu. Wyrzekł się ambicji do lekkiego chodzenia po ziemi. Nigdy takiej nie miał. Poczuł się wyzwolony.

Brak, ograniczenie, dobrze, pomyślałem wchodząc na rue Dante. Watt, na przykład, nie znosił murów, choć miał słabość do ogrodzeń, ogrodzeń z drutu, ze sztachet i palików, nie stronił od cierni, słabość do ogrodzeń w sensie przeszkody, do zakratowanego okna, rowów, grobli, grząskiego piachu, wszelkiego rodzaju trzęsawisk – do wszystkiego, co ograniczało ruch, nie ograniczając przy tym wizji, włącznie z drutem kolczastym, myślałem na ulicy Dantego, idąc pod słońce, równoległe do brzegu morza. Może z logiki życia Sørena wynikało, że nie da się zamknąć w murach, tylko wybierze wolność kamienistej plaży i pokrytego ohydny czerwonym asfaltem, często czyszczonym, jeszcze częściej brudnym, deptaka Promenady. Z tej perspektywy obserwował to, co dzieje się na morzu, a na morzu nic się prawie nie działo, i w mieście, a w mieście dużo się działo, ale po co? Søren nie miał żadnej misji do spełnienia, oprócz tego, że niósł ludziom pomoc, sprawiał im ulgę, nim sam podupadł na zdrowiu. Chorym ludziom pomagał, a nie chorej ludzkości, na to nie ma ratunku, myślałem na ulicy Dantego, w połowie drogi między rue de la Buffa a dzielnicą Les Fleures.

Ta kolizja ostatecznie przekreśliła życie Sørena. Kolejne etapy życia przekreślają poprzednie, to naturalne, ale tu nagle – choć można się było tego spodziewać – nagle wszystko zostało *naraz* przekreślone, wymazane, to co wcześniej było, to, w czym uczestniczył. Zmarnowane życie, zniszczona egzystencja, zlikwidowane doszczętnie szczęście, myślałem, idąc pod słońce ulicą Dantego, nawet to najprostsze szczęście, baconowskie, kiedy ktoś świadomy, że obiektywnie rzecz biorąc (obiektywnie?, realistycznie) nie ma po co żyć, że to zadanie ponad miarę, odczuwa jednak radość życia, wbrew wszelkiej logice. Budzę się rano i choć wszystko wokoło mówi mi, że życie nie ma sensu, myślał malarz, chce mi się żyć, do diabła z innymi, z tym lub innym społeczeństwem, z tą lub inną wojną, mnie ten dzień daje energię, wzywa do życia! Oprócz logiki, jest też tkanka nerwowa.

Biała furgonetka w dzień wiosennego przesilenia, parę dni wcześniej, położyła kres iluzji Sørensa. Uzmysłowała mu porażkę, na całej linii. Myślał pewnie sobie od dawna, myślał pewnie przy kolejnych porażkach, że jego życie to klęska, myślał sobie pewnie teraz, gdy nie wiadomo było, czy z tego się wyliże, czy jeszcze się podźwignie: życie moje to całkowita klapa, ta furgonetka czarno na białym pokazała, że poniosłem życiową klęskę. Nie bankructwo, nie domy bezdomnych, nie okradanie i nie obrzydliwe słowa wypowiedane niekiedy przez spacerowiczów na deptaku. Tylko biała Bogu ducha winna furgonetka.

To była iluzja. Kiedy stracił majątek, mógł sobie powiedzieć trudno, można żyć inaczej. Kiedy stracił dach nad głową, będę żył inaczej. Kiedy stracił wszystko, mówił sobie, nie szkodzi, jest przecież życie także w skromności, w niedostatku, w pokorze. I wciąż tracił, i wciąż mówił sobie: nie szkodzi, mam jeszcze to i jest jeszcze to. Tracił kolejno jedno po drugim, a kiedy stracił wszystko, powiedział sobie: dobrze, widocznie miałem przez to przejść, to moja kenoza, to mnie czegoś nauczy, to mnie oczyści. Niczego nie posiadając, nawet życia, też da się przetrwać. Pomyliłem się, zbłądziłem, trzeba żyć chwilą obecną, mam wokół siebie tyle piękna, nawet kiedy jest się na bruku, można spojrzeć wyżej, myślał. Przesuwa, cofa taśmę czasu, w zwolnionym tempie, wydobywając części składowe długiego marszu, idzie wstecz, począwszy od tych ostatnich kroków na przejściu dla pieszych. Dokąd to go zaprowadzi?, pytałem się na rue Dante. Czy rozjaśni się noc?, myślałem, nie zauważywszy nawet, że z prościutkiej jak linijka ulicy Dantego wkroczyłem na rue Francois Grosso, który, o czym informowała tablica, był wielkim filantropem, cały swój majątek zapisał miastu Nicei. Chwilę później znalazłem się na drapiącej się pod górę avenue des Baumettes i zacząłem wspinać się zakolami, nie wiem dlaczego, z dużym jak na mnie zapasem energii. Jeszcze parę minut, a dotrę do miejsca, z którego podziwiałem kiedyś widok na Zatokę Aniołów. Odsłania się tam nagle wspaniała panorama na cały Zachód, szczególnie widowiskowa o zachodzie słońca. Słońce w zimie opada prosto w morze.

Ale zawróciłem wcześniej, nie dotarłszy do tego punktu, niemal biegiem wpadłem na avenue de la Californie, wsiadłem do tramwaju i wróciłem do domu, myśląc o Sørenie i tym, jak przyszedł na świat jego brat. Sekstet Schönberga grał, kiedy

Micha rodził się w domu. Mówi się, że dzieci dużo słyszą przed narodzeniem. Søren nie słyszał. A teraz? Co jest przed nim? Zależnie od tego, jak uda się operacja. Jak ten wypadek będzie sobie tłumaczył? Mało brakowało, by furgonetka go zabiła, więc skoro nie zabiła, został ochroniony, los się temu sprzeciwił, Bóg się za nim wstawił. Śmierć jeszcze nie teraz – to jest wersja pozytywna. Owszem, żyje, ale los, zamiast go zabić na promenadzie, uczyni z niego inwalidę, po to, by w ostatniej fazie życia jeszcze bardziej się męczył – to negatywna. Choć z pozytywną nutką – bo inwalidztwo da mu dach nad głową.

Wróciłem do domu. Bez trudu znalazłem dwie winylowe płyty z *Rozjaśnioną nocą*. Pierwsza, jeszcze NRD-owska, z adagio do *Dziesiątej* Mahlera po drugiej stronie, była dosyć zjeżdżona, igła szła na skróty albo zaciniała się na jednym obrocie. Druga, z Ensemble Intercontemporain Bouleza w dużo lepszym stanie, to był seks-tet. Czegoś takiego słuchać, kiedy w pokoju obok żona męczy się, rodząc?, myśla-łem. Nic nie wiem o rodzinie Sørena, o domu pastora, nie mam pojęcia, dlaczego słuchał Schönberga z 1899 roku? I czy do żony w położu to wszystko dotarło? Może słyszała i dlatego uciekła do Kopenhagi, aby rodzić bez takiej muzyki? Usta-wiczne crescendo, przeplatane wyciszonymi nieśmiałyymi decrescendami, rozbie-gane, niesamowite tam i z powrotem.

I w tym wykonaniu w bebechowatym do niemożliwości finale skrzypce fałszują, dlaczego pierwsze skrzypce w tych oktawach zawsze grają za wysoko? Typowe. Niby typowe. A zaraz potem, nagle, z głupia frant, dziesięć ostatnich taktów przy-nosi ukojenie w D-dur, arpeggia u drugich skrzypiec tak proste, tak różne od kom-pleksowej, nieznosnie – choć pięknie – złożonej do niemożliwości, pęczniejącej estravaganzy. Wreszcie ukojenie.

Czy nie lepiej było przed stu dwudziestu pięciu laty? Jednonogi żebrak Charles Alberique ścigał się na swoim psim zaprzęgu z Wiktorią w bryczce ciągniętej przez konie, a może Jacquota. W marcu 1897 roku Amadée Forestier, długoletni i dłu-gowieczny słynny ilustrator „Illustrated London News” i „Windsor (jakkż inaczej?!) Magazine”, na akwareli uwiecznił Alberique’a wraz z zaprzęgiem i brodą à la Toł-stoj gdzieś na wzgórzach ponad Cimiez, zaś grafika nieznanego karykaturzysty

przedstawia wyścig żebraka z królową. Monarchini, dając bezdomnym jałmużnę, nazywała ich starymi przyjaciółmi. Zapytana, czy zdaje sobie sprawę, że niektórzy w kolejce po jałmużnę tylko udają żebraków, odpowiedziała, że woli się pomylić, dając, niż pomylić się, nie dając. Burmistrz Nicei otrzymał od niej sporą wówczas kwotę stu funtów, aby rozdzielić je między potrzebujących. O tym, jak burmistrz wywiązał się z tego zadania, archiwalne źródła milczą.

Søren nie miał w Nicei psa – przecież pies, pomyślałem, mógłby odstraszać, jeśli nie gryźć, złoczyńców. Ale z posiadaniem psa-obrońcy i towarzysza wiązałaby się też odpowiedzialność za niego, i psu też trzeba zapewnić wyżywienie. Więc może dlatego Søren nie miał psa. Zaprzęgi są teraz nielegalne. Nie wiem, dlaczego zobaczyłem w myślach Sørena kierowany przez niego psi zaprzęg. Czy, kiedy samochód zwałił go z nóg, Søren, w ciszy bez warkotu aut czekając na ratunek, po drugiej stronie promenady nie zobaczył wyłaniającego się z porannej mgiełki Jacquota, a następnie Wiktorii? A może to już był biały osiołek z Egiptu.

ADRIANA SZYMAŃSKA

Inkunabuł

Są słowa, których używam często
i takie, które prawie nigdy nie pojawiają się
w mojej głowie. Takie słowo: „inkunabuł”.
Uśmiecham się do niego z sentymentem,
choć nie pamiętam, czy kiedykolwiek
przebiło się przez kołatkę moich warg.
Według słowników pochodzi z łaciny,
a znaczy – powijaki, kołyska, początki.
Tak nazywano księgozbiory sprzed wieków
autorstwa pierwszych, średniowiecznych
kronikarzy. Gall Anonim, Wincenty Kadłubek,
Janko z Czarnekowa, Jan Długosz.
To oni zapisali naszą najdawniejszą historię
na kartach swoich kronik.
Sentyment sentymentem, ale jak
wyprowadzić takie słowo na poranny spacer
razem ze słowami: ogród, ścieżka, trawa,
wschodzące słońce, niebo?
Moje myśli krążą we mnie jak jaskółki
pod białymi obłokami. Słowo „inkunabuł”
też się rozskrzydla w mojej głowie i powraca
tam, skąd przybyło. A więc do początku
mojego świata. Do kołyski pamięci.

Kwitnące balkony

Wszędzie, gdziekolwiek jestem,
zostawiam za sobą kwitnące balkony.
Moje prywatne, wiszące ogrody Babilonu.
Od dzieciństwa przebywałam wśród kwiatów.
Pełno ich było wokół toruńskiego domu
i na balkonie dziadków. Nagietki, dalie, astry,
pelargonie, irysy, gladiole – kwitnące zjawy,
na które uwielbiałam patrzeć, żeby też rozkwitać
w tym roztańczonym raju. Tańczyłam później
pośród warszawskich bloków, tańczę i dziś –
na kwiatowych rabatkach mazowieckiej
prowincji. Tutaj mam na balkonie nie tylko
wierne od lat pelargonie, ale też kępki żeniszka,
okazałe słoneczniki i stokrotki afrykańskie.
Te ostatnie – kwitnące liliowo i różowo –
kocham najbardziej. W ich płatkach
– miękkich i jędrnych zarazem – uwijają się
pszczoły i osy, a słońce mości swe promienie
w ich gościnnych koronach.
Moje kwitnące balkony tak się zakorzeniły
we mnie, że chyba razem z moją duszą
wzlecą wprost do nieba. Jeśli zostanę Tam
wezwana w chwili nowego,
niebieskiego posiewu.

Żyjąc w tęczy

Każdego pogodnego ranka
słońce rzuca na ścianę w kuchni
światliste barwy przez kryształowy wazon,
stojący przy oknie od wschodu.
Jedząc śniadanie patrzę na ten barwny obraz
i choć powoli znika, ustawiam się czasami
w blasku tęczy, żeby stać się na chwilę
częstką tego olśniewającego piękna.
Czy tak właśnie poczuje się kiedyś,
gdy dotknie mnie promień Wiecznego Światła
i stanę się już na zawsze jego doskonałą kopią?

KRZYSZTOF SIWCZYK

Na przecięciu arterii

*

Z tego co wiesz, historia to zestaw fikcji, z których rodzą się sekwencje faktów twardniejących z czasem w prawdy wiary i co za tym idzie w rzeź. Dlatego nigdy do końca nie brałeś na poważnie opowieści z frontu, wszystkich pokątnych głos, które wybuchały jak niewypały, po latach, podczas libacji starego wojska, tych otępiałych wiarusów, siedzących na ławeczkach pod blokiem w obszczanych portkach. A jednak bywały chwile, kiedy przysadałeś z wrażenia, bo coś nagle nie mieściło się w głowie, wykraczało poza język skarg i megalomanii, kiedy jeden z drugim milkł nagle, niezdolny wrócić z wspomnień do żywych jak twój ojciec, jedna z wielu ofiar przeszłości, z której nie przyszło nic więcej poza tobą, synem prowadzonym twardą ręką wprost pod próg jutra, które nie potrzebuje chucher ni łez, jak mawiał. Nie być nim udaje ci się coraz lepiej, twoja wzgierność i obojętność jednak triumfują, na ławeczce zostawiasz autarkię, lecisz dalej, na przewóz w kolektyw. Zdarzały się cuda, kiedy trup ożył, wstał z ławki, biegł za przewozem i krzyczał coś, wygrazając dali, nie mówiąc o tym Nikomu.

*

Wysiadujesz swoje godziny w biurze projektów, na cyferblacie wykręcasz numer stróżówki, w której dorabia ojciec. Jest w okienku, patrzy godzinami na taśmociąg wyprowadzający węgiel na wagony. Nie może ustać w podziwie. Wałki i rozrząd pracują płynnie, nic się nie zacina. W jego czasach wszystko haratało, kombajn ciął kończyny, pył ze spojówek wgryzał się w szare mydło, człowiek wyglądał jak pobity kłown, cyrk na kółkach stacjonował raz w roku w niecce po odpuszcie. Stary niedźwiedź skomlał w klatce. Zaczynasz współczuć ojcu, to cię osłabia. Widzisz już niedzielę, blat okrągłego stołu, przy którym siądziesz z żoną, wyznając entuzjazm w kierunku gara z kapuchą. Twój dawny pokój całkowicie

przejął brat. Czuć go chucią młodego wilczka. Zaiste interesują go laski i dupen-
cje, jak twierdzi. Podobno ma skłonności do matematyki. Podobno u was to ro-
dzinne. Matka dolewa sosu na kluchy, powoli rozwiązujesz zagadkę jej rolady
spętanej rzemieniem. Będziecie starać się o dziecko. Twój ojciec twierdzi, że tu
mu kaktus wyrośnie, jak coś spłodzicie. Jeży się. Zostawia w tobie kolce jak opun-
cja. Zmilczasz jego zazdrość.

*

Widzisz już jak to jest mieć wszystko za sobą i w jakiej kondycji wszystko mani-
festuje swoją agresję. Przykre zwycięstwo nad ojcem świętujesz po wyjściu, pa-
trząc w parterowe okno, skąd wygląda jednak za tobą, spoglądając znacząco na
przystanek, by po chwili rozdać sobie partię skata. Pamiętasz każdą, tłustą kartę,
te wzory Edenu i tajemne słowa krojc, grin, herc, szel, wyrzucane w pośpiechu
między mężczyznami dawnej kompanii, którzy wspominali tygodnie w okopie
i ostatnią grę przed szturmem wzgórza. Po miesiącu chcieli czym prędzej umrzeć.
Raz tylko ojciec wygadał się, czym jest wspólna sralnia na wojnie. Po pierwszym
ataku większość towarzyszy wyglądała jak korpusy z talii, przecięte w połowie, od-
wrócone w krzywym zwierciadle włoskiego słońca. Podroby spływały po zboczu,
kolejne zastępy ślizgały się na jelitach, sierżant zarządził odwrót do dziur. Listy do
Aneczki zalała posoka. Ale on, stary niedźwiedź, jakoś się uchwalił. Nie było w nim
niczego żywego. Człowiek z taksydermii, twój mały dziś ojciec, amant na jedynej
cywilnej fotografii, która dalej wisi w pokoju, przypomina matce czemu służy jej
serce, które się na nim poznało.

*

Autosan wyrzuca cię pod garaże syren. Zerkasz w pieczary pełne zwędzonych na-
rzędzi. Kilofy i kielnie układają się w krucyfiksy wiszące nad otwartymi maskami
wyśnionej marki. Niebieski dym wypełnia komory. Brązowe i zielone butelki sku-
piają światło, słysząc ciche przekleństwa. Torby ze skaju pękają w zgięciach, tłusty
papier przyjmuje smar, krew zalewa właściciela, twojego kolegę z roku, relego-
wanego po grudniu. Był z niego mózg. Chwytał w trymiga trygonometrię, prze-
powiadano mu docenturę i placówkę, tymczasem postawił na głodówkę. Stoczył
się błyskawicznie, żal było patrzeć, jak marnuje talent w warsztacie. Jego dumne
kiedys oczy zaszły siwą mgłą, piąte przez dziesiąte rozumiesz wyrzuty, które czyni

ci przy każdym kontakcie. Najpierw próbowałeś coś tłumaczyć, potem zeszło z ciebie ciśnienie. Przerobiłeś już parę utrat. Z nich składa się w końcu życie, jak sądzisz, w nich przejawia się jego pełnia. Ten przesyt znasz aż za dobrze. Tracić ludzi i chęci, utrzymywać się na krzyżu zatruty, wisieć głową w dół, na trapezie, śmiać się do rozpuku, do woli chodzić, jak chce wahadło zegara. Bóg jeden wie, mówisz, po co jęczeć do syren z gwoździ.

*

Nieustępliwa wiara twojej matki, którą komunikuje w komunikancie rano i wieczór, wychodzi przed szereg robotniczej dzielnicy. Zachodzisz w głowę, kiedy ona właściwie je. Ponadnormatywny post, umartwienie w każdej porze roku, rozpacz nad węglarką i garem, zaczynają przyjmować postać oczywistości, z jaką odpowiada na każde czułe pytanie o zdrowie. Zawsze wszystko dobrze, nigdy nie słyszysz skarg, tylko jej skulona sylwetka pod ołtarzem zdradza wyczerpanie, w trumniakach przysypia na podniesieniu, zawsze trochę w niedoczasie klepie mszalik, ściskając w prawicy brewiarz. Uwielbiasz te delikatne stronice, welin łagodny jak zefir, przebicia słów, z których ulepiła siebie na każdą okazję. W piątek świątek. Wszystko, co prawdziwe odkłada się w jej trzustce. Bóle stają się częstsze, czuje nadkwasoty. Zmienia kolor. Przebóstwia się w mandarynkę, której nigdy nie jadła. Niby wszystko to wiesz, ale nic nie robisz. Twoja drobna matka weszła w koleiny, jest już na taśmociągu, odjeżdża w wagonie kolejki, przesuwa się niemo na planszy empireum, staje się kartą skata, wzorem pruskim podartym w połowie.

*

W czynie społecznym włączasz się w budowę basenu. Mały akwen wielkich uciech. Będziesz w nim nurzać się w marzeniach. Będziesz pierwszym, który wskoczy do wody, na głucho świat zostanie na górze. Odwrócisz się na dnie, skąd zobaczysz falujące postacie fizycznych, podeszwy ich gumiaków i odległe promienie przeszywające wodę jak dratwa czy inne babie lato, które pętają cię na powierzchni. Jesteś stworzony do wody, ćwiczysz motyla każdego ranka, przeskakujesz przez ogrodzenie i już stoisz na słupku. Obserwujesz spękany beton, jesteś lekki, chlor wnika w twe ciało, broda łagodnie faluje, zajady pieką niemiłosiernie. Wynurzasz się zwinnie, zarzucaś ramiona na krawędź, patrzysz na kilwater, który niknie i zbliża

się do swojego źródła. Twoją głowę okadza mgła, przebierasz się za tranzystorem. Ubierasz lajkę i wymięte teksasy na mokre ciało, podjadasz pajdę z tłustym. Najlepsza część dnia przechodzi w najgorszą całość czasu, który upłynąć musi, zanim uznasz w swoich rytualnych dziwactwach faktyczne usposobienie do znikania pod powierzchnią życia, gdzie odnajdziesz we mnie swój głos tonący w agonii.

*

Junkers nad wanną tyka ospale, wpatrujesz się w pękniętą płytkę. Państwo paradoksalne jak glazura z plastiku dało ci lokal do cichego trwania. Implodujesz jak piana, chowasz się w łazience przed nocą. Sitko przyjmuje mydliny, włos łonowy zostaje na wierzchu. Szorstki ręcznik nie przyjmuje więcej wilgoci, cuchnie jak system. Nie wypada palić radomskich, ścieżki zdrowia wyznaczają rozkład, trwa mobilizacja ideowa, coraz częściej migasz się od pracy, twoja żona roni któryś raz. Główny planista przysłał ci widoczki z demoludów i klepsydrę. Bawisz się przed snem, przesypujesz próżnię godzin pustym śmiechem, robisz jej okłady, gorączkuje, ale jest szczęśliwa, że skończyło się łyżeczowanie i ten miesiąc z nogami w górze, bez ruchu, w oczekiwaniu na przedłużenie ciąży. Będziecie próbować do skutku, właśnie znaleźliście lekarza, który wykazał podziw dla waszych próżnych starań. Świat coraz bardziej wydaje ci się balonem, bańką piany, komórką jajową, implozją rozkoszy i rozczarowania, z których powstała czarna dziura nocy, w jakiej śnisz jednak pozytywne rozwiązanie klątwy ojca.

*

Wasze dramaty tworzą teorię niesprzeczności, doskonale ustalają się z tym, co na zewnątrz, a zarazem wydają wam się jedyne w swoim rodzaju. Starcie się nie słuchać sąsiedzkich pogaduch, szeptanych po kominach, kiedy leżycie razem w wannie, a ty masujesz plecy swojej żonie. W kratce wentylacyjnej ktoś słucha Wolnej Europy, ktoś inny otwiera łóżko w meblościance. Rozgadana termitiera zaczyna poruszać blokiem, z sufitu odchodzi farba. Nad wami rośnie zaciek. Masz wrażenie, że zaraz zaleje was fala przyboju, którą witaliście tego lata, kiedy zostawiliście ślady stóp na plaży, idąc całkowicie sami w kierunku latarni jak ostatni ludzie zamykający za sobą życie we dwoje. Dziecko wydawało wam się fabułą, która wypełni wasze dni, będzie o czym gadać innym, którzy już zasuwali po żłobkach. Już o świecie słyszeć walkę z materią, a po chwili nerwowe kroki na klatce i trzask żela-

znych drzwi na dole. Im bardziej się starcie, tym bardziej wam nie wychodzi. Zaczynają się wyrzuty. Rozchodzicie się do swoich obowiązków, podczas gdy w ustach zostaje swąd słów wypowiedzianych przez obce usta, które mówią między innymi wami.

*

Schodzisz do piwnicy, zaczynasz majsterkować, dla uspokojenia liczysz zapeklowane przetwory. Sprawdzasz lak, tulisz się do chłodnej ściany. Pojedyncze ziemniaki osuwają się z kupki. Siadasz na prowizorycznym stole. Kręcisz imadłem i patrzysz w piwniczne okienko. Widzisz małe zgromadzenie, zbiórkę podpisów pod słuszną petycją, słyszysz fragmenty postulatów. Nie wydaje ci się, żeby mogło to coś zmienić w twoim życiu. Ono jest już wypełnione postulatami, ma swoją konstytucję, twardo trzyma się przyzwyczajęń i swojej legendy. Przysypiasz. Syreny budzą opuchnięte powieki, dalej słychać morze. Wtedy, o świecie, musiałeś mieć za złe sobie tę próbę ucieczki, kiedy nocą wszedłeś w topiel i z sobie tylko znanych powodów myślałeś, że nie czeka cię nic. Jesteś tam dalej, szepczesz. Wielkie nieba, plaża pusta, pełnia nikogo. Od wtedy nie potrafisz się angażować. Owszem, biorąc cię nerwy, jesteś całkowicie zgodny, podpisujesz się pod wszystkim, w co nie wierzysz. Mieszkasz jednak w swojej piwnicy, trwasz w zaciemnieniu. Żarówkę wkręcasz zimą, poza tym poznajesz na macanego. Oszczędzasz się na Później, stąpasz ostrożnie po wszystkim.

*

Kineskop żarzy się jak propaganda. Patrzysz i ślepniesz, słuchasz i głuchniesz. Żarcie z kwintala, trzoda rośnie w siłę. Raport z kolejnego odcinka absurdu. Czytasz co popadnie, nazywasz, co jest. Na szpaltach szukasz satyry i nekrologów, dwóch tylko prawd, wobec których czujesz respekt właściwy ostatecznej dojrzałości, na jaką nie byłeś gotowy w tym akurat państwie długich zim i szarych zórz, kiedy niebo zachodzi dymami znad ciepłowni, a ty odnajdujesz w sobie małe poezje wybrakowanej apokalipsy, bo nie inaczej zachodzi w tobie proces wyolbrzymiania faktów jak tylko przez biblijne porównania. Plaga zwątpienia ogarnia plan pięcioletni, dywersja pleni się jak szarańcza, aparat władzy pracuje nad rozwiązaniem kwestii niedoborów. Z Egiptu wychodzi się do Babilonu, ze świtu przechodzi się do nocy, z tramwaju do autobusu, z nogi na nogę, ze strony na stronę, gdzie eks-

pozytura ogłasza sukces na wykopaliskach. Mumie zadają szyku w piramidach, twoja żona szyje na potęgę, nosicie się między nimi ostrożnie, nie chcecie rzucać się w oczy faraona, który siedzi już w trybunie ludu.

*

Z tego, co się dzieje wyciągasz proste wnioski. Klątwa trwa. Dostałeś wolne na opiekę szpitalną, choć lekarz zarządził tryb ambulatoryjny, który akurat ciebie nie dotyczy. Próbujesz wczuć się w sytuację żony. Łąduje na sali, z której wraca do domu i znowu łąduje na sali. Jej brzuch jest ciepły, jej oczy puste. Próbujesz coś robić, w międzyczasie trafia się niedziela. Podpatrujesz ludzi w salach, nie ma obchodów. Cisza w garkuchni. Słysząc w powietrznych korytarzach loty szybowców, schodzą o czasie, w ogrodach składa się do zmierzchu. Droga nie ma dokąd jechać, gra szelest traw, zielona fala podchodzi pod obejścia, konie pędzi bat woźnicy. Niedziela całokształtu. Worki z brudną pościelą spadają do zsypu. Po chwili znowu cicho. Wyrwy w głuszy robi jęk kobiet i psa, zmęczenie materiału, głosy wewnątrz ludzi, jak jeden patrzących teraz po sobie. Chociaż dzieli ich mur ze słów i łączy echo tego, czego nie chcieli, wciąż mówią. Czekają na dzień z tych niebyłych i niewydarzonych. Masa czasu spłynie w kanały, z pustych hangarów wyjdą z nich szare noce i zgrzytanie zębów wyrwie ze snu język Bóg wie kogo.

*

Właściwie nie wiesz jak, ale zaczynasz ćwiczyć nieme litanie do zapatrzeń w okno ponad zazdrostką. W zaślepionym szkle wydrapujesz wkładem judasza. Twoje oko skupia obrazy cieni człapiących w ciężkich szlafrokach, sinych widm wygrających niebu tak, jakby faktycznie miało się przychylić do oddalenia wyroków, z którymi wyjdą żyć dalej, będą usłużnie ustawiać się w kolejkach po chleb w powszednie dni osłupienia, jak pątniczy korowód forsujący zamkniętą bramę mauzoleum. Przecież wiesz, że tam nie ma nikogo, kto słucha, nikogo kto patrzy. Duch, to przyjazne truchło, myślisz, mógłby raz chociaż przynieść ci szczęście, za które będziesz wdzięczny czemuś innemu niż losowi wygranemu na loterii przypadku. Tymczasem możesz tylko dołączyć do widm, ubrać się w szlafrok, założyć włosienicę i praktykować umartwienie tak, aby kolejny raz nie dotknął cię szczególnie, żeby był tylko potwierdzeniem żelaznej logiki cierpienia, które uszlachetnia zbołałe ego narcyza, któremu należy się przynajmniej minimum straskanego lustra,

w którym odbije się obraz twarzy należącej do nikogo, którego wołasz bezgłośnie, po imieniu, które już wybraliście.

*

Zajmujesz czas, po kryjomu przeskakując na działkę rodziców. Stworzyli tu terakotową armię grządek, z których patrzą kielichy kwiatów nieporuszone najmniejszym zefirem od martwej rzeki ścieków, stacjonującej w korycie rtęci i wspomnień dawnej wielkości miasta. Do tej rzeki można wejść dwa razy, to ta sama maź wirów, w które wpuszczałeś papierowy model Defendera. Ustawiał się zawsze stępką do dołu, tonął w sercu wiru, ale nie zrażałeś się, godzinami siedząc w altanie zamiast na lekcjach, lepiłeś omasztowanie z zapalek, spinaker z bandaża. Czas nie płynął, tylko kręcił się w po kole katastrof jak stojąca w beczce deszczówka, w której ginęły pokolenia pszczoł. Martwy rój unosił się łagodnie jakby spał. Na szpadlu ojca wyniosłeś je nad rzekę, by zabrał je wir, w głąb przeznaczenia, tam, gdzie nie widać już materii umęczonej umieraniem. Podniosłeś głowę, wysoko w górze tworzył się wir burzowy, wyciągnąłeś ręce, licząc, że cię zabierze, że nagle zaczniesz unosić się z flauty, przechylił się ostro na wiatr, będziesz widział na horyzoncie cel podróży, terminalny zwrot przez sztag.

*

Póki co będziesz ojcem, czas ruszy z miejsca postoju wyobraźni, sparaliżowanej teraz przez kalendarium porodu. Wtorek, jedenasta dwadzieścia, widzisz przystań bólu i bezprzytomnej radości, którą wyrażasz każdej napotkanej pielęgniарce. Nie możesz zobaczyć żony, leży nietomna jak pszczoła, półmartwa lebioda, ale dzielna, mówi lekarz. Masz przyjść jutro pod okno, dziecko ma się dobrze, dziesięć w skali Apgar. Obdzwaniaasz rodzinę z telefonu w prezydium, koledzy organizują żyto. Twój ojciec mówi, że nie może to być. Matka biegnie do kościoła, wrzuca na tacę talizmany po matce. Dziękuje niebiosom za zmiłowanie nad lebiódą. Nie za bardzo rozumiesz po życie co też czyni. Pod kościołem kręci się pusta łańcuchowa karuzela. Łańcuchy uderzają o krzeselka. Orientujesz się, że twoja uwaga zaczyna ostrzyć jak omega, barwy wydają się wyraźne, ludzie mniej ogólni, bezpańskie psy patrzą wymownie, znaczenia nabiera najmniejszy szczegół w poruszeniu traw. Wydaje ci się, że nabyłeś nowych umiejętności, że nic cię nie ruszy, jesteś owadem, doskonale widzisz, gdzie rodzi się zagrożenie.

*

Siadasz naprzeciwko meblościanki. Jej zakrzywione pułki unoszą trylogię na metry, trochę cegieł z zakresu budownictwa i ekstrawaganckie serie historii malarstwa. Te wszystkie cuda świata za granicami rzeczywistości, jaką znasz, wydają się niekoniecznym aneksem do faktycznego dzieła życia, które za moment wejdzie na pokoje. Masz ich trzy. Mały, mniejszy i najmniejszy. Człapiesz po metrażu, wydeptujesz ścieżki na linoleum, w kuchni mucha trzaska między żaluzjami. Przy-mocowana do blatu maszynka do mięsa obluźowała się na imadelfku. Patrzysz w jej wnętrze, wkładasz palce i przekręcasz delikatnie pokrętko. Ból przywraca cię realności. Tak, sprowadziłeś na jałową ziemię człowieka, który nie jest niczemu winien. Powtarzasz sobie zasłyszane od starszyny rodowej mądrości, opierasz się o te banały, poza nimi nie istnieje dla ciebie inna wykładnia ojcostwa. Żadna inna nie jest potrzebna. Krew z twojej krwi, kości z twoich kości, wejdą do maszynki, upchnięte przez popychacz stawiają opór wajsze, ślimak wszystko zmiesza, przez sitko przejdzie masa i władza, przewracasz reprodukcję *Ciała w ruchu*, odkładasz z niedowierzania ze zrozumieniem.

*

Masz nagrany wózek ze sztruksu, stoi podobno na wartowni, na zachodzie, ale już rusza przez ziemie odzyskane, na dużych kółkach, bez centry, o którą zadbasz w piwnicy. W kontrabandzie przyszły też zgniłe mandarynki, parę kabanosów i czekolada, pomarańczowy ser, malarstwo Holendrów w kieszonkowym wydaniu dla twojej kobiety, wpatrującej się właśnie w ssącą pierś główkę, w zapadnię ciemiączka, w akt urodzenia. Na garkuchni raban od rana, salmonella podróżuje w kosteczkach, zimne nóżki topią się w skwarze lipca, dwudziestego szóstego, salowa nadrabia dni na zdzieraku, czyta na głos imiona, imieniny Anny i Krzysztofa, podczas gdy dzwoni telefon na izbie przyjęć, z której słychać już kroki w chodakach i pytanie, która to lebioda, bo właśnie umarła jej babcia, ale nie ma co się przejmować, bo ktoś musi robić miejsce pędrakom, jeden wchodzi, inny wychodzi, nie mazać się więc, karmić i jeść żelatynę, uzupełniać płyny, nie płakać, nie odwadniać, nawadniać, nie jęczeć, nie zanieczyszczać się, oszczędzać krochmal, samemu sczyścić smółkę, utrzymać życie, jak się chciało, chodaki kopią w drzwi, na odchodnym idą w kondolencje.

*

Sprzątasz co popadnie tak jakby narodziny były końcem twoich sprawunków i twoich brudów, zaległych jak kurz w szparach między linoleum a żelbetonem, ukrytych ambicji i fantazji o spełnieniu pojedynczości twojego życia, które nie miało odpowiednio dużo czasu na odnalezienie pełni swojego wyrazu. Byłeś niewyraźny i zostaniesz niewyraźny, choć od teraz ciąży na tobie nowa odpowiedzialność, której przecież nie nauczyłeś się od własnego ojca, negując jego starania, wyrażane w kanciastych deklaracjach czynionych w chwilach słabości pokątnym obserwatorom jego szarpaniny między całkowitym wydrążeniem z empatii a próbami wymuszenia jej w obliczu twojej, niegdysiejszej adolescencji. Słyszałeś czasami przez drzwi pokoju skargi płynące ze spękanych alkoholem ust, które klęły się na Boga, że nie wiedzą kim jesteś właściwie, co cię interesuje, co czujesz, bo przecież niczego nie mówisz, tylko pakujesz żeglarski worek zajadle, podczas gdy matka krzyczy, żeby cię zostawić w spokoju, bo inaczej cię stracą, oni, którym nie dane było życie inne niż wydobywanie się z ruin, w głodzie, po pogromie, każdy jeden ci to powie, co ty tam wiesz.

ANNA NASIŁOWSKA

Wiersze stacjonarne

moje wiersze lubią spacerować
mówi znajomy poeta
widzę w wyobraźni jak kroczy
aleją wśród drzew
a wiersze
podfruwają skaczą koziołkują
pół kroku przed nim
pasterzem
O, moje teraz wyleżane
w gnieździe
ulęgłe
stacjonarne
chrome

Białe tabletki

karmią nas tu
opiodami
taka jest prawda
z komentarzem pani doktor:
„Nie ma co sobie żałować!
Jak się ból rozszaleje
Trzeba będzie trzy razy więcej
białych tabletek”
żaden odlot w obłoki

jak zapowiadała Susan
artystka wizualna
ona lubi dragi
a ja ani lubię ani nie lubię
bo od tego śpię
żadnych obrazów
odgrodzona od zdarzeń w sali
nie słyszałam
jak ratowali panią Bożenkę
„O, ona jest stale zaćpana!”
mówią dziewczyny w wieku różnym
bo już się nauczyły
że się nie obrażam
tylko śpię

Bólu mój bólu

próbowałam być Kariatydą
dźwigającą sklepienie
ale widziałam jak pęka
zostałam Syzyfką
zbierałam osuwające się
kamienie
leciały
było ich coraz więcej
nie dałam rady
teraz jestem trzcina
złamaną
usiłuję odrosnąć
od dna
i zaszumieć

Sanatorium

ach, mity
opowieści o wieczorkach zapoznawczych
szybkich romansach
i niespiesznych spacerach
wśród drzew
zbawiennym wpływie klimatu
i ciszy
tu jest inaczej
czas rozlicza komputer
pacjenci nie mają nazwisk
ochrona danych osobowych obowiązuje
każdy z nich jest kodem kreskowym
ciągami liczb
odnośnikiem do dokumentacji
zbawienia nie będzie
tylko ciężka praca
pot i znój
forsowne ćwiczenia z piłką
potem rower stacjonarny
pacjenci w przerwach leżą
patrzą w sufit
żadnych uczuć rozmów pretensji
łapią chwile

Do nogi

Pani Maja mówi:

Ty moja stara głupia nogo!

(bo ma dwie nogi

starszą i młodszą

czyli później operowaną

pozytywną

i tą okropną)

Nogo stołowa!

ty świńska nóżko

słupie przydrożny

nogo bolesna

i zatwardziała!

O, nogo, jędzło!

Zołzo!

Zakało nóg!

ślubuję

ukrywać cię pod długą spódnicą

do końca życia

możesz być gruba i brzydka

ale odpuść mi

proszę

Nie wiedziałam

że pani doktor

jest wrózką

przepowiada mi przyszłość

za pół roku pani zapomni

o tym wszystkim

a więc woda rzeki Lete

koi nie tylko dusze
idące do Hadesu
leczy też żywe ciała
i przywraca radość.
To nie było zdarzenie
o którym marzą sfrustrowani
młodzieńcy z alergią na banal
zwykłego życia
i jeszcze nie próba generalna
radikalnego rozwiązania
tylko takie coś
przerywnik
przecinek
nie koma

ARTUR PRZYBYLSKI

Opera

Kiedy mama zabierała mnie jako dziecko do opery na kolejną premierę, przed której napuszoną intensywnością broniłem się wewnętrznie i bezgłośnie, wbity w znienawidzoną białą koszulę i schludny, również znienawidzony, granatowy sweterek, upewniające wszystkich wokoło, że mają do czynienia z porządnym, dobrze wychowanym dzieckiem z dobrego domu, to jedyną pociechą była mi myśl, że nie muszę się kłaść wcześniej spać i że podczas przerwy w bufecie kupiony zostanie bezwzględnie za me poświęcenie należny mi sok lub ciastko, których oczywistość i realność kontrastowała przemiło z nieoczywistością, a raczej piramidalną, nieznosną sztucznością i nierealnością wszystkich tych za głośnych, za dramatycznych arii operowych wypełnionych zbyt gwałtownymi, niemającymi nic wspólnego z aktorstwem gestami i ruchami, które usprawiedliwić by można w niemym kinie, ale nie tu przy tym huku orkiestry i wysokim C przebijającym chłopcę, nie do końca jeszcze wykształconą błonę bębenkową i świdrującym mózg do samego jego środka, gdzie gnieździła się nieusuwalna, uporczywa myśl, a raczej zdziwienie, że coś tak pokraczno-kiczowatego, a w ówczesnym dziecięcym języku po prostu dziwnego, może istnieć i do tego jeszcze ekscytować ludzi. To zdziwienie, którego odwrotną stroną była wtedy męczarnia kilkugodzinne przedstawienia, towarzyszyło mi jakiś czas później, kiedy w wieku czternastu lat wchodziłem do tego samego gmachu tylnymi drzwiami dla śpiewaków, muzyków, obsługi technicznej i statystów, w których poczet dostałem się dzięki koledze z liceum, a ściślej rzecz biorąc, dzięki jego ojcu kierującemu chórem i opiekującemu się również właśnie statystami, ale teraz odwrotną stroną owego zdziwienia była ekscytacja, jaka towarzyszy poczuciu wtajemniczenia i specjalnego statusu potwierdzanego między innymi właśnie prawem do wkraczania prosto do wielkiego brzuszyska opery owymi tylnymi drzwiami dla uprzywilejowanych, dla tych, którym dane było poznanie wnętrza tego napakowanego przejawskawionymi kolorami balonu

niemal pękającego od sztuczności, intensywności i przerysowania, które mi już nie przeszkadzały nie tylko dlatego, że sam stałem się po trosze ich częścią, ale i dlatego, że oglądane z bliska, a nie z widowni, bardziej były namacalne i cała ta sztuczność przeżywana tak bezpośrednio i bez dystansu, jeszcze bardziej narzucała swoją obecność, a więc chyba wręcz prawdziwość tak przecież wyraźnego, krzykliwego istnienia, domagającego się dla siebie uznania tu w tej szczególnej przestrzeni tak różnej od przygniatającej szarzyzny przeżartego komunistyczną biedą miasta. Opera od wewnątrz była w swej intensywności niczym pierwszy łyk alkoholu pieczętujący pierwszy raz przeżywaną wakacyjną wolność bez rodziców, wywoływała dreszcz tym przyjemniejszy, że był to dreszcz nocny, przeciągający się do godziny ostatniego tramwaju, którym miałem teraz prawo wracać późno do domu i było to prawo niemal dorosłego, który wszak zarabia pieniądze, a więc o sobie stanowi i przeto nikt już nie może mu mówić, o której ma być z powrotem w domu, zwłaszcza że ważniejsze sprawy zaprzatają jego uwagę, jak na przykład gapienie się w wielkie, niemal eksplodujące dekolty nie najszczuplejszych śpiewaczek ściśniętych boleśnie kolorowymi gorsetami, które w swej ciasnocie z pewnością podwyższały skalę ich krzykliwego głosu, trafiającego we mnie z nienacką niczym podmuch huraganu, kiedy, niczego się nie spodziewając, przechodziłem akurat obok otwartych drzwi ich garderoby, i rozplaszczającego mnie na przeciwległej ścianie, skąd właśnie zapuszczałem moje powłóczyste spojrzenie w ów dekolt nabrzmiały tak potężną siłą. Te długie korytarze z magazynami rekwizytów, przebieralniami, garderobami, salami prób, były labiryntem zamieszkałym przez najdziwniejsze kolorowe stwory paradyjące tam i z powrotem jak gdyby nigdy nic, choć nigdy przecież nie wyglądały zwyczajnie, zwyczajnie się jednak w tym wszystkim czując, co oczywiście wyglądało jeszcze dziwniej. Sam stopniowo przyzwyczajałem się do tej dziwności, która jednak nie stawała się mniej dziwna, bo nadal tak samo kontrastowała z poszarzałym, biednym światem na zewnątrz.

Pograżałem się więc w tym kolorowym brzuszysku opery i czułem się niczym zwykły, mały ciernik oszołomiony wielobarwnym i wielokształtnym bogactwem rafy koralowej, wobec której nigdy nie miał prawa się znaleźć, skoro pochodził z łódzkich Bałut. O statystów nikt się nie troszczył, a w szczególności nikt nie troszczył się o to, by mnie jakoś wprowadzić w całą sprawę, przeciwiczyć ze mną to, co miałem robić na scenie, na którą zaraz miałem przecież wyjść po raz pierw-

szy w życiu, zastępując kogoś innego, kto w przeciwieństwie do mnie miał szansę uczestniczyć w próbach do przedstawienia granego już od paru lat, i oto okazało się, że na pięć minut przed naszym wyjściem, ktoś mi objaśnia, że kiedy na scenę wyjdę, mam się udać w lewo i stanąć przy drodze, którą będzie przechodzić sam Faraon, a ja nie mam pojęcia, w które lewo się udać, gdzie jest owa droga, i w ogóle nie wiem, jak wygląda scena i scenografia, bo akurat tej opery nigdy wcześniej nie widziałem, jak wielu innych, w których przyszło mi potem statystować, i oto już biegniemy na dół w kulisy z całym rynsztunkiem, i wybiegam na scenę, z jednej strony wielka ciemność widowni, z drugiej egipskie budowle, trzymam się pleców kolegi, stajemy wreszcie i uff, mogę chwilę odetchnąć, rozejrzeć się kątem oka, oto jestem na środku sceny, zbliża się Faraon i odkrywam, że moja pochodnia się nie pali, bo chyba bateria się w niej wyczerpała, a ja nie sprawdziłem, bo nie wiedziałem, że mam sprawdzić, przed wyjściem na scenę i teraz jestem już pewien, że wszyscy na widowni widzą tylko tę jedyną niezapaloną pochodnię w mojej dłoni, a wraz z nią i mnie, tego idiotę, co nie wie, co ze sobą począć, ale na szczęście Faraon już przeszedł i schodzić mamy, tylko, że mi się sandał rozwiązał, bo to sama podeszwa była, wiązana rzemieniami na krzyż pod samo kolano, które oczywiście źle zawiązałem, bo pierwszy raz coś takiego w życiu zawiązałem, więc teraz powłóczę jedną nogą, żeby podeszwy nie zgubić, przesuwam się paralitycznie w kierunku upragnionej kulisy, gdzie ukryty przed ciekawskich wzrokiem, ocieram pot z czoła, by zobaczyć, że nikogo nie obeszło to, co się ze mną działo, że nikt nie zauważył nawet moich potknięć, bo na scenie tak jest głośno, tak pompatycznie i tak wszystko jest napompowane, kolorowe i powiewające, pod sufit sięgające, że nikt takiego delikwenta jak ja w mej partykularności pomniejszej w ogóle nie zauważył, bo przecież Faraon tak tam basem swym nawalał, że my żołnierze jego niemi, tłem niewyraźnym byliśmy, czego zrozumienie, które przyszło do mnie po kilku spektaklach, pozwoliło mi się rozluźnić, zwłaszcza, że rozumiałem, iż nikt z widzów nie wie przecież, jak ma to wszystko na scenie wyglądać, po drugie siedzi daleko, więc póki nie zrobi się czegoś nazbyt spektakularnego, wszystko jakoś mieści się w tej wielkiej kolorowej maszynie, z tyloma trybikami, toteż zauważenie, że któryś z nich przekręcił się trochę koślawo, jest prawie niemożliwe.

Prawie niemożliwe, ale nie niemożliwe, w szczególności nie niemożliwe dla pana Mariana, najstarszego pośród statystów, emeryta dorabiającego sobie do

niskiej emerytury, który z racji wieku i zbyt wielu spektakli, w których statystował, był elementem szczególnego ryzyka i w działania naszego zespołu wprowadzał dreszcz emocji, ponieważ nigdy nie było wiadomo, czego się po nim spodziewać, mimo że przed każdym wejściem studiował swój plik wymiętoszonych kartek z zapisami swoich działań w poszczególnych spektaklach i poszczególnych scenach, by przypomnieć sobie, co ma za chwilę zrobić, a nikt z nas nie miał pewności, czy studiuje akurat zapiski do dzisiejszego spektaklu, czy może do innego, czy też po wcisnięciu kartek do kieszeni kostiumu, informacja z nich pochodząca tak głęboko wciskała się w pamięć, że po dwóch krokach i wyjściu z kulisy nie mógł jej stamtąd wydobyć, by zintegrować się ze scenicznym ruchem, w związku z czym trzeba było na niego uważać (chyba najważniejsza z instrukcji, jakie dostałem w mej karierze statysty), ponieważ instynktownie wykorzystywał każdą szansę, aby zaburzyć ustalony porządek i na przykład kiedy wychodziliśmy w sześciu żołnierzy, żeby stanąć symetrycznie po trzech po obu stronach bramy, pan Marian zawsze ładował się na czwartego – łamanie symetrii należało do jego ulubionych działań scenicznych – zostawiając po drugiej stronie dwóch osieroconych przez siebie towarzyszy broni, których szeregi trzeba było natychmiastowym przeskokiem uzupełnić do wymaganej trójki i pozostawić pana Mariana na obsadzonej przez niego pozycji, ponieważ próba natychmiastowego zawrócenia czy przekierowania jego osoby we właściwe miejsce sceny mogła skończyć się katastrofą lub też jego solowym występem jak wtedy, gdy podczas *Borysa Godunowa* pochód bojarów wyłania się spod podłogi na środku sceny i maszeruje triumfalnie w lewą kulisę pointowany jednak przez ostatniego bojara w osobie pana Mariana, który – nie wiedzieć czemu – udaje się w przeciwną kulisę, czego nie można nie zauważyć, bo dzieje się to na samym środku sceny i wygląda oczywiście komicznie, ale i potwierdza absolutną wolność pana Mariana, indywidualność jego godną tylko solisty, której oczywiście nie miał nigdy żaden z pozostałych statystów.

Mnie samemu dana była taka szansa pokazu solowego podczas przedstawienia *Traviaty* w scenie balu, gdzie śpiewa się i pije wino wnoszone przez lokaja ubranego w obcisłe białe pończochy nazbyt przypominające przedszkolny archetyp upupiających rajtuz, w przyciasny surdut i perukę, którą umocowano na mej głowie damskimi spinkami do włosów, próbując jednocześnie przebić nimi moją czaszkę po uprzednim ściągnięciu włosów graniczącym z oskalpowaniem,

skutkiem czego miałem z pewnością skośne oczy (choć *Traviata* nie dzieje się w Chinach), być może jednak niewidoczne pod warstwą makijażu, którego nie szczędziła nam charakteryzatorka, a zatem wbity w trzewiki, upudrowany, usurducony, zaperukowany miałem wkroczyć na scenę, niosąc gigantyczną tacę z mnóstwem strzelistych kieliszków, które złowrogo podzwaniały, kiedy tacę próbował mi przekazać rekwizytor, abym mógł z nią lekko i przyjemnie żeglować pośród rozśpiewanych gości balu pobierających serwowane przeze mnie wino, ale w cały ten prosty i uroczy plan wbiła się głęboko jedna jedyna myśl, że w całej tej niewygodzie stroju mojego połączonego z ogromnymi rozmiarami tacy i niezliczonymi kieliszkami zdołam być może donieść tę tacę do środka sceny, tam jednak z pewnością ją wywalę, czego nie uda się ukryć i zagłuszyć dźwiękami orkiestry, wobec czego odmówiłem pobrania tacy i wyjścia na scenę – zwłaszcza że dopiero przed chwilą dowiedziałem się, że mam dokonać tej karkołomnej ekwilibrystyki – nastąpiło więc krótkie śpięcie z rekwizytorem, który odpowiedzialnie próbował wmusić mi tacę, ale z racji wypełnienia jej szkłem, brzęczącym coraz bardziej złowrogo, nie mógł zastosować żadnych środków przymusu bezpośredniego, zwłaszcza że cofałem się głębiej i głębiej w kulisę, zachowując bezpieczny dystans, kiedy to on próbował napierać, aż w końcu scena poszła dalej zaśpiewana przez nieco rozczarowanych gości o suchym pysku, co omal nie zakończyło mojej kariery operowej.

Kariera ta jednak się rozwijała, a ja coraz płynniej i swobodniej poruszałem się po deskach sceny bez względu na to, czy wiedziałem, co mam robić czy nie, czego ostatecznym testem okazał się przyjazd potężnej opery z Petersburga z trzema przedstawieniami do odegrania przez weekend, w których oczywiście mieliśmy statystować, by wspomagać aktorów bratniego kraju i nawet doszło do dwóch prób przed przedstawieniami, w których jeden z chórzystów odpowiedzialny za statystów próbował nam pokazać i wytłumaczyć, co mamy robić, problem jednak polegał na tym, że robił to po rosyjsku, a my choć w szkole musieliśmy uczyć się rosyjskiego, to jednak za punkt honoru stawialiśmy sobie zawsze i patriotycznie, żeby się go nie nauczyć, a nawet posuwaliśmy się do tego, że kiedy coś rozumieliśmy, to i tak zwyciężał honor i ostatecznie decydowaliśmy w imię ojczyzny, że nie rozumiemy, co było szczególnie łatwe zwłaszcza kiedy część rzeczy objaśniał nam nie na próbach, lecz bezpośrednio przed wejściem na scenę, kiedy było tak głośno, że nawet ruski kolaborant i szpicel znający doskonale rosyjski, niczego

by nie zrozumiał, więc szliśmy oto do boju w scenach patetycznych, w których wiedzieliśmy tylko, że naszymi długimi halabardami dzierżyć mamy tłum napierający podczas przejazdu jakiegoś wozu z carem jakimś czy kimś innym, kto równie głośno jak sam car śpiewał, więc i ja dzierżyłem ten tłum, który to tłum, napierając, chwycił się mej halabardy poziomo trzymanej i nie puszczał, nawet wtedy gdy chciałem się oddalić, jak wszyscy moi koledzy, którzy też początkowo dzierżyli, ale potem w odpowiednim momencie przestali dzierżyć i udali się w kulisę, kiedy to ja nadal walczyłem z najeżdżcą nadal uparcie nie oddającym mojej broni, którą nadludzkim wysiłkiem zdołałem w końcu wyrwać z rąk jego i zwycięsko, ale jednak chyłkiem udałem się mocno spóźniony w kulisy, skąd zaraz pobiegliśmy do bufetu, w którym, jak się wcześniej dowiedzieliśmy, nasi rosyjscy goście mają za darmo napoje, które zamawiają po rosyjsku, wskutek czego obsługa jest pewna, że wydaje napoje przyjezdnym, a nie rodzimej braci aktorskiej, która bulić musi, z wyjątkiem nas, polskich do szpiku kości statystów, którzy nagle przypomnieli sobie jednak lekcje rosyjskiego i zamaskowani kostiumami, makijażami i sztucznymi brodami zamawiali *pażałusta kolu* i w ogóle wszystko, co dało się po rusku i za darmo zamówić, by poczuć wreszcie smak sukcesu.

To były chwile rekompensujące upokorzenia *Aidy*, kiedy to najpierw, gadając się i śmiejąc, siedzieliśmy w naszej garderobie statystów odziani w same majty i swego rodzaju wielką pończochę pokrywającą nasze ciała od stóp po szyję, by imitować ogorzałą skórę Egipcjan, aż tu nagle z głośnika rozlega się komunikat inspicjenta „panowie statyści, prosimy na scenę”, a więc zrywamy się i w popłochu każdy łapie swój hełm oraz przepaskę na biodra z krótkimi białymi połami zakrywającymi majty, wybiegamy i pędzimy w kierunku sceny, do której długi wiedzie korytarz, a każdy z nas po drodze usiłuje nerwowo zapiąć tę przepaskę na biodrach, wreszcie mi się udaje, ale tylko po to, by za chwilę stwierdzić jej brak, bo spadła ze mnie kilka kroków wcześniej, moi koledzy się oddalają, ja wracam po zgubioną przepaskę, porywam ją z podłogi i w biegu stwierdzam, że urwała się haftka, na którą zapina się ten cholerny kostium, ale nie tracę nadziei, bo po drodze na scenę jest maleńki pokój, w którym starsza pani naprawia naprędce w krytycznych przypadkach kostiumy w trakcie spektaklu, a więc jeszcze zdążę, w niej moja nadzieja, wbiegam do jej pracowni przy dźwiękach komunikatu „panowie statyści prosimy na scenę, czekamy tylko na panów!”, co oznacza, że przedłuża się już moment przy opuszczonej kurtynie, która

nie może się podnieść bez nas, którzy wtoczyć mamy potężny posąg na olbrzymich kołach, orkiestra po raz kolejny gra to samo, w oczekiwaniu na nas, więc bez zbędnych słów pokazuję mej zbawczyni dziurę po urwanej haftce, czemu z pewnością zaradzi natychmiast po latach doświadczeń, ona zaś nieco bezradnie spogląda i w nagłym przeblysku wyjmuję ze swego koka spinkę do włosów, którą mam sobie, choć nie wiem jak, spiąć tą przepaskę, a więc spinam jakoś, biegnę i tuż przed sceną znów jestem w samych majtkach i w pończosze, z wnętrza której widzę, jak dwóch moich kolegów mocuje się ostatkiem sił z grubymi linami przywiązanymi do tej potężnej maszyny wypełniającej połowę sceny, jeśli oczywiście jest czterech statystów, którzy wspólnymi siłami zdołają ją wyciągnąć, ale czwartym statystą w tej sytuacji był nasz nieoceniony pan Marian, który nawet jeśli byłby obecny we właściwym miejscu, to z racji wieku nie zdałby się na wiele, trzecim zaś statystą byłem oczywiście ja, ukryty bezpiecznie w kulisach, gdzie po chwili usłyszałem długi wywód na temat mojego idiotyzmu, nieodpowiedzialności zakończony pytaniem o to, co ja tutaj robię, na które faktycznie trudno mi było odpowiedzieć, więc stałem tam po prostu dalej ze spuszczoną głową prawie goły i całkiem upokorzony.

I wreszcie rozpoczęły się przygotowania do *Borysa Godunowa*, pierwszego spektaklu, w którym nikogo nie zastępowałem, lecz uczestniczyłem w próbach od początku, które to uczestnictwo polegało głównie na wielogodzinnym oczekiwaniu na nasze wejście, ponieważ w scenach z chórem i baletem oraz oczywiście solistami każda drobna poprawka powoduje początkowy paraliż i powolne przemieszczanie się dziesiątków ludzi, którzy znów mają zająć wyjściowe pozycje, aby powtórzyć jakiś niewielki fragment sceny, który za chwilę znów trzeba było skorygować, a więc znów przeczekać ponowne przemieszczenie tej ciżby, upewnić się, że orkiestra wie, od którego momentu zacząć, nad czym nerwowo próbował zapanować asystent reżysera biegający we wszystkich kierunkach jednocześnie i komunikujący wszystkim jednocześnie niezbędne uwagi reżysera, tak że ostatecznie trudno było ustalić, gdzie znajduje się ów asystent przypominający elektron, którego położenia nie da się określić, ale za to można określić prawdopodobieństwo pojawienia się na określonym obszarze, na którego skraju my leżeliśmy znudzeni nierzadko do drugiej w nocy zwłaszcza podczas kilku ostatnich prób generalnych jasno dowodzących, że ilość możliwości, że coś pójdzie nie tak w tej masie czynników, które trzeba było zgrać, nadal pozostała nieograniczona i kilkumiesięczny

proces prób nie zredukował ryzyka zawalenia się tego domku z kart, na jaki wyglądało całe to przedsięwzięcie, które od początku wzbudziło w nas nieufność ze względu na pewien szczegół scenografii, i to szczególnie dość duży, który był szczęściem zespawanym z cienkich rurek o długości trzech metrów z deskami na górze, po których musieliśmy jako żołnierze biegać w trakcie spektaklu, doświadczając uginania się owych długich desek niepodpieranych niczym na środku, co tym bardziej było niepokojące, że ogromny podest w kształcie litery E zbudowany z tychże sześciaków nie miał żadnych poręczy, a więc stojąc na jego krawędzi, miało się nieodparte wrażenie, że za chwilę grawitacja wbrew naszej woli ściągnie nas w dół, gdzie akurat cały balet tańczył w zapamiętaniu do dźwięków ruskich melodii, ale po jakimś czasie jednak oswoiliśmy się z tym uczuciem, złowrogi uginanie się desek stało się normalne, a przebywanie po wysokich podestach nie stanowiło już problemu po tym, jak wielokrotnie wbiegaliśmy i zbiegaliśmy po schodach przystawionych do dwóch bocznych, skierowanych ku publice, ramion owego wielkiego E, w którego środkowym ramieniu asystowaliśmy carowi, bojarom i w końcu Samozwańcowi, za którym płaszcz niezwykle długi nieśliśmy, odwijany z bębna zamontowanego na tyle podestu, płaszcz nadający dostateczną powagę kluczowej i jakże miłej arii ze słowami „Na Kreml, gdzie Moskwy bramy”, po których mieliśmy właśnie, z wielką radością, pobiec na ową Moskwę, ale wcześniej podczas premiery musieliśmy wyrwać z zaciętego bębna płaszcz, który w przeciwnym razie udusiłby Samozwańca, a z naszego planu zajęcia Moskwy nic by nie zostało, dopiero zatem spełniwszy ten patriotyczny obowiązek ruszyliśmy w sile kilkunastu chłopów na Moskwę, do której dotrzeć mieliśmy prawą odnogą naszego wielkiego E po przebyciu małej kładki prowadzącej do schodów wiodących nas ku kulisom, do których jednak nie dotarliśmy w przewidziany sposób, ponieważ po skumulowaniu naszej grupy na ostatnim podejściu przed nadzwyczaj tym razem rozhuśtaną kładką, w którą ciężko było trafić stopą, by przeskoczyć do schodów, deski pod naszymi dzielnymi, żołnierskimi stopami, nie tylko ugięły się jak zwykle, lecz również załamały się i wszyscy runęliśmy w dół, ja zaś spadłem na tyłek łamiący właśnie trzymaną przez mnie halabardę, która złożyła się jak zapalka i jednym z końców dźgnęła mnie tuż koło oka, ale nie zdołała przebić skroni, w związku z czym mogłem spokojnie wpełznąć wraz z pozostałymi kolegami w kulisę, a całe przedstawienie poszło gładko dalej, bo drobny upadek kilkunastu osób z wysokiego

podestu gdzieś z boku sceny łatwo uchodzi niezauważony przy głośnej muzyce, ogromnej dynamice na scenie, a poza tym nie przeczy duchowi walki.

Cóż za wrzawa była w kulisach, którą uznaliśmy za przesadę, bo w końcu nikomu nic się nie stało, a przynajmniej wydarzyło się coś bardziej interesującego, ale innego zdania był kierownik chóru, który się nami opiekował i był wspomnianym ojcem wspomnianego kolegi mego, a więc wszyscy usłyszeli od niego, że podesty te, na których opierało się całe przedstawienie, poronioną były konstrukcją nigdy nie sprawdzoną pod kątem przepisów BHP, urągającą wszystkim standardom bezpieczeństwa, o czym ponoć nie raz już była podczas prób mowa – zapewne soliści również nie czuli się na nich zbyt bezpiecznie – ale wypadek dotyczył tylko kilkunastu młodych chłopaków, którym nic się nie stało (jakie szczęście, że nie było między nami pana Mariana), więc ostatecznie nie było o co tak się pieklić, zwłaszcza że wreszcie coś zaczynało się dziać w tej ciągnącej się w nieskończoność operze, która nam oferowała tylko jeden moment wyczekiwany zawsze, kiedy to wygłodzony tłum zanosi błagania „Chleba, chleba daj głodnym!” przejmujące nas dreszczem, kiedy słuchaliśmy go z wnętrza tego tłumu jako skazańcy zakuci w dyby i zawsze po zakończonym akcie wymienialiśmy się uwagami czy dzisiaj „chleba, chleba” dostatecznie mocne było i dreszcz wywołało, a do tego dreszczu dołączył się teraz znów znany nam z pierwszych prób dreszcz emocji wywoływany bieganiem po podestach, który próbowaliśmy zredukować, wybierając drogi wzdłuż spawanych konstrukcji pod deskami i bliżej krawędzi, gdzie ryzyko pęknięcia było mniejsze, ale za to można było się omsknąć, słowem zaczęliśmy się bardziej pilnować, jak zresztą wszyscy, bo oczywiście nikt nie miał pomysłu przerabiania podejrzanego scenografii, a jedynie założono nowe deski na zniszczonym podeście i znów był kolejny spektakl, drugi czy trzeci po premierze, na którym znów środkiem sceny na wysokości maszerował Borys Godunow, za nim i przed nim żołnierze, po obu stronach bojarzy i oto stanęli razem na środku sceny, na najbardziej wysuniętym podeście, tuż przed stopniami, które schodziły na przedpole dołu z orkiestrą, która zgodnie z partyturą zagrała teraz ciszej, by Borys Godunow mógł wyśpiewać swą arię i w tej ciszy podkreślanej tylko kilkoma nieśmiałymi nutami zawałił się centralny podest z całą świtą Borysa Godunowa, który ocalił tym razem swe życie, bo przebywszy scenograficzną pułapkę, stał już na pierwszym stopniu schodów, i mógł spokojnie w dalszej części spektaklu umierać u podnóża

tronu, co jednak tego akurat dnia się nie dokonało, bo całe gruchnięcie w centralnym punkcie sceny miało miejsce i to z hałasem, którego nie mogła zagłuszyć żadna orkiestra, zwłaszcza że akurat praktycznie nie grała, wszyscy więc zamarli, po chwili opadła kurtyna i zaczęto wzywać pogotowie, bo tym razem nie było tak zabawnie, skoro ze złamanej nogi sterczała kość, która przebiła skórę, a była to noga, kość i skóra ojca mojego kolegi, jedyne go człowieka, którego naprawdę obeszło to, co się z nami wcześniej stało – czy w operze zawsze wszystko musi być tak przejaskrawione?!

Spektakl zdjęto z afisza, opera zrobiła sobie krótką przerwę, moja koleżanka z klasy, która przyszła nas oglądać i nie mogąc znieść tej nudy wyszła przed ostatnim aktem, na początku którego doszło do tego fundamentalnego gruchnięcia, była najbardziej niepokieszoną osobą na świecie, kiedy następnego dnia dowiedziała się z gazety, co się wydarzyło, a ja pozbawiony moich znajomości w operze, nigdy już do niej nie wróciłem, dzięki czemu na szczęście nie zdążyłem zweryfikować tego wyobrażenia, które na jej temat mam do dziś, że mianowicie gdzieś tam w głębi brzuszyska tego wielkiego gmachu, na końcu jakiegoś niedoświetlonego, bocznego korytarza czy też w piwnicach, do których można się dostać z maszynowni pod sceną, znajdują się tajemne drzwi, znane tylko wtajemniczonym, prowadzące do sekretnych sal, w których przy czerwonym świetle na pluszach i koturnach po zakończeniu spektaklu odbywają się późną nocą najdziksze orgie wypełnione przejaskrawioną, krzykliwą perwersją.

KRYSTYNA LENKOWSKA

Nie chciałam się tu (ani tam) urodzić

Szukałam przebierałam
w ziarnach piasku
kroplach morza
atomach powietrza

za zimno za ciepło
za mokro za sucho
za ciemno za jasno
za ciasno

wylądowałam tam, gdzie
wszystko jedno

jestem więc cała z inercji
z niej wysysam siłę

pniaka
z fantomem
drzewa.

Ostatnia rozmowa

pamięci Janiny Osewskiej

O tym
że wiersze
że wnuki
że buty i stopy
że Indie Australia i Litwa
że haft motyla czy pszczoły
na serwetce
w twoim ogródku
wybuchła wiosna
ciekną strumienie słońca
gorąco
a tobie śmiertelnie zimno

rozmawiamy coraz szybciej
żeby zdążyć

pijemy herbatę powszednią
parzymy Język.

Wiosenny kicz (prawie 80 lat po...)

Dziś konwalie świecą na każdym rogu śródmieścia Warszawy
pachną na straganach kwiaciarek i kwiaciarzy
(pamiętajmy o feminatywach)

ulicami niosą je rozwiane dziewczyny
gorliwi chłopcy
zamyśleni starsi w strojach bez płci

po długiej zimie trzeba umaić pokoje
przewietrzyć wszystko od dymu

ze starych piecyków gazowych
i od spalin z nowych diesli

otwierają się zakleszczone okna:
więcej powietrza! przyjaźni!

era konwalii jest naiwna i niepoprawna
jak kiepski wiersz

jest wieczna

jakby przed nią nie było innej historii zapachu
a po niej tylko potop.

LESZEK SZARUGA

Jeszcze trochę bardziej inne historie

Własne zdanie

Poeta Mieczysław Struna ogłosił, że ma własne zdanie.

– W jakiej sprawie? – dopytywał profesor Ryszard Piotrowski.

– W każdej. Mam własne zdanie w każdej sprawie i ono nie podlega dyskusji, bo to jest zdanie uniwersalne.

Profesor wzruszył ramionami.

– No dobrze. To powiedz to zdanie.

– Świat jest mój! – wrzasnął Struna triumfalnie.

Dziewczynka (IX) i szósty przypadek Anny

Zielonooka, ruda i piegowata dziewczynka wyszła jednocześnie z jezior Attersee z obrazu Gustava Klimta i George z obrazu Thomasa Chambersa.

W tej samej chwili Anna, kobieta wybuchowa, przemierzając Góry Skaliste, zdetonowała zdalnie ładunki eksplodujące w siedzibach Industrial and Commercial Bank of China, Bank of America oraz Deutsche Bank.

Ulice miast zaroily się od dinozaurów.

I tak dalej.

Grant

Kosmoteolog Andrzej Komen ubiegał się o grant na badanie dotyczące metod ewangelizacji kosmitów. Chodziło o duże pieniądze, rząd bowiem popierał ewangelizację.

– A jak chcesz rozwiązać problem kontaktu? – zainteresował się inżynier Jarosław Mamroń.

– To proste – odparł Komen. – Będę rozmawiał z politykami i kapłanami. To przecież kosmici.

Sen doktor Szpakowej

Doktor habilitowana Małgorzata Szpakowa od kilku lat mieszkała z kotem o imieniu Onufry. Kot Onufry przeciwnie, mieszkał z doktor habilitowaną Szpakową. I oto przyśniło się doktor Szpakowej, że we śnie Onufrego wdała się z nim w poważną debatę, lecz po przebudzeniu nie była w stanie nic sobie z tej rozmowy przypomnieć.

Opowiedziała o tym profesorowi Ryszardowi Piotrowskiemu.

– To oczywiste, drogie dziecko, że nic pani nie pamięta. Koty mają szorstkie języki.

– Och, panie profesorze! – splonęła doktor Szpakowa. – Nie przypuszczałam, że to sen erotyczny.

Krytyka rewolucyjna

W gazecie ukazało się obszerne omówienie poezji poety Antoniego. Niby po-chlebne, ale jednocześnie wredne jakieś. W dodatku anonimowe.

Autor lub autorka tekstu demaskuje manipulacje lingwistycznej maestrii Antoniego jako czynnik powodujący transformację łez wzruszenia odbiorców czy nawet kropli potu intymnych zbliżeń bohaterów lirycznych w dźwięczące monety napędzające maszynę późnokapitalistycznego systemu ubezwłasnowolnienia człowieka zagubionego w labiryntach płynnej tożsamości zglobalizowanego systemu i w efekcie odziera go z godności, tym samym czyniąc zeń ofiarę składaną na ołtarzu egoistycznych potrzeb władzy.

– Przecież to jakiś bełkot – orzekł krytyk Walerian Mostowski.

– Przeciwnie – odparł redaktor Władysław Wyrajski. – To bardzo progresywne jest i zbliża sztukę do życia. Walka klasowa trwa. Permanentna rewolucja zwycięży!

– Daj spokój. Chyba samą siebie. – Mostowski wzruszył ramionami i się oddalił.

Kampania wyborcza

Zbliżały się wybory parlamentarne. Wszyscy gadali o demokracji. Że jest ok. Że jest o kant dupy. Że tak naprawdę to nie wiadomo na kogo głosować. Że znów głosuje się nie za, ale przeciw. Straszny jazgot pełen wulgaryzmów, kłamstw, pomówień a czasem pięknych obietnic bez pokrycia. Jak zawsze.

Oddałem się lekturze Marka Aureliusza, który, opisując swą drogę do władzy, podkreślał, że wychowawcy zawdzięcza, jak pisze, „że nie stałem się ani Zielonym,

ani Niebieskim, ani zwolennikiem Okrągłych, ani Długich. I wytrwałość w trudach i poprzestawanie na małym, przykładanie ręki do pracy i niezajmowanie się zbyt wielu sprawami na raz”, ojcu zaś z kolei zdolność „zrozumienia, że można żyć w pałacu, a nie mieć ani straży przybocznej, ani szat wyróżniających, ani pochodni, ani posągów i podobnego przepychu, lecz że można się zbliżyć życiem do człowieka zwykłego, a przecież nie być z tego powodu niezdolniejszym lub niedbalszym w wypełnianiu dla dobra publicznego obowiązków kierownika państwa”. Panował dziewiętnaście lat, po śmierci zaś zaliczony został w poczet bogów.

– Popatrz Rysiu – zwróciłem się do profesora Ryszarda Piotrowskiego – kiedyś zdarzali się mądrzy politycy. A dziś?

– Dziś się też zdarzają, mikado. Ale nie u nas. – Profesor uśmiechnął się lekko i dodał – Ale dziś pewnie byśmy ich krzyżowali.

Potem poszliśmy na wybory.

Stwory

Z poetą Antonim piliśmy smakującą słońcem grecką wódkę. Nagle Antoni zauważył łażące wokół nas połyskujące stwory.

– Co to za pokraki? – spytał Antoni, sięgając po oliwkę. – Hodujesz je?

– No co ty... Same przyszły i tak sobie łażą – odparłem i nalałem sobie nową szklaneczkę. – Jakoś przywykłem.

– Aha – Antoni też sobie nalał. – A może to kosmici są?

Nie wiedzieć czemu stwory zaczęły się przeraźliwie głośno i zaraźliwie śmiać. Do gabinetu wbiegł kosmoteolog Andrzej Komen.

– Tutaj jesteście! Chwała Bogu! A tak się o was bałem. Wiecie – zwrócił się do mnie i do Antoniego – to są błędne ogniki, błakają się międzyplanetarnie.

Odkrycie

Doktor habilitowana Małgorzata Szpakowa dokonała odkrycia.

– To niebywałe – powiedziała.

– Ale co, Małgosiu? – zainteresował się inżynier Jarosław Mamroń.

– Tego się nie da opowiedzieć! Nie ma na to słów – odparła wyraźnie podekscytowana.

– Jak nie ma słów, to trzeba je stworzyć – wtrącił się krytyk Walerian Mostowski.

– No nie, to jest takie, no... pozajęzykowe to jest – doktor habilitowana, coraz bardziej przejęta, rozłożyła ręce. – Naprawdę nie wiem jak to można... No bo to jest sprzeczne ze sobą i ciągle się unicestwia i powstaje, nieustannie.

– Wiem, Małgosiu – poeta Antoni ze zrozumieniem pokiwał głową. – Wiem, po prostu odkryłaś własny wszechświat. Niby nic nowego, a jednak. Napisz wiersz.

Śmierć filozofa

Informatyk Krzysztof Soroka przysiadł się w kawiarni do profesora Ryszarda Piotrowskiego, wyraźnie zasępionego i zasmuconego.

– Co się stało Rysiu, żeś taki niewyraźny dzisiaj?

– Cóż, dowiedziałem się właśnie, że nie żyje jeden z moich przyjaciół, dość znany filozof Aleksander Zawoda...

– Ten Zawoda? – Soroka nie krył zaskoczenia. – Przecież jeszcze był młody. Co się stało?

– Utonął – odparł Piotrowski. – Nie mogę uwierzyć...

– Jak to utonął?! – przerwał Soroka. – Gdzie?

– No właśnie. Porwał go strumień świadomości.

Powrót Iwony

Iwona powróciła do kraju po kilkunastu latach, już myśleliśmy nawet, że nie wróci nigdy, tym bardziej, że wcześniej nie była skłonna do odwiedzin, wrosła w tą swoją zagranicę, gdzie dorobiła się może nie największego majątku, ale też żyła na poziomie wyższym niż większość z nas mogła oczekiwać, pozostając na miejscu. Innymi słowy – Iwonie się udało. Nie mogło się zresztą nie udać, gdyż jest znakomitą dentystką, a ludzie na całym świecie mają kłopoty z zębami, natomiast u nas dentyści miewają kłopoty z komfortem pracy. A Iwona kłopotów nie lubi, zaś tam gdzie była oferowano jej warunki nieporównywalnie korzystniejsze od tych, z jakimi miała do czynienia tutaj.

I nagle, ni z tego, ni z owego, wróciła. Ciekawość nas zżerała dlaczego, ale z delikatności nie poruszaliśmy tej kwestii, a i sama Iwona nie kwapiła się do wyznań. Lecz pewnego wieczoru, smakując świetne gruzińskie wino, informatyk Krzysztof Soroka nie wytrzymał.

– Różne rzeczy mówią... A tak naprawdę, to dlaczego wróciłaś?

– Tak naprawdę to nie wiem. Sama jestem ciekawa... A to wino – powiedziała po chwili – jest naprawdę znakomite!

Mur

Siedzieliśmy za murem. Oni też. Słuchaliśmy ich głosów, ale słów nie pojmowaliśmy.

- Jakież obce te słowa są – skonstatował pisarz Mściński.
 - To chyba nie nasi – dodał krytyk Mostowski.
 - No nie wiem – poeta Antoni miał jakieś wątpliwości. – Chyba trochę nasi.
 - Nasi nie nasi? – spytała Małgorzata Szpakowa.
 - Nie, nie nasi nasi – sprecyzował profesor Piotrowski.
- Byliśmy w szoku. Pierwszy doszedł do siebie mur. Okazał się lustrem.

Ze snu w sen

– By się obudzić ze snu, musiałam się najpierw obudzić we śnie, ale nie mogłam się w nim obudzić, bo nie wiedziałam czyj ten sen jest – oznajmiła, zaciągając się jointem, poetka Wiktoria Spiekota, dziewczyna krytyka Waleriana Mostowskiego.

Przyjemna woń zioła budziła pozytywne emocje. Wlatywały motyle. Szumiały oceany. Spadały meteory. Wszystko to odbywało się w zwolnionym tempie, leniwie i rozkosznie.

W oddali pojawiła się tyraliera niebieskich światel powoli zmierzająca w naszym kierunku.

- Jesteśmy otoczeni – stwierdziła poetka. – Nie mamy szans.

Rój piegowatych, zielonookich i rudych dziewczynek wybiegających z obrazów wszystkich muzeów świata wznosił buntownicze, antyrządowe okrzyki.

Obudziła mnie Anna, kobieta wybuchowa.

– Spokojnie stary, to tylko sen Mietka Struny. A tak naprawdę to nie wiadomo, gdzie teraz jesteśmy...

Problem filozoficzny

Uczeń profesora Miszczyka, teraz już też profesor, Aleksander Galiński pogrążył się w rozmyślaniach nad poznaniem natury człowieka.

– Wiesz – zwrócił się do prozaika Pawła Mścińskiego – zastanawiam się jakim terminem określić coś straszniejszego od ludobójstwa.

- To znaczy – dociekał Mściński
- To znaczy tyle, że dzisiaj ludobójstwo nieprecyzyjnie określa stan rzeczy. Myślę, że powinniśmy mieć określenie na unicestwianie człowieczeństwa. Jedno mocne słowo.
- No to ty słaby filozof jesteś – odparł Mściński. – Mamy przecież takie pojęcie...
- Jakie?
- Polityka, głupcze!

ANDRZEJ SZUBA

Postscripta

POSTSCRIPTUM CMLXXV

nie ma nic
w tych dziesięciu słowach
jest całe życie

POSTSCRIPTUM CMLXXVI

tam gdy
niczego więcej
niż nicości

POSTSCRIPTUM CMLXXVII

i nic nie opisze cię
akuratniej
niż nicość

POSTSCRIPTUM CMLXXVIII

gdziekolwiek cię nie ma
zostań tam
bądź sobą

POSTSCRIPTUM CMLXXIX

odejdiesz
i przechytrzysz
napastliwość godzin

POSTSCRIPTUM CMLXXX

cokolwiek to jest
jest domem
bo jest z tego świata

POSTSCRIPTUM CMLXXXI

bez
zbędnych
słów

POSTSCRIPTUM CMLXXXII

niespławnym słowem
w atrapę
nieba

POSTSCRIPTUM CMLXXXIII

hałdy słów
sterty rzeczy
i gdzieniegdzie człowiek

POSTSCRIPTUM CMLXXXIV

czym byłoby milczenie
czym cisza
bez ciebie

POSTSCRIPTUM CMLXXXV

nie
opisuj
bo jest

POSTSCRIPTUM CMLXXXVI

jak dotrzeć
gdy nie sposób przekrzyczeć
pascalskiej ciszy

POSTSCRIPTUM CMLXXXVII

dopraszać się łaski
zdań słów
w końcu liter

POSTSCRIPTUM CMLXXXVIII

nie ma słów
na chwalebłą zwięźłość
twojej ciszy

BRAKUJE ZDJĘCIA

JERZY ANDRZEJEWSKI

Drugi dziennik paryski (2)

wtorek, 25 września

godz. 18.35

Pojęcia nie masz, jaka przyjemność wracać tutaj po zgiełku i tłoku paryskim, trochę podobne uczucie, jakie mieliśmy zawsze gdy wracaliśmy na Bielany, a potem na Głębokie¹. Dzień zresztą dzisiaj wyskoczył niespodziewanie ciepły, coś się widać w atmosferze w ciągu nocy nagle obróciło, ale choć przyjemnie było powitać nareszcie słońce – fatalnie się czułem, oczywiście zmiany ciśnieniowe, zresztą już w południe zrobiła się okropna duchota, jak przed burzą, wszyscy się trochę dusili, teraz się rozładowało, znowu chmury, pewnie będzie lało.

Przyjechałem do Paryża na jedenastą, więc że miałem kupę czasu poszedłem spacerkiem na avenue Hoche, po drodze pokrzepiłem się kawą i tak dokładnie na czas dobrnąłem do Dreyfusa. Wiesz już wszystko, kartkę uszczęśliwionego Zygmunta też pewnie dostałaś, uszczęśliwionego, bo dopiero dzisiaj się przyznał, że nie bardzo był pewien, czy wytrzymam. Zdaje się, że Dreyfus był szczerze zadowolony. Dal mi dwa lekarstwa (jedno to tzw. Glutaminol – pastylki łączące kwas glutaminowy z B6, drugie jutro dopiero dostanę) na okres miesiąca i 25-ego października kazał mi się pokazać. To przytycie dwukilowe nawet mnie trochę zaskoczyło, niestety szare spodnie znów zaczynają być ciemne. W tej sytuacji myślę – zresztą bez entuzjazmu – że jest sens jeszcze tu ten miesiąc, sześć tygodni posiedzieć, żeby do lepszej formy tzw. fizycznej dojść, zdaję sobie sprawę, że tu warunki bytowania zupełnie wyjątkowe. Ta forsa tylko mnie martwi.

¹ Dwa mieszkania Andrzejewskich, pierwsze warszawskie, drugie szczecińskie.

Po Dreyfusie jadłem obiad z Zygmuntem, Jeleńskim² i Lebensteinem³, którego jakoś do tej pory nie widziałem. Wypili dwie i pół butelki wina, ja przy Vichy i Jezus Maria wciąż żadnej potrzeby ani ochoty na alkohol [sic], Owszem, zawsze stukam w drzewo. Potem dopisałem tych kilka słów do Ciebie, Zygmunt – kartkę. Kupiłem po drodze koszulę bardzo, bardzo delikatnie zieloną, bo typu oxford, parę odpowiednich skarpetek, i to już wszystko, myślałem o jakichś większych zakupach, ale sił mi nie starczyło. Wróciłem razem z Zygmuntem pociągami o 4-ej, wyszedłem jeszcze po lekarstwa i owoce, czytałem „Le Monde” (wyobrażasz sobie, z jakim entuzjazmem przyjął naród zachodu te historie podatkowe). To właściwie wszystko. Dzisiaj w Paryżu, w Palais Chaillot⁴, wielka gala „Najdłuższego dnia roku”, Marcin wie, co to jest, poprzedzona nawet, jak na tutejsze stosunki, niebywałą reklamą i zjazd gwiazd: Elizabeth Taylor, Sofia Loren, Paul Anka i setki innych, po filmie Edith Piaff ma śpiewać na tarasie wieży Eiffela, ognie sztuczne, jutro cała ta rzecz będzie w telewizji, oczywiście pobiegnę do Zygmunta oglądać, ubóstwiam podobne historie. Natomiast jutro przyjeżdża do Paryża król Norwegii, też duża rzecz. W czwartek idę z Anią na „Hamleta” do Odeonu z Barraultem, jest to przedstawienie jeszcze z roku 48-ego, przekład Gide’a, bardzo jestem ciekaw, jaki to Hamlet. A na przyszły czwartek mamy już z Zygmuntem i Pauliną Żuławską bilety na Edith Piaff, która pojutrze zaczyna występy w „Olimpi”, boję się, żeby się przypadkiem do tego czasu nie pochorowała, ten jej dwudziestoletni narzeczon, Theo, też występuje.

godz. 21

Pewnie nasza prasa doniosła o tym, ale na wszelki wypadek: w niedzielę, w Albert Hall (wszystkie bilety wykupione na trzy miesiące przed tym) wystąpili razem Ojstrach⁵ i Menuchin⁶, grali razem koncert Bacha, Menuchin – Brahmsa, orkiestrą dyrygował Ojstrach; natomiast Ojstrach grał Beethovena, a orkiestrę prowadził Menuchin. Podobno były szale.

² Konstanty Jeleński (1922–1987) – krytyk sztuki, eseista, promotor polskiej kultury we Francji, współpracownik „Kultury” paryskiej.

³ Jan Lebenstein (1930–1999) – polski malarz pochodzenia żydowskiego, po otrzymaniu I nagrody na Biennale w Paryżu w 1959, został we Francji na stałe.

⁴ Théâtre Nationale de Chaillot.

⁵ Dawid, skrzypek.

⁶ Yehudi Menuhin, skrzypek.

Mówił Brodzki, że podobno Zygmunt⁷ miał wspaniałe recenzje po swojej Symfonii, to prawda? Strasznie bym się cieszył, gdyby tak było, uściskaj go ode mnie przy pierwszej okazji. O Jesień nie pytam, bo spodziewam się, że w najbliższym liście coś o niej napiszesz. Chętnie bym jeszcze dalej pisał, ale ciało zupełnie mdłe i to paskudne zmęczenie nie tyle w oczach, ile pod oczami, dokoła, to podobno objaw usterek wątrobianych. Pewnie jesteś na koncercie, a może Jesień się już skończyła? Nic tutaj nie wiem. Dobranoc.

środa 26
godz. 15.30

Więc dobrze wczoraj czułem zmianę: od samego rana chmury, ciemnawo, pada drobny deszcz, zupełnie ohyda, bolą kości. W ogóle pod psem. Telefonowała w czasie obiadu, że jest od Ciebie (Ania), ale nie warto przesyłać, bo jutro i tak się zobaczymy. Wolałbym go, oczywiście, mieć dzisiaj, byłaby przynajmniej jakaś pociecha w tę porę deszczową.

Tutaj w „La Roserarie” wciąż cicho, choć dom pełen gości, od paru dni przy posiłkach spotyka się w jadalni dość zabawne towarzystwo: dwie [sic] młoda para Anglików z czworgiem małych dzieci, trzech paskudnych Niemców z tak samo paskudną Niemką, ja i kelner – Hiszpan, bardzo zresztą sympatyczny. Kiedy dostałem pokój dwuosobowy – właścicielka zastrzegła się, że to tylko na tydzień, drzeniąc [??] dziś, ale ostatecznie osiadłem tu na stałe, nie byłaby Francuzką, gdyby nie zdawała sobie sprawy, że jestem idealnym gościem, nie obżeram się, jak jej rodacy i jeszcze raz po raz opuszczam południowy, albo wieczorny posiłek. Zarządzałem [sic] natomiast obfitszych śniadań, bo rano głód mnie zżera. Owoców wciąż kupa: coraz ładniejsze winogrona, melony, gruszki, pomarańcze, banany, wciąż jeszcze brzoskwinie, mało tylko jabłek i śliwek. Kilo winogron kosztuje 180 fr., więc trochę więcej niż paczka papierosów. Pralnię mam tuż obok i jeszcze tą [sic] wygodę, że taki mały chłopaczek, syn właścicielki pralni, przychodzi bieliznę zabrać i sam odnosi, spodnie tergalowe miałem w dwa dni uprane, porządnie teraz wyglądają, ale przecierają się w niektórych miejscach: kieszenie, mankiety, akurat do pracy, która narazie [sic] kiepsko idzie, żółwim kroczkiem, no, ale nie mogę wymagać za wiele, ostatecznie, to dopiero dwa tygodnie. Więc nie wpadam w popłoch.

⁷ Mycielski. W 1961 ukończył II Symfonię.

czwartek, 27

godz. 9.45

W rzeczywistości musiało to być bardzo piękne, zwłaszcza fontanny w ogrodach Chaillot i potem sztuczne ognie z wieży Eiffela, w telewizji tylko daleki odbłask tego wszystkiego, zresztą reportaż nędznie zrobiony, trochę znakomitości na początek, tłumy, tłumy, snobizm na miarę najwyższą, orkiestry, wojsko wszystkich rodzajów broni, Gwardia Konna, wielkie tualety, Audrey Hepburn w jakimś dziwnym, malutkim cylinderku zresztą uroczą, bardzo już stara Madeleine Renaud i podstarzały Barrault, Bécaud, Constantino, generał Gavin, właśnie ustępujący z ambasady w Paryżu, potem lipnie zrobiona Piaff na wieży Eiffela, śpiewająca „Je ne regrette rien”, no i kawałki filmu, sceny batalistyczne rzeczywiście fantastycznie zrobione, sceny desantu w Normandii, bardzo to dziwne wrażenie ten autentyzm wywołujący rzeź sprzed lat szesnastu, tysiące pomordowanych, i ta gala obecna: wielki świat, balowe tualety, fraki i smoking (ołówkę się wypisał, musiałem zmienić wkład) orderzy, limuzyny, jednak autentyczna rzeczywistość rozsypuje się po latach, nawet ta najokrutniej i najboleśniej ludzi doświadczająca, cóż z niej rzeczywistego pozostaje? Wszystko przemienia się w mitologię, dno nędzy, poniżenia [?] i cierpień bez trudu przekształca się po latach w interes, bo przecież tylko po to, żeby zarobić ciężką forszę – urządził Zanuck⁸ (prezes obecny Foxa) to zbiegowisko, sztuczne ognie musiały być bajkowe, na wybrzeżach i mostach zebrało się kilkadziesiąt tysięcy ludzi, potem, już po północy, orkiestry grały twista i tańczono do czwartej nad ranem.

Dla odmiany dzisiaj po zamglonym, wczesnym ranku przepiękna pogoda, pokój pełen słońca.

piątek, 28

godz. 21.15

Przed samym południem Zygmunt zaalarmował mnie, że Józio Brodzki wcześniej wraca do Warszawy niż zamierzał, więc trochę na gwałt musieliśmy po obiedzie jechać do Paryża i robić zakupy. Kupę dość ograniczonego czasu zajęły historie magnetofono-adapterowe, na Avenue Montaigne jest tylko salon Philipsa i tam nam

⁸ Darryl Francis Zanuck – producent, scenarzysta, reżyser i aktor.

dano adres jednego sklepu na dolnym Montmartrze. Dostaliśmy według kartki zostawionej przez Marcina: taśmy do magnetofonu (EL 3914/80 – 1 szt. EL 3914/00 – 2 szt.), wtyki mikrofonowe – 2 szt., chamonit [?] A63305 – razem potworna kupa forsy, przeszło 15 tysięcy, natomiast nie mieli narazie [sic] wtyk głośnikowych do adaptera, nie znają takiej nomenklatury kabla NG 12511 i NG 1227, a ramię do adaptera może być różne: proste, albo krzywe i jakiej długości i do jakiego adaptera. Marcin z właściwym sobie poczuciem porządku, żeby kupić ramię do adaptera, bo to obecne coś szwankuje, szkoda, że nie przyszło mu do głowy podać szczegóły. Oglądałem adapter stereofoniczny Philipsa, wydał mi się podobny do naszego, ale absolutnie pamiętać nie mogę, jakie było ramię: proste, czy krzywe, i czy ma być z główką, czy bez. Pozostałych sprawunków nie jestem w 100% pewien – pantofle Agnieszki chyba ładne, ale czy o takie chodziło! Twój komplet też chyba więcej niż ładny, Zygmunt twierdził, że kolor absolutnie idący do tego tergalu, ale rozumiesz? Pończochy, jak pończochy (3 pary, dwie na codzień [sic] i jedna wieczorowa) poza tym wapno nadające się na zastrzyki i do spożycia wewnętrznego, musi być objaśnienie, przy okazji plastry na skaleczenia, podobno bardzo dobre. Na pantofle dla Ciebie już nie starczyło mi pieniędzy, a jutro bank zamknięty. Walizka chyba akurat takiej wielkości, jakiej sobie Ania życzyła. Pocałuj ją ode mnie, oczywiście Anię, nie walizkę.

Żeby skończyć ze sprawunkami, przyslij pocztą listy potrzebnych rzeczy żebym wracając z końcem października, lub z początkiem listopada nie załatwiał wszystkiego w ostatniej chwili. Przyslij swoją stopę, albo dokładny numer.

Wczoraj odebrałem Twój list (na Vaneau przyszedł tylko jeden) i najpierw się zdenewowałem, że mój pierwszy list z kilku dni tutaj jeszcze nie doszedł, ale potem, gdy obliczyłem daty, domyśliłem się, że do 22-ego dojść nie mógł, okropne to korespondowanie z listami wciąż się rozmijającymi. Te wiadomości po bóg wie ilu dniach. Do Kaliforni [sic]⁹ list idzie stąd trzy, najwyżej cztery dni.

Z „Hamleta” wyszliśmy po pierwszej przerwie: dno, koszarne aktorsko, paskudne kostiumy, Barrault i stary, i wykrygowany, przekład prozą kładzie tekst i to mizdrzenie się z akcentem francuskim – drażniące nie do zniesienia. Inicjatywa rejterady wyszła nawet nie ode mnie, lecz od Ewy. Sceny z duchem urągające smakowi, Król i Królowa – ohyda, Ofelia – taka francuska współczesna kurewka. Dzisiaj recenzje

⁹ To jest do Miłoszów.

z wczorajszej premiery Piaff w „Olimpii” – pywiny [? pozytywy?] w ogóle, nawet wiele uznania dla Theo Sarapo.

Wszyscy tu czują się okropnie zdychają, jakieś wściekłe zmiany ciśnieniowe, znów zimno, ale pod wieczór, jakby coś w powietrzu zelżało. Tyle na dzisiaj, lecę leżeć.

poniedziałek, 1.X.

W sobotę atak neurastenii z nalatami eschatologicznymi + metafizyczne poczucie osamotnienia: zatem chęć do utrwalania swoich wrażeń cokolwiek mniej niż minimalna. Natomiast wczoraj całe popołudnie i wieczór u Ani Jawicz, odwiozła mnie już po 11-ej. Naokoło grypa, wczoraj i dzisiaj dla odmiany ciepławo tą paskudną ciepłotą stygnącej, tłustej zupy: deszcz wisi w powietrzu, ale nie może się urwać. Też wczoraj list Marcina z imponującym wyczynem pamięciowym i równie imponującą mnogością byków, oraz zupełną pogardą dla przystankowania [sic]. Słowa natomiast, czy mój pierwszy list z Maisons-Laffitte doszedł. I – Boże wielki! – co to jest wkładka do adaptera? Mam się dzisiaj po południu widzieć z Andrzejem Żuławskim¹⁰, może on mnie w tym względzie oświeci, ale wątpię, czy zdążę kupić, aby oddać Brodzkiemu, który jedzie we wtorek.

Moja wątroba pozbawiona od trzech tygodni bodźców, okazuje się stworzeniem niesłychanie delikatnym, teraz dopiero zaczyna pobołewać i swoje kaprysy objawia białością języka. Wczoraj, namówiony przez moją patronkę, zjadłem coquilles St Jacques¹¹, to znaczy rybę w beszamelu zapiekaną w muszelce, ale w środku okazały się być jeszcze grzybki. Wczoraj, mimo cholery, raczej kłóskowo. Zdaje się, że nasze diety całkiem już zostały wyrównane i kiedy wrócę – będziemy we dwójkę nakształt [sic] starych ptaków dziubać tylko wyjałowione pokarmy.

G.¹² ws. „Kultury” bez zmian, sam się podobno nie męczy, za to męczy swoich opiekunów. Ewa natrafiła przed wyjazdem do Choli [? Chin?] na taką kupę formalności, że dnie całe spędza w prefekturze chyba wcześniej niż za tydzień nie wyjdzie. Jak chodzi o boską Alicję¹³, to nie dotarło do mnie nic, co by pozwalało sądzić, że jest Paryżu. Ale może i jest, mnie znaleźć nie jest łatwo. W środę za to [?] ma przyje-

¹⁰ Andrzej Żuławski (1940–2016) – syn Mirosława. W 1962 roku już był absolwentem paryskiej uczelni filmowej IDHEC.

¹¹ Małże świętego Jakuba, czyli przegrzebki zwyczajne.

¹² Giedroyc?

¹³ Alicja Lisiecka?

chać Basia Kwiatkowska¹⁴ ze swoim Niemcem¹⁵, rozmawiałem z nią wczoraj przez telefon. Romek wpadł na jeden dzień do Paryża i wrócił do Belgradu, gdzie ma kręcić film produkcji niemiecko-jugosłowiańskiej. Doszły tu do mnie pogłoski, że tyś¹⁶ mają ustąpić [sic], tu niektórzy rodacy tak się oderwali od świata pokoju i socjalizmu, i przypuszczają, że mężowie stanu, gdy popadają w stan dymisji, rozporządzają dostatecznie czasem, aby zająć się pisaniem pamiętników. Cóż to za obcy nam styl myślenia! Owszem, zdymisjonowani, być może i mają dużo wolnego czasu, ale jeśli robią cokolwiek, to chyba tyle tylko, że się trzęsą, to bardzo pracołłonne zajęcie całkowicie może wypełnić życie.

wtorek, 3. X.

Od wczoraj upał, wszyscy się duszą, smarkają, albo po prostu mają grypę. Narażenie [sic] tylko się duszę – ledwo łączę. Wczoraj znowu całe popołudnie i wieczór w Paryżu, musiałem się zobaczyć z Anią Posner¹⁷, potem z Andrzejem Żuławskim, przyszli jeszcze do „Flory” Basia z Karlem, żeby się ze mną zobaczyć, bo jutro jadą do Szwajcarii i zdążyliby [?] przyjechać do mnie, Basia, jak zawsze miła, ale chyba zbrzydła, rysy jej trochę zgrubiały i jakaś taka przepłoszona [?], natomiast on uroczy, miły i inteligentny, pewnością [sic] dobry, w ogóle taki, jak potrafią być szczęśliwie ukształtowani Austriacy. Basia ma kręcić jakiś film na Węgrzech, ale produkcji francuskiej. Od Wajdy same ponure wiadomości, najgorsze, że się uczył pomysłu tego „Wesela” i we mnie pokłada całą nadzieję¹⁸. Głupio się w tej sytuacji czuję. Wreszcie na ósmą z Zygmuntem. Poszliśmy do Lebensteina, kupił już sobie mieszkanie w St. Paul w starej żydowskiej dzielnicy¹⁹. Otoczenie okropne, ale samo mieszkanie piękne, choć jeszcze nie urządzone. Chodzą w ogóle słuchy, że za kilka lat, gdy zostaną zlikwidowane Hale i odpłynie większość żydowskiej biedoty, to Marais stanie się atrakcją Paryża i zastąpi dobrze już wysłużone St. Germain. Już teraz przewidujący ludzie wykupują domy. U Lebensteina dużo whisky, ja – soczek

¹⁴ Aktorka, żona Romana Polańskiego w latach 1959–1962.

¹⁵ Karlheinz Böhm, aktor.

¹⁶ Gomułkę?

¹⁷ Francuska tłumaczka polskiej literatury pochodzenia polskiego.

¹⁸ Andrzej Wajda nosił się z zamiarem nakręcenia *Wesela* według Wyspiańskiego od wielu lat, licząc na scenariusz Andrzejewskiego. Ostatecznie Andrzejewski wyzyskał pomysł weselny w *Miazdze*, a Wajda nakręcił film według scenariusza Andrzeja Kijowskiego.

¹⁹ Chodzi o Marais.

jabłkowy, podpici ludzie ciężcy do zniesienia dla trzeźwego, miły Boże, na coż mi to zeszło, że takie rzeczy po pięćdziesiątce muszę odkrywać.
zapomniałem spytać Żuławskiego, co to jest ta wkładka do adapteru.
przyślij, Maryśku, przez Marylę stopkę Agnieszki i swoją.
powiedz Maryli, że jej sprawy finansowe w Paryżu załatwione.
Toby [sic] było chyba wszystko narazie [sic]. Brodzki jedzie jutro, ale list mam dzisiaj podrzucić Zygmuntom, bo już sam nie mam sił jechać do Paryża Całuję wszystkich
J.

środa, 3 października

nie pojechałem wczoraj na kolację do Romanowiczów²⁰, wyłgałem się jakimś podrzędnym kłamstwem, była Ewa Fiszer i Hanka Lisowska²¹, nie mam ani sił, ani ochoty na takie zebrania, gdzie się plecie trzy po trzy, taka mieszanka plotek, Polski i emigracji, zwykle zupełny klops, najgłupsze wypełnianie czasu i większe po tym poczucie zmarnowanego czasu niż po godzinie dłubania w nosie. Przyszedł zato [sic] pod wieczór Czapski, który akurat wrócił z południa, zjadł ze mną kolację, mówił dużo i na mój gust nazbyt głośno, a najciekawsze, co powiedział, to w trakcie rozmowy o Francuzach, kiedy przypomniał sobie (bo o tym pisał) że pewien kronikarz niemiecki z Saksonii z VIII-ego wieku, mówiąc o ówczesnych Rzymianach określił ich pogardliwie, jako „skąpych, pożądliwych i tchórzliwych”. Jednak, gdy w kilka wieków później Fryderyk Barbarossa, bawiąc we Włoszech, poszukiwał swoich rodaków – okazało się, że wszyscy ulegli całkowitemu zromanizowaniu. Bardzo mi się to podobało, z Francuzami też tak jest: „skąpi, pożądliwi i tchórze”, ale wchłaniają w siebie inne narodowości jak gąbka wodę.

piątek, 5 października, godz. 16

no, więc byliśmy wczoraj w Olimpi – Zygmuntowie, Paulina, szczególnie tu radosna, bo uwolniona od domu, dzieci i męża, także Ania, z którą miałem przed teatrem kolację w Paryżu, udało się jej dostać bilet w ostatniej chwili, wróciliśmy ostatnim pociągami, więc po 1-iej w nocy, rano dzisiaj musiałem przyspieszyć zwy-

²⁰ Zofia i Kazimierz Romanowiczowie – od 1946 prowadzili na wyspie świętego Ludwika Księgarnię Libella i następnie wydawnictwo o tej samej nazwie, zaś od 1959 Galerię Lambert tamże.

²¹ Być może chodzi o polską sopranistkę.

kłe czynności, żeby pojechać do Paryża po forszę i dewizowe czek. Teraz nareszcie w domu, właściwie zupełny spokój i pisanie naprawdę mnie urządza, choć z pisanem wciąż niezbyt owocnie, ale już jakby lepiej mi się myśleć zaczyna. Pogoda w kratkę: upał, potem burze i chłód, wczoraj [?] z rana chłodno, jednak się powoli wypogadza.

Cóż powiedzieć o Piaff? Wszyscy wyszliśmy zmaltretowani, choć różne wyciągając z tego szczególnego stanu wnioski. Na moje wyczucie jakaś linia zasadnicza, obowiązująca w sztuce, została tu przekroczona. Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie. Trzeba ją zobaczyć z tak bliska, aby zdać sobie sprawę, że dzieje się na scenie coś, co już ze sztuką nie ma nic wspólnego. Nie, że brzydka; cóż, że stara ponad swoje lata? ale ona budzi wstręt i litość: niepewny chód, dłonie powykręcane artretycznie, czerwone plamy na twarzy, zwłaszcza nad ustami, to straszne i w szaleństwie braw i owacji, które ogarnęło ogromną, zatłoczoną salę, jest coś z chciwego zainteresowania fizyczną zmianą kobiety, właściwie już nad grobem stojącej, ale z głębi grobu wydobywający ten wciąż wstrząsający śpiew. Można jej słuchać, ale nie można na nią patrzeć [sic] bez uczucia grozy, odrazy i najgłębszej litości, ale też z poczuciem protestu, że coś podobnego może się rozgrywać w światłach rampy i na oczach tłumu. Przed Piaff występuje sam Theo Sarapo. Fotografie nie oddają zupełnie jego wdzięku, wydaje się delikatny mimo swego wzrostu i atletycznej budowy, miękki i nieśmiały, ma wspaniałą, ogromny głos i śpiewa zupełnie pod Piaff, znakomicie wyreżyserowany, ubrany: zielone spodnie i zielone polo. Jedną piosenkę: *A quoi sert l'amour?* śpiewają razem i znów to było straszne, to zestawienie młodego chłopca z twarzą starej, zniszczonej, zdeformowanej, dogorywającej kobiety; wiesz, jak daleko idą wszelkie moje tolerancje i jak staram się zrozumieć każdą ludzką sytuację wystrzegając się nazbyt pośpiesznych i łatwych sądów. Ten Sarapo nie musi być tylko gigolakiem można zrozumieć, że ją naprawdę w głębszy sposób kocha, ale jej wyjście z tym na scenę przekracza jednak strawną dawkę ekshibicjonizmu i takie ogramres [???], jeśli przyjąć, że występuje jeszcze, aby zarobić i debiut sceniczny jemu umożliwić.

Tak, czy inaczej zapamiętam ten wieczór chyba do końca życia. Cała ta jej sprawa w połączeniu z pozycją, jaką Piaff dzisiaj zajmuje wśród mas, to naprawdę złożony problem. Tu już pojawia się w prasie termin „*un monstre sacré*”. Oczywiście w odniesieniu nie tylko do Piaff. Pełno teraz na świecie tych „świątych potworów”. Dla

Agnieszki: zaszliśmy dzisiaj z Zygmuntem do jednej księgarni popularnej połączonej z płytami. Spytałismy, czy nie ma fotografii [sic] Belmonda?, na to stara, tłusta Francuzka powiedziała znamienne [? zamierzone?]: ach, nie, ale w przyszłym tygodniu będę miała Jean Pierra [sic]..., ta ludowa intymność i poufność, nie Belmondo, lecz po prostu Jean Pierre [sic].

Z innej dziedziny: nie rozumiem, dlaczego nie piszesz? Z listu Maryli (z 28-ego) domyślam się, że mój pierwszy list z Maisons-Laffitte musiał dojść, chyba i następny, wysłany 25-ego, no a dzisiaj pewnie Brodzki się odezwał.

sobota, 6 października

10 godz.

Z samego rana list Agnieszki z datą na kopercie 1-ego, z adresem na odwrocie pisanym Twoją ręką i ani słowa od ciebie, żadnego w ogóle znaku, czy moje listy doszły. Agnieszka pyta, jaki mam widok z okna?, opisałem to wszystko dokładnie w pierwszym liście, więc nie doszedł chyba? To pisanie w próżnię, albo w niepowołane ręce²² – zaczyna być bezsensowne. Po liście z 22-ego nie dostałem od Ciebie żadnej wiadomości przeszło dwa tygodnie, chwała Bogu!

poniedziałek, 8 X.

rano

więc nareszcie wczoraj list od Ciebie, także od Zygmunta²³, przywiozła je Ania, która przyjechała tu z Ewą na obiad. Fantastycznie piękna pogoda, dzisiaj zresztą też. Zrobiliśmy duży spacer, siedzieliśmy w lesie, na słońcu potem pojechaliśmy do Paryża, kolacja u Ani i uczenie ją „Króla”²⁴, odwiozła mnie po 11-ej samochodem.

godz. 21

I znów dzięki wszechopiece Zygmunta nie muszę jechać nawet do Wersalu, żeby dostać carte de sejour²⁵, dadzą mi ją tutaj, w miejscowym komisariacie. Masz właściwie słuszność, że powinienem tu jeszcze jakiś czas posiedzieć, wiele raczej

²² !!!

²³ Mycielskiego?

²⁴ Gra w karty?

²⁵ Karta pobytu.

za tym przemawia, a jeśli mnie co martwi trochę, to więcej [?] to przekłete złe samopoczucie, ostatni tydzień chyba gorsze niż poprzednio, wątroba pobolewa i to ciągle zmęczenie. Sam nie wiem, czy to nie jakaś lekka infekcja grypowa, nie mam wprawdzie kataru, a temperaturę dopiero od jutra zacznę sprawdzać, kupiłem termometr, zobaczysz, jaki śliczny, i w żółtej, plastikowej, mięciutko wyściełanej pochewce. Tutaj lekarstwa są tak ładnie opakowane, że poprostu [sic] przyjemnie na nie patrzeć. Przeczytałem nowy tom Dziennika Gombrowicza, ale nie mam sił, żeby to sensownie zreferować. Tutaj, to znaczy w Paryżu, otwarto kilka dni temu salon samochodowy, wszystkie wielkie firmy prezentują nowe modele, szkoda, że Marcin nie może tego zobaczyć [dopisek bokiem ze strzałką: Przy odrobinie fantazji Marcin może uważać, że jest to telegram z powinszowaniami z racji zdanego egzaminu. J.], to podobno rzeczywiście silna rzecz, zresztą ten salon zajmuje ogromne tereny wystawowe koło porte Versailles, pewnie się wybiorę, choć straszny musi być tłok. Czy boska Alicja jest już w Paryżu – nie wiem. Na Marylę raczej się cieszę. Ciuchy via Brodzki pewnością [sic] już do Was dotarły. Ba! Ale jakie się okazały? Drobne wiadomości:

- 1) pisma muzyczne zaprenumeruję
- 2) wzmianek o Jesieni w prasie tutejszej nie znalazłem, ale jak pewnie wiesz „Le Monde” szczególnie się sprawami Polski interesujący nie ma teraz swego korespondenta u nas, bośmy Benna wyrzucili. Bo po co mają o nas pisać?
- 3) Dobrzy Niemcy znowu ustrzelili młodego człowieka i nie sposób go było ratować, ponieważ karetka angielskiego „Czerwonego Krzyża” nie została wpuszczona. Słusznie, szpiegów imperialistycznych nie należy wpuszczać.
- 4) na przyjęciu u pewnego producenta filmowego (była Ewa) Irving Shaw, ten od „Młodych Lwów” pobił francuskiego pisarza, ponieważ ten podszedłszy do niego zaczął mu mówić komplementy i jak bardzo ceni jego książki, na koniec jednak dodał: wydaje mi się, że w ostatniej powieści trochę się pan kurwi. Skandal był okropny, a podpity Shaw uszkodził jeszcze dwie aktorki. Biednego Francuza wyrzucono, a Shawa zamknięto w łazience i kiedy zrobiło mu się przykro, że uszkodził także i bogu ducha winną aktorkę – przyprowadzono ją do łazienki, że Amerykanin chce ją przeprosić, no i wtedy, jak ją zobaczyła niedostatecznie zorientowana pani Shaw, myśląc, że to o nią poszło, wrzasnęła: wynoś się, ty kurwo! Tzw. ubaw musiał być niesłychany.

- 5) w środę publiczna premiera „Najdłuższego dnia”²⁶.
- 6) w ostatnim Paris-Match na okładce Belmondo w swoim czerwonym Ferrari. Wyślę ten numer, w środku zabytkowe auta. Ale z wysyłką poczekam na nowy numer.
- 7) nic właściwie nie przychodzi narazie [sic] do głowy. Okropnie pisze ten nowy grafit, ciągle mi się coś w jego konsystencji zmienia.
- 8) oczywiście, od kilku dni, mam świetną wodę, taką specjalną do użycia po gołeniu się maszynką elektryczną. Znakomita!
- 9) dobranoc. U Was już 11-a dochodzi
- 10) Królestwo za dobry rosół i dobrą sztukę mięsa!

wtorek, 9. X.

godz. 12.35

Upał. Edith Piaff wychodzi dzisiaj zamąż [sic], biorą najpierw ślub cywilny a potem w cerkwi greckiej. Mieszkanie zostało na nowo umeblowane i odnowione. Belmondo towarzyszył wczoraj [zamazane: Ance?; dopisek ze strzałką: zdjęcie załączone]. Lokal zgoda [?] na załatwienie sprawunków.

Zastanawiam się, czy wysiedzę tu jeszcze przez listopad, zwłaszcza, kiedy zaczną się pluchy jesienne. Zobaczymy, w każdym razie do końca tego miesiąca zostanę. Narazie [sic], oddam ten list Zygmuntom, bo jedzie jutro do Paryża, i wieczorem zacznę na nowo.

Ucałowania

J.

Czy Chudek się odzywa? Zamilkł zupełnie.

środa, 10 października 62

godz. 18.10

List z kilku dni (3–9) wrzucony. Rano pojechałem do Paryża trochę, żeby się przejechać, a trochę, żeby spotkać się z Romkiem Polańskim. Z jego relacji nic, niestety, konkretnego nie wynika. Łapie kilka srok naraz za ogon, opowiadał przy tej okazji różne rzeczy o Marku²⁷, właściwie smutne i irytujące, wciąż ta zgrywa, mitomaństwo,

²⁶ Czy chodzi o *Zmierzch najdłuższego dnia*?

²⁷ Hłasce.

obrzydliwy stosunek do biednej Soni²⁸, zresztą relacje Romka trzeba zawsze brać z pewnym zastrzeżeniem, a już w tym wypadku z podwójnym, gdy jeden mitoman opowiada o drugim mitomanie. W każdym razie dwaj starsi panowie (Zygmunt i ja) wracali po tym spotkaniu trochę zde gustowani, a jeszcze bardziej zasmuceni. Pogoda wciąż łaskawa, ranki już chłodne, ale w południe prawie gorąco, czyste niebo. Fantastyczne kolory drzew. Po południu poszliśmy do komisariatu, cóż za ulga, że nie musiałem tych formalności przeprowadzać w Paryżu, gdzie tłok, rozgardiasz, trzeba co najmniej cały dzień stracić, tu załatwiono w cichym pokoiku, od ręki, trwało niecałe pół godziny, mam przedłużone na wielki wyrost: do 9-ego stycznia.

W prasie coraz więcej o Soborze Watykańskim, który jutro się otwiera. Śledzę temperaturę i rzeczywiście w pewnych godzinach mam powiększoną trochę dwie, trzy kreski, na uchu jestem jeszcze prawidłowy [?], ale zdaje się, że pomiędzy 12-ą i piątą, pojęcia nie mam, skąd się to bierze, żadnych oznak podziębienia, ale wciąż okłapnięcie i głupio w głowie. Myślę, że to jednak skutki zasadniczego przestawienia się całego organizmu, ostatecznie miesiąc, to nie nazbyt wielki okres czasu w porównaniu z latami ten ubożuchny miesiąc poprzedzającymi. Szkoda mi tylko, że tak świetnych warunków, jakie tu mam, nie wykorzystuję dostatecznie dla pisania. Ale z drugiej strony: nie można chcieć naraz zbyt dużo.

czwartek, 11

i dla odmiany dziś głęboka jesień: gęsta mgła, przejmujące zimno, dopiero w południe zaczęło się przejaśniać. Znów się zgałębiałem z telewizją i ominęła mnie w ten sposób możliwość zobaczenia całej uroczystości otwarcia Soboru. Ty wiesz, jak lubię taką wielką pompę. Że też zawsze jestem spóźniony wobec wydarzeń historycznych! Trochę piszę.

piątek, 12

godz. 10

Wczoraj po południu pojechałem do Paryża, a potem zaczęło [?] nagle być zimno – kupiłem płaszcz, ale jeszcze nie jesionkę, akurat na porę przejściową, relam [??] ciemno brązowy [sic], nieprzemakalny i na podszewce, bardzo lekki, ale przed

²⁸ Sonja Ziemann, niemiecka aktorka, była żoną Marka Hłaski w latach 1962–1967.

chłodem świetnie chroni. Potem z dworca St. Lazare piechotą do Ewy przepiękny Paryż o zmierzchu, już zupełny i z zupełnie różowym księżycem. Potem kolacja z Ewą i Anią (pierwszy raz w życiu jedliśmy z Ewą bażanta). Potem na Orly. Ewa odlatywała o 23-ej z minutami, przez Lizbonę, Lmuły [???] do San Diego. Piliśmy kawę w barze na trzecim piętrze, Ania mnie odwiozła na dworzec i wnet złapałem pociąg, po 24-ej byłem w domu. Orly dopiero przy światłach jest naprawdę piękne.

godz. 21.15

Po obiedzie zakupy w Paryżu, Zygmunt kupił sobie jesionkę, a ja zupełnie fantastycznie piękną i wygodną marynarkę z tweedu [dopisek bokiem ze strzałką: Szarą tweedową mogę sprzedać Marcinowi za 12 zł.], angielską, nic podobnego jeszcze nie miałem, czarno brązowo rudawa, świetna do starych spodni tergalowych i wełnowatych, zresztą spodnie dużo razy jeszcze kupię. I ta wygoda, nawet na sweter gruby, wełniany [?]. Poza tym: trzy krawaty, czarny pasek do spodni, dwa pola: czerwono-zielony i taki specjalny odcień czerwieni, ale nie czerwony, będą pewnie służyć całej rodzinie. No i po tym wszystkim już na dworcu wystąpiła katastrofa. Spieszymy na pociąg, który ma odjazd za pięć minut, tłumy, bo już koło 7-ej, ja z torbą. Zygmunt z dwoma dużymi tekturowymi pudłami, nagle przypomina sobie, że w przechowalni zostawił jeszcze jedną torbę z książkami, więc mnie zostawia z tymi tłumokami (3!) i biegnie, nie ma go i nie ma, więc wróciłem, słusznie rozumując, że zdążę dokasować się [?] w ostatnich wagonach. No to pojechałem! Nic mnie nie dziwi, że się pociąg na stacjach nie zatrzymuje, bo bywają przyspieszone [sic], ale jak mi mignęło w ciemnościach Maisons-Laffitte – niedobrze, myślę sobie. To bydlę stanęło dopiero w Poissy. I z tymi tłumokami spowrotem [sic], zimno, a jesionka Zygmunta przecież za duża. Okazało się potem, że przy peronie stały dwa pociągi, wsiadłem do tego, wzdłuż którego szliśmy, a ponieważ byłem z Zygmuntem – nie spojrzałem na tablicę. Jadłem na kolację sardynki, jajka na szynce i winogrona. Teraz zupełnie usatysfakcjonowany. Temperatury już chyba nie miewam. Chyba trochę i lepiej się czuję. Pasjonujące sprawozdanie z Soboru. Ta katastrofa kolejowa u nas okropna, zupełnie identycznej uległ tu kilka dni temu express Rzym–Paryż, też wpadł na wykolejone wagony, tyle że towarowe.

sobota, 13
godz. 18.30

Zupełnie, jak u nas w listopadzie i to pod koniec: ziąb przenikliwy, po ciemno [?], ale za to w pokoju ciepło, palę już od kilku dni i tak mocno, że trzymam przeważnie jedno okno lekko uchylone. Dzisiaj przyjemna wiadomość ze Szwajcarii²⁹, bo ostatnio już się pogubiliśmy z Zygmuntem w realiach, okazało się, że byliśmy pesymistami, mam więcej niż przypuszczałem, około dziesięciu, tu i tu jeszcze na kilka miesięcy. Czuję się mimo pogody wyraźnie lepiej, tyle że bardzo mi jest potrzebna kawa, ale z drugiej strony – nie piję rano, jak w domu mocnej herbaty, tylko białą kawę. Zżera mnie też potrzeba słodczy. Staram się nie objadać czekoladą w nocy. Kupiłem owoce kandyzowane (ananas, figi, daktyle, mandarynki, śliwki), pojęcia nie masz, jakie to dobre, przywiozę na spróbowanie. Pokazały się teraz świeże figi [zamazane 4 krótkie słowa]. Niesposób [sic] pisać na tym papierze, [niewyraźne] go palcami po brudzie i ołówek się chwyta [Dopisane bokiem: Maszyna pożyczona, właściwie nie ma sensu kupować tutaj, bo każdy nosi sobie" [sic, ??] dobrej marki kosztują ponad [niewyraźne słowo, potem może „dolary”?]. I trzeba przeczekać.

godz. 23.35

Pojechałem po kolacji do Paryża, żeby się przejść, tu, wieczorem, zupełnie nie ma gdzie iść – jedna właściwie aleja: czterysta kroków w jedną stronę i spowrotem [sic], reszta pusta, głucha i ciemnawa. Przeszedłem m.in. drogę mojego starucha³⁰, pierwszy raz o tej porze, i odnalazłem szczegóły, o których zupełnie zapomniałem, nie uwzględniłem np. aut zapakowanych po obu stronach ulic, właściwie drobiazg, ale konieczny. Mimo chłodu na ulicach tłumy, pełno ludzi siedzących w kawiarniach, przy stolikach na dworze. To chyba jeden z mitów, że Francuzi źle znoszą chłody. Może silne mrozy, tak, ale taką właśnie przejmującej wilgocią pogody jesienną świetnie.

²⁹ Andrzejewski posiadał międzynarodowe konto w Szwajcarii na honoraria z przekładów swoich książek.

³⁰ To jest Ortiza w *Idzie skacząc po górach*.

[dopisek bokiem: Nasi bracia Czesi zwalili w Pradze i wysadzili w powietrze dynamitem ogromny posąg Wuja³¹ (17 tysięcy ton!)]].

niedziela, 14

godz. 10

Słoneczko dla odmiany.

godz. 21.20

Po południu na kawie u Zygmuntów. Więcej o pisaniu myślę niż piszę. We wrześniowej „Twórczości” ładne opowiadanie Wasyla Aksjonowa, to zdaje się jeden z młodych i właściwie banalne, ale przejmujące swoim podskórnym nurtem, smutkiem, prawie beznadziejnością. Przeczytaj to – warto, i jakie to rosyjskie! Zwróć uwagę na kielbasę, którą kupuje się w Charborowsku w „Delikatesach” po rozmowie z kierownikiem. Przed chwilą, gdy akurat to opowiadanie skończyłem, przydarzyło mi się coś bardzo zabawnego: o tej porze jest tu zwykle cisza, czasami jakieś auto aleją przejdzie, odgłosy z dołu, z jadalni, których nie słyszę. Otóż nagle bardzo wyraźnie wdarł się w tę ciszę warkot przelatującego niedaleko samolotu; i w tym momencie, nie wiem dlaczego, niespodziewanie zacząłem się zastanawiać, gdzie jestem, dopiero po chwili odnalazłem swoje miejsce na mapie, zupełnie jak noc, gdy się człowiek zbudzi i w pokoju hotelowym, którego jeszcze nie zna, albo w ogóle w nowym miejscu. Myślę, że Maryla przywiezie ze sobą jakieś wiadomości, od listu, który zabrał Brodzki, sporo już czasu upłynęło. Przeczytałem także w tej wrześniowej „Twórczości”, że „Popiół” wyszedł na Węgrzech w końcu maja. Przysłali egzemplarze?

poniedziałek, 15

godz. 9.40

Słońce. Nie pojadę na dworzec Inwalidów, zbyt duży wysiłek; natomiast po wczesnym obiedzie pojadę wprost do Ani domu [?] i wezmę Marylę na pierwsze oglądanie miasta.

³¹ Chodzi o pomnik Stalina z 1955. Akcja wysadzania trwała kilka dni i władze próbowały ją ukryć przed opinią publiczną, lecz nieskutecznie.

godz. 23.30

Wróciłem przed chwilą z Paryża, nawet nie nazbyt zmęczony, choć prawie dwanaście godzin w ruchu. List przeczytałem natychmiast, w pociągu, spowrotem [sic] jeszcze raz. Niedośyt wiadomości, ale rozumiem, że się spieszyłaś, zresztą nie zawsze jest się w usposobieniu do pisania. Do jutra! Zmartwiły mnie wiadomości o chorowaniu Jarosława³².

piątek, 19 października

godz. 11

Dziura się, jak widzisz, się [sic, wtrącone], zrobiła, ale przez dwa dni pisałem, takie malutkie opowiadanie o dzieciach³³, wyjdzie tego nie więcej niż sześć stron. Mam już tylko samo zakończenie do napisania. Sam temat jeszcze raz zawdzięczę rodzinie Abgarowiczów, w tym wypadku Jankowi, wpadła mi po prostu prawie przypadkiem notatka, jak on chciał dziewczynkę zmienić w chłopca, kazał jej płuć i gdy nic z tego nie wychodziło powiedział nic z tego nie będzie, masz cienki głos i odstające uszy. Nie wiem, jak mi to ostatecznie wyjdzie i czy to będzie miało głębszy, ogólniejszy sens. Znów wczoraj przyjechała Maryla, a po obiedzie zabrał nas Zygmunt autem do St. Germain en Laye³⁴, gdzie widok na doliny Sekwany i Gonyi [?]³⁵. Do południa bywa teraz przeważnie pochmurno, ale potem wyłazi słońce, ociepla się i jest naprawdę wyjątkowo pięknie.

W związku z listem:

- 1) zamówienia będą oczywiście załatwione.
- 2) świetnie, że swetry pasują, nam też się wydawały ładne.
- 3) niech Marcin nie zwleka z listem, bo mogę mieć tak dosyć tego tu pobytu, że pewnego dnia wykupię bilet i przylecę.
- 4) te historie z sobowtorem rzeczywiście idiotyczne, nie rozumiem, że faceta nie potrafią przymknąć.

³² Iwaszkiewicza.

³³ Ania i Tonio, bohaterowie wspaniałego opowiadania *Pierwsza miłość*, opublikowanego dopiero w 1980.

³⁴ Saint-Germain-en-Laye.

³⁵ Tam jest dolina Oise.

sobota, 20

godz. 9.35

Nudno. Od wczoraj ciężki atak neurastenii, źle się poza tym czuję, chyba z początkiem listopada wrócę, wszystko to nie ma sensu, pisanie podłe, poco [sic] mam tu siedzieć i wydawać kupę pieniędzy?

niedziela, 21

godz. 12.05

Pogoda lepsza, i zaraz i samopoczucie i humorek lepsze. Że też człowiek tak niewolniczo uzależniony od płochych i zmiennych warunków zewnętrznych. Wczoraj, żeby już całkiem nie skisnąć, pojechałem do Paryża, do kina, po prostu na western, zresztą bardzo dobry, z tych psychologicznych i pod Conrada, z Randolph Scott i Joel McCrea, po francusku tytuł „Coups de feu dans la Sierra”³⁶, reżyser mało znany, ale świetny. Wróciłem przed ósmą, żeby nie jeść na mieście.

Wciąż nie mogę skończyć tego głupiego opowiadanka, dosłownie kilku końcowych zdań mi brakuje i nie potrafię ich napisać.

[dopisane z boku: zdaje się, że nie będę już dalej ciągnąć tego idiotycznego listu, wyślę go dzisiaj, bo po południu pojadę do Paryża zobaczyć się z Anką. Myślę, że w tych dniach powinno coś przyjść od Ciebie. Całuję wszystkich J.]

sobota, 27. X. 62.

całkiem, jak dialog z dramatu: posiedzenie Rady Bezpieczeństwa, Stevenson pochyla się ku Zorinowi: niech pan pozwoli, że postawię³⁷ jedno pytanie. Czy pan, panie Zorin, zaprzecza, że Związek Radziecki instaluje na Kubie rakiety nuklearne o krótkim i średnim zasięgu? Niech pan odpowie: tak, albo nie. Niech pan nie czeka na tłumaczenie. Zorin zaczyna się śmiać i po chwili mówi: nie jestem przed amerykańskim trybunałem. Nie mogę odpowiadać na pytanie zadawane tonem generalnego prokuratora. Stevenson: znajduje się pan wobec opinii publicznej. Zorin: odpowiem w odpowiednim momencie. Musi pan zaczekać na odpowiedź aż do

³⁶ Film Sama Peckinpaha *Ride the High Country*, polskie *Strzały o zmierzchu* (1962).

³⁷ Kalka z francuskiego.

chwili, kiedy będę mógł jej udzielić. Stevenson krzyczy: wpierv piekło zamarnie nim się doczekam od pana odpowiedzi! Wśród delegatów nerwowe śmiechy. Wczoraj po południu zawiozłem torbę do Żuławskich, deszcz prawie ulewny, metro czynne tyle że bez kontrolerów, więc darmo, ale zato [sic] nie zatrzymujące się na wszystkich stacjach, wracałem koło siódmej i na Concorde takie były tłumy, że z Etoile na St. Lazare jechałem prawie godzinę. Dowiedziałem się u Ż., że w Warszawie żywność na kartki. Znowu niepokój. Po powrocie zastałem list od Marcina. Ulewa, wściekły wiatr, a dzisiaj od rana słońce i tylko kasztan przed moimi oknami prawie całkiem z liści огоłocony. Z coraz większym niepokojem myślę o przedłużaniu tutaj pobytu. Zdaję sobie sprawę, że przenosić się stąd tam, to jak z deszczu pod rynnę, nie mogę jednak, rozważając te zawiłe sprawy, uzyskać przyzwolenia wewnętrznego, aby w prowizorce tutaj doszukać się korzyści, które by istotnie przedstawiały jakąś wartość wobec gorzkich udręk tam. Ten świat tutaj wydaje mi się chwilami nieodwołalnie skazany na zagładę, ludzie ślepi i głusi, niczego nie rozumiejący, a już najżałośniej debilowaci ci, którzy pielęgnują w sobie mgliste ideały postępu, wolności i sprawiedliwości społecznej, Rosjanie górują nad nimi wszystkim: sprytem, bezwzględnością, psychologicznym rozeznanie. Mity, których nędzę, [sic] myśmy poznali aż do dna – krążą jeszcze po świecie w swoich odświętnych strojach i nazbyt wiele faktów zdaje się przemawiać za tym, że to one powoli [sic] będą zwyciężać, przebudzenie z mrzonek przyjdzie zapóźno [sic], jak dla tych Żydów, którzy wędrując do krematoryjnych pieców, do ostatniej chwili nie wierzyli, że idą na śmierć. Opowiadać się za prawem w obliczu tych, którzy prawem gardzą i którzy wszelkie prawa tylokrotnie gwałcili: geniusze kłamstwa, szantażu i cynizmu – cóż za naiwność, naiwność nawet już protestu nie budząca, że można żyć i tak rozpaczliwie mało nauczyć się z doświadczeń historii. Tzw. lewicujący intelektualiści francuscy biją wszelkie rekordy ślepoty. Żaden z nich najprawdopodobniej nie pragnąłby znaleźć się pod reżimem komunistycznym, lecz w momencie, gdy rakiety instalowane na Kubie mogą się w każdej chwili stać argumentem najdalej posuniętego szantażu politycznego, gdy w kilka minut i bez możliwości obrony prawie cały aparat obronny Stanów Zjednoczonych może ulec zniszczeniu – oni analizują aspekt prawny amerykańskiej blokady, dają upust małym, regionalnym megalomaniom i animozjom, na serio przyjmują zmieniające się z dnia na dzień oświadczenia Chruszczowa, zupełnie nie zdając sobie sprawy,

że kręć powróż na własne szyje. Jeżeli w najbliższych dniach Amerykanie ulegną opinii, literze martwego prawa i zbraknie im śmiałości, aby siłą zlikwidować radzieckie rakiety tuż pod swoim bokiem – można przewidzieć dalszy ciąg: bagno rokowań, z których wyjdą pokonani i ośmieszeni. Natomiast Związek Radziecki opromieniony umiłowaniami pokoju i praworządności. Coraz częściej wydaje mi się, że zbliża się ostateczny koniec Zachodu i koniec tych wartości, które reprezentuje, lecz których nie ma sił i odwagi, przede wszystkim odwagi bronić. Więc niech umiera, niech umiera sromotnie, jeśli nie stać go na ryzyko śmierci odważnej. Jedno co mnie w tym nieuniknionym, jak się zdaje, procesie pociesza, to zarysowująca się możliwość, iż globalna ruina cywilizowanego świata zahamuje rozwój człowieka *t e c h n i c z n e g o*, a doświadczenia, którym ludzie zostaną poddani, bezwzględne i okrutne, ukształtują istoty głębiej z istnieniem powiązane aniżeli człowiek współczesny. Ja tego już nie doczekam, ale nie dopatrzę się w tym fakcie szczególniejszej klęski, od kiedykolwiek bowiem powstało w umyśle ludzkim rozróżnienie czasów – żaden śmiertelnik nie mógł, nie może i nie będzie mógł uniknąć swojej nieobecności w czasie przyszłym. Wszyscy *c z e g o* [sic] muszą się nie doczekać.

niedziela, 28. X.

przysłuchanie, którego lepiej nie roztrząsać i nie utrwaląć przy pomocy słów, przysłuchanie wynikające zarówno z sytuacji ogólnej, jak i z mego zleg [sic] samopoczucia i daremnym wydaje mi się wysiłek, aby bodaj dla samego siebie zdać sobie rację, w jakim stopniu ten mój stan wynika ze spraw rozgrywających [sic] się poza mną i ode mnie niezależnych, a o ile jest związany z upokarzającymi dolegliwościami ciała.

Z pożyczonych przed kilkoma dniami numerów „Twórczości” dwa opowiadania Witka Wirpszy „Morderca” i „Godzina tygrysów” Mirka Żuławskiego. Witka proz [sic] świetnie napisana i osnuta na efektownym pomysśle – mówiłem to wczoraj wiecz[em] Maryli, gdy szliśmy przez Champs Elisees po obejrzeniu filmu z Deanem „Buntownik bez powodu”³⁸ – na mój gust jednak brak równowagi pomiędzy tym ca [sic] uruchomionym warsztatem rzemiosła i wewnętrzną nośnością opowiadania, Maryla twierdzi, że w zamierzeniu Witka miało to być żart, owszem, może być żart,

³⁸ *Buntownik bez powodu* (1955), reżyseria Nicholas Ray.

lecz w tym wypadku aparat nazbyt w pewnym sensie doskonały, po prostu za duży ja [sic] na żart. Natomiast Mirek, który od wielu lat nic nie drukował, zadziwił mnie nawet wzruszył tym ostatnim swoim opowiadaniem. Myślę, że jest nie tylko najlepsze ze wszystkiego, co napisał, lecz i najprawdziwsze, najbardziej osob[is]te, ukształtowane z wewnętrznej potrzeby, potwierdzające zresztą moją opinię o Mirku, że przy całym swoim oportunistycznym przystosowaniu się, sybarytyzmie [sic] i chłodzie istnieje w nim głęboka skaza, jątrząca zadra, nie przypuszczałem jednak, że zdolny jest do tak daleko idącego „ujawnienia”, do publicznego pokazania swojej prawdziwej twarzy.

Poza tym Gida „*Ainsi soit-il*”³⁹, kupione w tym tygodni [sic] zupełnie przypadkowo w księgarni w pasażu koło dworca St. Lazare. Zupełnie nie wiedziałem, że istn[ie]je Gide wydany już po śmierci. Zawsze mnie głęboko porusza ten rodzaj literatury, choć zdaję sobie sprawę, że w samej istocie książek pisanych w obliczu spraw tak ostatecznych, jak w tym wypadku zbliżająca się nieuniknienie śmierć, jest coś z szantażu, pozostając szantażem nawet, gdy spisujący podobne strońce daleki jest od myśli o szantażowaniu swoją sytuacją. Nie jestem pewien, czy w odniesieniu do Gide to zastrzeżenie może być brane pod uwagę. Tym niemniej przeczytałem tę małą książeczkę z dużym zainteresowaniem, doceniają [sic] wiele zawartych w niej uwag i sformułowań, daleki jednak od szczególnie wzruszających wrażeń, jakie towarzyszyły mi przy lekturze książki Manna o dziejach „Doktora Faustusa”⁴⁰, czy nawet wspomnień Eryki o ostatnim roku życia jej ojca⁴¹. Od dobrych kilku lat nazbyt blisko krąży dokoła mnie moja śmierć własna, aby dreszcz niezdrowego zafascynowania nie ogarniał mnie przy relacjach o umieraniu cudzym. Nim człowiek zdąży się pogodzić z życiem, już wyrasta przed nim konieczność pogodzenia [sic] się ze śmiercią, obie niezgody drążą go i dręczą, a może właśnie z życiem trzeba się pogodzić, aby osiągnąć zgodę na śmierć? lub własną zagładę przyjąć, żeby z życiem zawrzeć przymierze? gdzie klęska, gdzie zwycięstwo? może tylko ta pierwsza w ostatecznym rozrachunku? zwycięstwo tylko w pragnieniach i wśród złudzeń nadziei?

³⁹ *Ainsi soit-il ou Les Jeux sont faits* André Gide'a wyszło u Gallimarda w 1952 roku.

⁴⁰ Chodzi o książkę *Jak powstał Doktor Faustus. Powieść o powieści* z 1949 roku.

⁴¹ Erika Mann opublikowała w 1958 pamiętnik *Das letzte Jahr. Bericht über meinen Vater*. Wątek ten niejako zapowiada minipowieść Andrzejewskiego *Już prawie nic*.

Trafia mi do przekonania wywód Aleksandra Wata, z którym wczoraj przed południem rozmawiałem, że w razie rozprzestrzeniania się komunizmu na Zachód – u nas kurs nie tylko nie zelżeje, lecz przeciwnie: poważnie się zaostrzy, z tej oczywistej konieczności, że gdy tam w pierwszej fazie zapanuje szeroki front lewicowy i okoliczności sprzyjać będą rozlicznym herezjom i rewizjonizmom – po naszej stronie, starszych niejako braci, tym pilniej i bezwzględniej przestrzegane będą rygory „prawdziwego” marksizmu. Oczywiście wolnośćczy [sic] względna wolność przypadnie Zachodowi tylko w pierwszym, początkowym stadium, następne, po skryształizowaniu się ośrodka władzy, ulegnie tym samym regułom, przez które i my po tej stronie musieliśmy przejść. Przypowieść o „wąskiej bramie” wciąż jest aktualna.

Dzwonił przed chwilą Zygmunt, że przez radio komunikat nadzwyczajny: Chruszczow w liście do Kennedy wyraził zgodę na zlikwidowanie radzieckich baz na Kubie. Więc koniec konfliktu! Myślę, że raczej dopiero początek serii wydarzeń i optymizm w tej chwili nie wydaje się uzasadniony, ponieważ ten się śm[ie]je, kto się śmieje ostatni. Jestem prawie pewien, że jeśli Chruszczow skapitulował, a kapitulował niejako na raty, z dnia na dzień i wobec każdego żądania Stanów, to dlatego jedynie, iż chcąc rozegrać grę o szerszym i ważniejszym dla siebie zasięgu niż Kuba, pragnie zjednać dla siebie opinię światową, jako ten, który idzie nawet na ustępstwa, gdy trzeba bronić pokoju. Jest to ustępstwo z rzędu tych, które każą myśleć o rzeczach najgorszych, stara zasada leninowska, aby cofnąć się i potem z nowych pozycji zaatakować. A może na skutek uczuć osobistych przeceniam siłę Rosjan, mitologizuję ich obraz i zniekształcam go w stosunku do rzeczywistości? Zdaję sobie sprawę, że skłonności do mitologizowania budzą się zawsze, gdy w grę wchodzi silne uczucia, nieważne, czy będzie to miłość, czy nienawiść, albo strach, który według ludowego porzekadła ma „wielkie oczy”. Każde gwałtowne zaangażowanie posiada „wielkie oczy”. Ale mimo tych zastrzeżeń nie mogę uwierzyć, aby w najbliższym czasie Rosjanie nie przeszli do politycznej ofensywy. I nie zdziwiłbym się, gdyby to nastąpiło w punkcie, którego znaczenie i cały sens dopiero w momencie ataku staną się alarmujące, [sic]

Cały dzień, prócz południowego wyjścia na kawę, w domu, zresztą bez żadnej potrzeby towarzystwa i również bez potrzeby gwaru miasta, tak zresztą niezdolny

do jakiegokolwiek wysiłku, że nawet chęć zadzwonienia do Ani Jawicz, której nie widziałem od zeszłej niedzieli, rozbiła się o tę inercję. Gdyby nie znużenie, obrzydliwe, przytłaczające znużenie – najchętniej był [sic] pracował. Tak więc i teraz wystukuję na maszynie te zdania nie tyle z potrzeby, ile żeby się czymś zająć, coś w rodzaju ćwiczeń, jest dopiero pół do dziesiątej, a zmęczenie takie, jakbym miał poza sobą dzień wytężonej pracy, nie – gorzej, bo zmęczenie pracą nie przytłacza ogromem jałowości, jaką daje pod wieczór dzień zmarnowany, jeszcze jeden w długiej kolejce podobnych. Tyle tego, że ostatecznie się dzisiaj zdecydowałem na przedłużenie pobytu tutaj do trzech przynajmniej tygodni, aby raz wreszcie zrobić porządek z zębami. Gdybym się na to zdecydował w ubiegły poniedziałek, kiedy po raz pierwszy poszedłem do dr. Mularskiego na St. Sulpice, dzisiaj miałbym już najgorszy okres poza sobą. Teraz zacznie się to dopiero od wtorku. I chyba od następnego tygodnia przeniosę się z powrotem do Paryża, oczywiście przy mojej diecie nie do hotelu, będę musiał znaleźć jakiś pensjonat.

poniedziałek, 29.

Wczorajsze referendum przyniosło de Gaullovi niewiele więcej niż 60% głosujących, zatem, jeśli zwycięstwo, to raczej skromne, uwzględniając zarówno sytuację międzynarodową, jak i duży procent wstrzymujących się od głosowania. Interesujące, w jaki sposób nasza propaganda powiadomiła tzw. społeczeństwo o istnieniu rakiet nuklearnych na Kubie, skoro do tej pory zaprzeczała ich obecności, oskarżając Stany o świadomie prowokacyjne fałszerstwo fotografii. Być może to właśnie pierwotne stanowisko Rosjan wskazywałoby, że Chruszczow nie przewidywał, aby Stany zajęły w tym konflikcie pozycje tak nieprzejdane [sic].

Olśniewające słońce, kartka od Ewy Fiszer z Santiago z kilkoma słowami że jedzie do Ziemi Ognistej

W komentarzach dzisiejszej prasy obok akcentów ulgi i odprężenia (dalekich jednak od entuzjazmu) przede wszystkim ton zaskoczenia. Co spowodowało nagłe wycofanie się Chruszczowa? Stawianie na uległość Stanów, zaskoczonych wobec dokonanych faktów i obawiających się podjęcia stanowczych kroków, więc błąd w kalkulacji? Raczejta opinia przeważa, lecz ocenie sytuacji Kennedygo [sic], jako zwyciskiej [sic] w tym gwałtownym starciu, towarzysza znaki zapytania: co

dalej? Otóż nie jestem pewien, czy i to się dotychczas stało można określić jako zwycięstwo [sic] Stanów. Byłbym skłonny przypuszczać, że Chruszczow, decydując się na ryzykowne przedsięwzięcie kubańskie i z punktu widzenia tajemnicy woj-skowej wcale rozpoczętych prac nie maskując, a więc w zasadzie pewien, że Ame-rykanie połapią się niebawem, co się pod ich boki dzieje – w istocie niczego nie ryzykował, bo w razie, gdyby Stany tą [sic] prowokację połknęły, przewaga w broni nuklearnej stała by [sic] się dla strony rosyjskiej oczywista, a konsekwencje poli-tyczne dzięki temu daleko idące, wszystko zatem przy podobnej reakcji Stanów było do wygrania, natomiast w razie niepowodzenia takiej wersji pozostawała wersja druga: wycofania się z baz nuklearnych na Kubie wzamian [sic] za przyrze-czenie Stanów, iż wyrzekają się wszelkich zamiarów agresywnych w stosunku do Kuby i reżimu del Castra⁴². Myślę, że ta druga wersja również jest zwycięstwem Rosji, gdzie zdawano sobie sprawę, że wcześniej czy później Stany podejmą zde-cydowane kroki aby zlikwidować reżim komunistyczny i całkowicie satelicki pod swoim bokiem. Bez wszczęcia wojny atomowej agresja Stanów w stosunku do Kuby musiałaby siłą rzeczy skończyć się likwidacją reżimu del Castra. Obecnie, połknąwszy podrzuconą przynętę, Stany mają związane ręce uroczystym przyrze-czeniem, Kuba pozostaje bezpieczna i satelicka, Chruszczow – wielkim obrońcą pokoju. Oto wielka gra! Niby to ustąpić, wydzierając równocześnie wrogowi z gar-dła zobowiązania, których w warunkach normalnych nigdy nie złożył. Myślę, że to jest genialnie proste, a rozegrane bez pudła. Co w stosunku do stanu dotych-czasowego zyskały Stany? Absolutnie ni [sic] natomiast zwycięstwo [sic] wychodząc z „podrzucanej” świni wyrzekły się Kuby

6. XI. 1962

[widokówka z Paryża]

Kochanie, z tymi listami zupełny kłops, dzisiaj dostałem Twój list z 26-ego, listy Agnieszki i Marcina doszły, ale słowa od Ciebie po wiadomościach przez Marylę, więc też i rozumiały niepokój. Bardzo się zmartwiłem, że żadnej torby nie mógł zabrać, trudno, może będzie jakaś okazja. Tu jesień głęboka, deszcze, mgły, ale na ogół dość ciepło. Życie spokojne, raz samopoczucie lepsze, raz gorsze, jak to w życiu. Z rewelacji tyle, że od tygodnia robię generalny porządek z zębami. Na-

⁴² Poprawnie: Castra. Fidel Castro.

razie [sic] jestem na mięciutkim jedzeniu, będę miał całą górę i dolne boczki. Rozumiesz, że tego rodzaju przejścia nie usposabiają do głębszego życia intelektualnego. Tyle narazie [sic], niebawem dłuższy list napiszę. Teraz, żebyście mieli jakąś wiadomość.

Ucałowania

J

Powrót chyba pod koniec miesiąca.

Czy list do Agnieszki dotarł?

wtorek, 6 listopada

Kochanie,

kilka słów w pośpiechu przez brata Józka Krakowskiego. Dopiero wczoraj przyszedł Twój list z 26-ego, jedyny jaki otrzymałem, prócz listów Agnieszki i Marcina. Więc jeden list musiał zaginąć. Rano wysłałem do was dwie kartki, w tym jedną do Marcina z życzeniami imieninowymi. Czy mój list do Agnieszki doszedł?

Mój pobyt tutaj pewnie się przedłuży, a to w związku z generalnym porządkowaniem ZĘBÓW. Tydzień temu wyrwano mi dwa ostatnie górne, była to decyzja z rzędu tych bohaterских, już się cofnąć nie mogę i wrócić muszę z pełnym uzębieniem, postawa moralna na ogół dobra, fizyczna – różnie, okropna ostatnio była pogoda, deszcz, mgły i takie jesienne przypadłości.

Zmartwiłem się bardzo, że Andrzej Żuławski w ostatnim momencie nie mógł zabrać torby, ale list chyba dostarczył. Może będzie jakaś okazja, ale to trudno na ogół, bo ludzie własnych bagaży zwykle mają kupę.

Miary na protezy mam już zdjęte, ale być może sprawa się trochę przeciągnie, bo po wyrwaniu tego trzonowego zęba została mała kosteczka i albo sama wyjdzie albo trzeba ją będzie wyciągać, więc nowe gojenie się, to strona smutna [?? niewyraźne] są duże racje [??], muszę się tylko zorientować, jak to załatwić, może raczej wo??ną własną napisz. Poza tym chciałbym mieć szybko miarę spodni Marcina: w pasie, obwód siedzenia, od pasa do kroku, długość. Rzecz w tym, że mogą być na obstalunek z tergalu i z takim paskiem gumowym, jak moje stare.

Chyba bardzo cześnie [?] para, bo do wszystkiego, a przede wszystkim do zamszowej kurtki. Moje będą na sobotę.

Piszcie i ucałowania

J.

[widokówka z Paryża do Marcina]

Czcigodny Panie,

w dniu Pańskiego Patrona pragnę złożyć Czcigodnemu Panu najlepsze życzenia. Proegu [niewyraźne ołówkiem] skutera wszechstronnie rozważ gumy [?], Ania Jawicz już od dość dawna nosiła się z zamiarem ofiarowania Czcigodnemu Panu tego użytecznego sprzętu. Zobaczymy! Z wyrazami głębokiego szacunku polecam się Pańskiej pamięci

Ryszard III

6.XI.1962

[fragment listu albo dopisek na karcie, datowanie nieznane]

Maryśku, dzisiaj w sobotę, albo jutro będę dzwonił, boję się jednak, że po wczorajszej wicherze może być przerwane połączenie. Pieniądze (150 tysięcy) zostały wysłane 2-ego za pośrednictwem Banku Narodowego. Jeśli nie ma ich jeszcze w P.K.O. to reklamuj w Banku choćby u samego dyrektora.

Najdalej we wtorek zorientuję się, czy wracam, czy nie. Jeden ząb, ten pod koroną, będzie zdaje się uratowany.

Ściskam

Jerzy

Niewiele, bo niewiele, ale co dostałem, tym się dzielę

wtorek, 13.XI. 62.

raz się ciągłość rytmu listów przerwie i odrazu [sic] powstaje korek, okazuje się, że zupełnie nie potrafię pisać listów od ręki, takich całościowych i jedynie odnotowywanie codziennych wrażeń jeszcze mi od biedy wychodzi. Ostatnia przerwa

nie tyle z mego lenistwa i niedbałości, ile z przyczyn natury historycznej, ten potwór, zwany Historią, całkowicie mnie w okresie wydarzeń kubańskich opanował, potem przyszły zwykłe dni i tak dalece nieciekawe, że na dobrą sprawę prócz zębów, zmiennej pogody i zmiennych humorów nie było się o co zaczepić i tak właściwie jest do dzisiaj, wszystko to nie miałoby najmniejszego sensu, to znaczy moje siedzenie tutaj, gdyby nie sprawy dotyczące remontu osobistego, oczywiście słuszne i jaknajbardziej [sic] pożyteczne, lecz w praktyce śmiertelnie, ponad miarę nudne, źródła nudy, stwarzane w obrębie samego siebie są doprawdy niezmierzone, gdybyż to chociaż było zniecierpliwienie, ale nie, właśnie papkowata, kleista nuda. W najbliższy piątek zostanę już uzbrojony w uzębienie i chyba na ostatnie dni przeniosę się do Paryża.

niedziela, 18

dokoła Wojtek to samo, z zębami nowa zwłoka, ponieważ próbny wzór okazał się z zbyt wysokim zgryzem, dzięki czemu zupełnie inaczej zacząłem wyglądać, trochę na kretyna. Przed kilkoma dniami wysłałem do Agnieszki listek urodzinowy⁴³, chyba dojdzie na czas, a znów wczoraj przyszedł list Agnieszki, widzę z niego, że brat Krakowskiego musiał w niezwykle szybkim tempie skomunikować się z wami, jeśli Agnieszka już w posiadaniu pocztówek z ukochanym Belmondo, słowem jednak nie wspomina, czy i trzy długopisy otrzymaliście. Wiadomości przesłane w krótkim liście oczywiście mało aktualne, bo Krakowski o kilka dni przedłużył tutaj swój pobyt, a list mu oddałem przy pierwszym terminie. Czekam tylko na te nieszczęsne zęby i jak tylko będę w nie uzbrojony – przeniosę się do Paryża, kupę jeszcze różnych spraw muszę przed wyjazdem połatwiać, a ciągle miotanie się pomiędzy tutaj itam trochę nadto męczące zwłaszcza przy obecnej paskudnej pogodzie, wciąż bardzo chłodno, wilgotno, czasem po prostu leje, częściej popaduje, mam już tego wszystkiego dość po same, jak to się mówi, dziurki w nosie i nie dziw się, że zaniechałem dziennych notatek, ale żadnej ochoty, żeby utrwalać te jałowe bzdety wypełniające moje dni. Nie mam pod ręką kalendarza i nigdy nie mogę spamiętać, ile dni ma listopad: trzydzieści czy trzydzieści jeden, więc na razie dniami będę operować, jakbym się znajdował na wyspie bezludnej – otóż bardzo wątpię, czy uda mi się przylecieć [sic] w następną niedzielę to znaczy

⁴³ Nie zachował się.

25-ego, raczej może w środę 28-ego, ale najpewniej w jeszcze następną niedzielę, tu już się gubię, który to będzie grudzień, w każdym razie dam wcześniej znać telefonem, albo depeszą. Myślę o powrocie z ulgą, choć bez szczególniejszego entuzjazmu, więc chyba akurat tak, jak na wyjeźdnym myśleć należy.

I raczej ta druga niedziela wydaje się bardziej prawdopodobna, wolę po prostu oswoić się z przekłątą protezą i dentystę mając pod bokiem i sobie, a przede wszystkim otoczeniu najbliższemu oszczędzając roztropnie wszelkich humorów związanych z pierwszym okresem przystosowania się, myślę, że tak będzie rozsądniej i pożyteczniej dla wszystkich zainteresowanych. Muszę też i Dreyfusowi złożyć ostatnią wizytę, trudno powiedzieć, że czuję się dobrze, ciągle szybkie męczenie się nadmierne kosztą wszelkich wysiłków wykraczających poza uregulowane istnienie, bo chyba w ten sposób określić należy w moim wypadku to, co potocznie nazywa się życiem. Nie, nie mogę się więcej na te tematy rozpisywać, czujesz chyba iść [sic] zagęszczoną nudę.

poniedziałek.

więc zaczął się nowy dzień, cholerna wilgoć, spocone okna, liście już z drzew opadły, odsłaniając zdegenerowane kształty konarów, jadę do dentysty. Będę wysyłał kartki. Duże ucałowania wszystkich

J.

[Fragment listu lub dopisek na osobnej karcie, może z domu handlowego – wraz z rysunkiem, 31 I 1963]

Wszystkie zakupy dzięki Ani Jawicz. Torebka kupiona u modelarza, w sklepie kosztowałaby co najmniej kilka tysięcy więcej. Najnowszy paryski styl, skóra z żagnięcia (6.800 fr). Pasek kupiony w magazynie, którego adres masz na odwrocie. Na wypadek, że zniszczy się klamra – wystarczy napisać do Ani, podaję też adres, i ona natychmiast kupi i wyśle nową. Ten pasek należy w dowolny sposób układać.

Pończochy – najwyższy gatunek tutaj

Perfumy – od Ani dla Ciebie. Napisz do niej kilka słów, dobrze? To naprawdę

[ciąg dalszy na karcie domu Charlys Maroquinier, 14 Bd de Strasbourg]
wielka moja przyjaciółka, prawie wszystko o mnie wie, a sama jest człowiekiem wyjątkowej wartości i bardzo w życiu zaplątana dzięki mężowi, który nie może przestać być chłopcem (41 lat). Napisz do niej serdecznie, ona bardzo potrzebuje serca.

Mme Anna Jawicz

122, rue Perroniet

Paris-Neuilly

Do druku podał i opracował

Piotr Sobolczyk

ZBIGNIEW DMITROCA

Idylla bezgraniczna

„Miej serce i patrzaj w serce!”

Mickiewicz

Nie zamykaj oczu
Niech zło cię przerazi
Zobacz je i poczuj
W sielskim krajobrazie

Nie zamykaj oczu
Nie odwracaj wzroku
Zobacz to i poczuj
Ile zła jest wokół

Nie odwracaj wzroku
Przeraź się do głębi
Zło nie czyha w mroku
I nie ma jastrzębich

Szponów ani dzioba
Ani kłów tygrysa
Zło to jest choroba
Co dobro wysysa

Zło to obojętność
Na ludzkie cierpienie
Zdobądź się na świętość
Zwalcz zobojętnienie

Zdobądź się na świętość
W sielskim krajobrazie
Niech cię obojętność
Do głębi przerazi

Nie zamykaj oczu
Na zło w swej naturze
Zobacz je i poczuj
Na swej własnej skórze

I niech cię poruszy
I niech cię przerazi
Zło ukryte w duszy
Sielskim krajobrazie

I nie ma że boli
Że budzi odrazę
Prawda cię wyzwoli
Z bezdusznej oazy

Spuścizna

Strachy naszych przodków
trwogi matek babć
i płonne zaklęcia:
nie ma co się bać

Lęki dziedziczone
przez setki pokoleń
spuścizna przerażeń
udręk i zniewoleń

I nikt nie wie kiedy
da o sobie znać

niechciane dziedzictwo
ojców matek babć

Don Kichot

Chodzi sobie spieszony don Kichot
Wśród mocarzy średniaków i lichot

Niepozorny niemłody przechodzień
Jakich wielu się widzi na co dzień

A wiatraków wokół coraz więcej
Rosną jak w wyobraźni dziecięcej

I raz po raz dobiega ich chichot
To ten stary idiota don Kichot

W głosie słysząc tyle satysfakcji
Że nie sposób nie przyznać im racji

Ugory, odłogi, nieużytki

Ugory odłogi nieużytki
Mogą komuś wydawać się brzydkie

Dla mnie niedoszłego malarza
To wspaniałe półdzikie pejzaże

Chabry maki osty łopiany
Pieją na nich zielne peany

Ku natury jeszcze dzikszej chwale
Co bez ludzi ma się doskonale

Opoka epoki

„Kopaliśmy z Witkiem w czarnym mule tej epoki”.

Stachura

Jak świat nasz długi i szeroki

Każdy się tapla w mule epoki

Każdemu inna miara jest dana

Po kostki szyję lub po kolana

Jedni ochoczo od razu włożą

Inni niemrawo albo z odrazą

Wielu próbuje przejść suchą stopą

Dla wielu namuł jest opoką

PIOTR PIASZCZYŃSKI

Wiersz zimowy

Ktoś bliski się rozchorował
i znów jesteśmy w Olsztynie.
Miasto, aczkolwiek bez słowa,
snuje opowieść o zimie.

Na żywo trwa właśnie pokaz,
czym jest mróz, śnieg, śnieżna zamieć:
rzadkie dziś święto dla oka.
Coś z niego czerpie też pamięć:

o sankach w podmiejskim lesie,
łyżwach na lodzie jeziora...
Działo się to przed półwiekiem
z okładem, a jakby wczoraj...

Spuścizna

Solidny stos makulatury
zostanie tutaj po mnie... Który
– da Bóg – przynajmniej jedno drzewo
zdoła ocalić przed siekierą...

Czterowiersz piekielny

Długo żyłem złudzeniem, myśląc w ten sposób:

Piekło to inni; innych dotyczy osób;

że choć tym razem mounsiieur Sartre nie był w błędzie...

Aż się okazało, że jest w nas i wszędzie...

Arkadia

Och, to wręcz niebiański

balsam dla duszy:

patrzeć na morze,

na płonący ogień,

na padający powoli śnieg...

Jeśli jakimś cudem znajdziemy się w raju,

nad cichą morską zamieszkamy zatoką.

Zimą tam często prószyć będzie śnieg, a wieczory

będziemy spędzać przy kominku...

Zły maj

Rodzice... Ich śmierć tak przedwczesna i nagła

w odstępie czterech (najgorszych dotąd) lat...

Rozkwitu czas? A mnie znienacka dopadła

wieść, że się chyba kończyć zaczął mój świat...

Grób nieznanego poety

Pomimo iż słowa zawsze były mu bliskie
i drogie, to przyszłość słówkiem o nim nie piśnie,
jak również historia... Zatem, drodzy przechodnie,
módlcie się za niego... Lżej mu będzie w tym grobie.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Widnoksiąż (13)

2022

Na studiach polonistycznych przeczytałem bujne, stylizowane na „ludowe” wiersze Emila Zegadłowicza (1888–1941) bez większych emocji, natomiast edukacyjno-erotyczną „duszną” powieść *Zmory* jak najbardziej (świetnie sfilmowaną przez Wojciecha Marczewskiego w 1979). Zresztą zawsze pasjonowały mnie opowieści edukacyjno-rozwojowo-biograficzne, jak przykładowo Balzaca *Stracone złudzenia*, *Szkoła uczuć* Flauberta czy ulubiony *Portret artysty z czasów młodości* Joyce’a. Teraz po latach przeczytałem w końcu dwutomową powieść *Motory* z 1938 roku (reedycja 1981), którą z powodu „obrazy uczuć” patriotycznych i moralnych skonfiskowano decyzją sądu w Krakowie (podobno autorowi udało się większość nakładu rozesłać po literatach). Mocna rzecz i teraz, chociaż momentami szalenie i pretensjonalnie przegadana w stylizacjach młodopolsko-ekspresjonizujących, osobiście w opisie stanów uniesień seksualno-wizyjno-wyznawczych. Niektóre natomiast wyjątkowe sceny, jak ta relacjonująca aborcję (chyba pierwsza taka relacja w literaturze polskiej?), pozostają w pamięci na długo, jak również kilka innych, w których realizm (a nawet naturalizm) osiąga dynamikę egzystencjalnej przypowieści o kondycji historycznego człowieka. Świetne są poszczególne z podtekstem ideowym, najczęściej karykaturalno-groteskowe, prezentacje zbiorowe, na przykład parada wojsk w Wiedniu czy (rozpoznawalne i wzięte z biografii autora) portrety urzędników ministerstwa kultury II RP...

Rzecz nie dzieje się chronologicznie, bohater – literat Cyprian Fałn (prawie Faun) leży w szpitalu i wspomina swoje karkołomne pod względem emocjonalnym i intelektualnym życie poświęcone pisaniu oraz silnie z tym wynikającymi (złączonymi) ekstatycznymi stanami miłosnymi (dziewięć muz i dziewięć kochanek). Nic dziwnego, albowiem: „Do sztuki nie wolno podchodzić bez zainteresowanych

jąder. Zrozumienie sztuki, a może wszelkie zrozumienie, ukryte jest w komórkach żołądka i *klitoris*; to są anteny”.

Fizyczne sceny miłosne, a ich nie brakuje, opisywane są w sposób naturalistyczny, detaliczny („wyuzdanie” i wcale nie tak jednoznacznie pornograficznie i kiczowato, jak uznano oficjalnie), tak że zaryzykowałbym tezę, że i w II RP, i w PRL-u wykraczały poza normę państwowotwórczej i katolickiej „przyzwoitości”. Powieść cechuje silna dawka satyry społecznej, a nawet karykatury narodowej (wad narodowych), jeśli chodzi o prezentację poszczególnych osób oraz warstw społecznych (była szlachta, mieszczaństwo w Galicji, literaci w okresie przed i po pierwszej wojnie światowej). Ze względu na obsesje seksualne – a są one poparte licznymi i obszernymi wywodami filozoficzno-poetyckimi (kobieta i poeta należą do porządku przyrody, a reszta to dodatki; sztuka „to kształt płci”; spełnienia płciowe i poetyckie należą do tego samego wtajemniczenia biologiczno-metafizycznego, z tym wywodem chętnie bym się zgodził, ale starczej energii nie starcza) – zwichrowaną formalnie i emocjonalnie powieść tę można usytuować na linii wychodzącej od Przybyszewskiego przez Witkacego do Żegadłowicza właśnie.

Z drugiej strony, doceniając wykwyty analizy społecznej i wielokrotne portrety ludzi odrodzonej Polski, utwór ten z pewnością można podrzucić w okolice krytycznej (ekspresjonistycznej) twórczości wczesnego Kadena-Bandrowskiego (*Generał Barcz*). Sporo mówi się o znakomitej poezji dwudziestolecia, ale warto przypominać bogatą twórczość prozatorską tamtych lat (lata dwudzieste różnią się od lat trzydziestych zdecydowanie), i to nie wyłącznie Nałkowskiej, Iwaszkiewicza, Gombrowicza czy Schulza.

W utworze pojawiają się poza tym wątki automatyczne, rozważania o „pisanii” (wcale tak łatwo mi się nie pisze), że wszystko jest autobiografią, „względnie przerzutem autobiograficznym”, że autentyzm wykracza poza realizm i nie realizm... w ukazywaniu „motorowości” afirmacji i negacji płciowości jako mechanizmu dziejów...

Podczas lektury tej, rzeczywiście nieco męczącej, a momentami całkiem intensywnej i wijącej się zakamarkami stylistycznej euforii powieści, myślałem o klamrze ideowej dwudziestolecia, którą rozpoczyna *Przedwiośnie* Żeromskiego (utrata nadziei na ludową przebudowę ojczyzny), a zamyka wyraźne przesłanie *Motorów*: bohater, literat i wyznawca panseksualizmu (typu antycznego: żywioły miłości i nienawiści w nieustającym konflikcie twórczym), ginie na barykadach (prawie że)

rewolucji społecznej. Rzeczywistym odniesieniem dla takiego (nieoczekiwanego poniekąd) zakończenia – Zegadłowicz tym samym przeszedł na stronę antyfaszystowskiej radykalnej lewicy – były antyrządowe i krwawo stłumione protesty robotnicze we Lwowie w latach trzydziestych. Pisarz przeniósł realia z Polski do Hiszpanii, co osłabiło, moim zdaniem, ideową wymowę tego (chyba niedocenionego i nieobecnego) utworu.

*

Lektura reportażu Pauliny Siegień *Miasto bajka. Wiele historii Kaliningradu* przypominała moje i nasze (Wspólnoty Kulturowej „Borussia” w Olsztynie, rok założenia 1990) liczne, a często i owocne, kontakty z Kaliningradem i obwodem kaliningradzkim w latach dziewięćdziesiątych minionego stulecia i na początku pierwszej dekady obecnego. Oczywiście, autorka (rocznik 1986) opisuje swoje późniejsze przygody i kontakty z tym rosyjskim miastem, leżącym sto kilometrów od Olsztyna na terytorium byłych (na szczęście!) Prus Wschodnich (z Kaliningradem, Königsbergiem, Królewcem). Sięga po odległą historię, po czasy drugiej wojny, po okres powojenny, ale głównie portretuje współczesny Kaliningrad, rozmawiając z jego mieszkańcami, rejestrując przemiany urbanistyczne i przede wszystkim metamorfozy postrzegania przez władzę i mieszkańców zwielokrotnionej tożsamości: po drugiej wojnie światowej była to zamknięta strefa ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami, następnie specyficzna strefa osiedlenia (głównie dla wojska, marynarki, służby morskiej), a po 1990 (raczej w planach idealistów) europejsko-niemiecko-rosyjska enklawa (nie tylko handlowa), osobliwa rosyjska republika jako przyczółek Europy, a w końcu na nowo zmilitaryzowana i zamknięta strefa.

Dobrze i zajmująco napisana książka, której przesłaniem jest opinia, że Kaliningrad – w odróżnieniu od na przykład pobliskiego Gdańska – nie przeszedł „tubylczej” odnowy, przemiany, wybicia się na nową tożsamość: Gdańsk był i stał się (nawet jako wielokulturowy) miejscem ojczystym dla powojennych mieszkańców, którzy nie tylko „przywrócili mu jego historię, ale napisali w nim zupełnie nową, swoją Historię Stoczni Gdańskiej, Solidarności...”. Właśnie. Sam o tym pisałem w licznych esejach o naszej tożsamości na Warmii i Mazurach. Kaliningrad gubi się w pytaniach o przeszłość (zresztą najczęściej, moim zdaniem, albo fałszywie postawionych, albo z góry skazanych na brak odpowiedzi), „bo ucieka od niezbyt satysfakcjonującej teraźniejszości” (to powiedziane jest naprawdę oględnie!).

Moje i nasze wielokrotne rozmowy z literatami kaliningradzkimi – Siegień przytacza zaledwie jednego tamtejszego, do czasu zresztą, autora Jurija Bujdę i jego doskonałą, przełożoną na język polski, książkę *Pruska narzeczona* – skończyły się, kiedy dobry znajomy i dobry pisarz Oleg Głuszkin wyznał: Od kiedy Putin jest prezydentem, jest porządek... Oni wszyscy, a byli to ówczesi demokraci i zwolennicy otwarcia (szczególnie na Niemcy), czekali na dobrego cara z Moskwy, sami bali się podjąć coś „większego” na własną odpowiedzialność. Dotyczyło to tym bardziej jakiegokolwiek tamtejszej władzy na każdym szczeblu. Ukaz szedł z góry! I koniec marzeń gaspała!

Przepisuję tutaj z mojego dziennika pierwsze spotkanie z artystami z Kaliningradu, którym zrobiliśmy wystawę w Olsztynie w lutym 1991 roku.

„W małej galerii BWA zorganizowaliśmy wystawę *Kaliningrad=Königsberg?* rosyjskim artystom plastynom z Kaliningradu, Igorowi Szelepowowi oraz Włodzimierzowi Uljanowowi. Urodzili się w centralnej Rosji, po studiach przyjechali do Kaliningradu, od niedawna (jak pozwolono?) poczuli się rosyjskimi Niemcami, pomimo iż są etnicznymi Rosjanami (!). Rysują zniszczony przez ich rodaków pruskowschodni Königsberg, doszukują się w ruinach i nielicznych zachowanych budynkach śladów kultury niemieckiej, która ich fascynuje. Nie znają pełnej historii Ziemi Pruskiej, nic nie wiedzą o Prusach Polskich (Królewskich), Warmii i Mazurach, dla nich wszystko to poniemieckie i godne podziwu. Chcą być depozytariuszami tego dziedzictwa, które kompletnie zniszczyli albo i nadal niszczą powojenni gospodarze tej podzielonej ziemi na rozkaz osobisty Stalina. I u nas sporo opuszczonych albo i zniszczonych cmentarzy ewangelickich, pałaców junkrów wschodniopruskich (za którymi nie przepadam, jak i za naszymi kresowymi możnowładcami), ale większość tych pięknych budowli rodzinnych padła łupem zwycięskiej i rozszalałej Armii Czerwonej. Nie można ulegać schizofrenii postsowieckich Hunów, którzy nagle obudzili się wykorzenieni, wydziedziczeni i na zdobytej, nieszanowanej, obcej ziemi na gwałt próbują stworzyć pokaleczony, skłamany – neoficki – mit Ziemi Obiecanej, która w ich smutnym obwodzie bardziej przypomina biblijną Krainę Nod (tytuł tomu wierszy Erwina Kruka). Ale jakoś ich rozumiem, chociaż nam jest łatwiej jako polskim Borussom, nowym Warmiakom, Mazurom, Polakom odnaleźć się w tej regionalno-historycznej realności. Może dlatego że polskie związki z tymi ziemiami są równie długie w czasie, podobnie pojemne w znaki

i fakty, jak związki niemieckie, których źródłem jest zaproszenie przez Konrada Mazowieckiego na początku XIII stulecia zakonu krzyżackiego w celu zorganizowania wyprawy krzyżowej na pogańskich Prusów.

Chodziliśmy po mieście, pokazywałem im miasto, nasze zachowane zabytki, opowiadałem nie tylko o Ostpreussen czy poniemieckich kamienicach, lecz o polskiej Warmii, o biskupach, Koperniku, zaborach, mniejszości polskiej. Podziwiali wszystko, dziwiąc się, że nic u nas nie jest zniszczone, wyburzone, że czujemy się w pełni u siebie jako polskie pokolenie. Wydaje mi się, że ich »neofityzm niemiecki« jest raczej uczciwy, a nie wykalkulowany (Rosjanie są albo strasznie nacjonalistyczni, bez względu na opcje ideologiczne, albo, co rzadsze, ulegają ślepej fascynacji zachodnim, najczęściej niemieckim, stylem życia i potęgą państwa, co często już zdarzało się w historii Rosji i w konsekwencji naszej). Degradacja cywilizacyjna ich radzieckiego państwa, nałożona na degradację materialnej i duchowej substancji wrogiego im dziedzictwa w obwodzie kaliningradzkim, spowodowała odruch wymiotny, odruch odrzucenia i poszukiwania innego, lepszego kontekstu kulturowo-cywilizacyjnego dla ich pragnienia wzmocnienia nie tyle etniczno-regionalnej tożsamości rosyjsko-kaliningradzkiej, ile mitycznego dziedzictwa »prusko-niemieckiego«, a więc zmyślnie preparowanego stosownie do chwili i miejsca oraz zapewne woluntarystycznego. Po 1990 roku Niemcy zaczęli kulturowo i finansowo podporządkowywać sobie zdezorientowanych »bałtyckich« Rosjan, swoich pogromców i niszczycieli ich dziedzictwa.

Nasza historycznie tu zakotwiczona wschodniopruskość i w ogóle ponieemieckość powojennych ziem też jest oczywista, chociaż w PRL-u – co zrozumiałe – była zakrywana i traktowana w utylitarnym i ideologicznym kontekście »powrotu do Macierzy« za pomocą propagandowych i skłamanych wycieczek w umowną (ale nie do końca fałszywą!) przeszłość »piastowsko-polską«. Jednak nasze związki z tym wschodnio-pomorskim regionem są i historyczne, i kulturowe, nie wspominając o tym, że kiedyś całe Prusy były (zaprzepaszczonym jak to u nas) lennem Korony.

Musimy Rosjanom z Kaliningradu (co za nazwa! my mamy piękny Królewiec, w którym w połowie XVI stulecia drukowano więcej polskich książek niż w Krakowie!) skutecznie przedstawiać korzystne sposoby i umiejętności zakorzeniania się w zde-wastowanej krainie; musimy stać się dla nich pomostem między Kaliningradem

a Polską, aby nie ulegli szybkim nowym mitologiom »rosyjsko-niemieckiej przyjaźni i współpracy« ze szkodą, jak zwykle, dla naszego bezpieczeństwa w Europie.

Uwaga: Uljanow to rodowe nazwisko Włodzimierza Uljanowa Lenina. A jak wiadomo, to Niemcy cesarskie pomogły Leninowi rozpętać rewolucję bolszewicką w nadziei, że przerwie wojnę na froncie wschodnim. Co się stało”.

W czerwcu tego pamiętnego dla nas Borussian roku pojechaliśmy po raz pierwszy w pięciodniową wyprawę po obwodzie kaliningradzkim. Całym autokarem. Historycy, literaci, miłośnicy stron rodzinnych. W wielu miejscach (miasteczkach) przenieśliśmy się w czasy powojenne: nadrealizm scen, wedut, wydarzeń mieszał się z filmem grozy: festiwal ruin. Wracaliśmy do prowincjonalnej Polski północnej jak do eldorado. Ale bez resentymentów, chociaż ze smutkiem, że my byśmy nasz Królewiec odbudowali i pokochali. To nie było obce miejsce w obcej Europie.

STEFAN CHWIN

Dziennik 2023 (4)

Środa, godzina 12.23. Bić słabszego

W dzieciństwie dowiedziałem się, że Jezus zawsze stawał po stronie słabszych i własnoręcznie wypędził kupców ze świątyni, waląc ich batem.

...więc pewnego dnia – było to chyba w piątej klasie – postanowiłem stanąć po stronie słabszych. Na lekcji religii, na którą chodziliśmy do sali katechetycznej w kościele na Przymorzu, siedziałem w trzecim rzędzie. Przede mną, w drugim rzędzie, siedzieli trzech chłopaków, silnych, wysokich. Po chwili usłyszałem, jak namawiają się między sobą, żeby – gdy lekcja się skończy – pobić rudego chłopca, który siedział obok mnie. Chłopca lubiłem, był łagodny, piegowaty, właściwie fajny, tylko głowę miał jak rudy płomień. Tak go Pan Bóg urządził, że mu ta głowa płonęła między naszymi głowami rdzawoognistym wykwitem, wybuchem rudości żarliwej, nastroszonej, niepodobnej do naszych głów. Ta ruda głowa zawsze była na widoku, nigdzie nie mogła się schować. I oni z powodu tej rudej głowy postanowili go zbić.

Potem lekcja religii się skończyła. Wyszliśmy z kościoła. Dzień był szary, mżysty, bezwietrzny. I kiedy oni ruszyli w jego stronę, kiedy podbiegli do nas, kiedy już mieli go skopać, zstąpił na mnie święty ogień. O, pamiętam dobrze to dobre, święte uniesienie. Rzuciłem się na nich z pięściami. Waliłem na oślep, broniąc przestraszonego, rudego chłopca, który krył się za moimi plecami. Dziwna moc we mnie wstąpiła. Byli silniejsi ode mnie, wyżsi, mocniej zbudowani, ale pod młyńcem moich pięści cofali się jak Kara Mustafa spod Wiednia, Napoleon spod Moskwy i Budionny spod Warszawy. Z nosa najsilniejszego pociekła krew, przelałem więc krew bliźniego swego w obronie bliźniego swego. I czułem, że Jezus jest po mojej stronie. O, kiedy tak młyńcem wymierzałem ciosy, kiedy tak smagałem ich pięściami, przy prawym uchu słyszałem świst Jego bicia zrobionego ze sznurków, którym wypędzał kupców ze świątyni, a przy lewym smoliste ciepło ogniostego miecza, którym przed wiekami archanioł wypędzał Adama i Ewę z rajskiego

ogrodu. Tak, czułem, że Jezus jest po mojej stronie, tak jak po mojej stronie był sam Archanioł Michał.

I wtedy obok nas wyrósł jak spod ziemi wikary Stanisław, z którym mieliśmy lekcję religii. Otwartą dłoń uderzył mnie w tył głowy, aż się zachwiałem. – To tak? Bić chcesz słabszych? – wykrzykiwał, cały czerwony od świętego gniewu na okrągłej, wygolonej twarzy – Jak ci nie wstyd. I to jeszcze po lekcji religii! Po tym, co wam mówiłem dzisiaj o Panu Jezusie? – wykręcił mi ucho palcami zimnymi jak lód. – Na słabszych się rwiesz z pięścią? Hańba i wstyd! Kto cię tego nauczył? Powiedz, żeby matka przyszła jutro na plebanię. Niech się dowie, jakiego syna się doczekała! Wstyd! Po prostu wstyd!

Potem na cały wieczór zostałem zamknięty na klucz w sali katechetycznej. Siedząc na twardej ławce, w zeszytzie do religii stalówką maczaną w atramencie musiałem pisać sto razy: „Nie będę bić słabszych. Nie będę bić słabszych. Nie będę bić słabszych”.

A morał z tej opowieści? Dobry Boże, a jakież to, moi kochani, może być morał z tej opowieści?

Czwartek, godzina 23.02. Jezus z biczem w ręku

Wczoraj w Internecie przeczytaliśmy, że do Gdańska ma przyjechać sam Zygmunt Bauman. Dzisiaj wybraliśmy się na wykład sławnego profesora. Byliśmy ciekawi, co będzie, bo słyszeliśmy, że różnie go przyjmowano w różnych miastach. Na uniwersytet dojechaliśmy przed trzynastą.

Wchodzimy, uniwersytecka aula, studenci, doktoranci, adiunkci, tłum, gęsto, duszno, gorąco, rozglądamy się, patrzę i aż mrużę oczy ze zdumienia, bo w trzecim rzędzie krzeseł, z przodu, przed nami, widzę, między studentami siedzi... Jezus. Po prostu, On sam, Jezus we własnej osobie, siedzi między dziewczyną z kolczykiem w nosie ostrzyżoną na punka i jakąś długowłosą blondyną w sukience z indyjskiej bawełny. Żadnej tam nie ma długiej brody, włosów spadających na ramiona czy białej szaty, jak go zwykle malują na obrazach. Ale to On, czujemy, że to On na pewno. On sam we własnej osobie do naszego Gdańska zawitał, chociaż nikt oprócz nas go nie rozpoznaje. W skórzaney kurtce, w czarnym tiszercie z jakimś angielskim napisem na piersiach, krótko ostrzyżone blond włosy, jasny, puszysty zarost na policzkach, w czarnych dżinsach siedzi w trzecim rzędzie przed nami, rozgląda się po sali.

Potem sala milknie, na podium wchodzi powolutku profesor Bauman, siwiuteńki, mięciusieńki, garniturokowo odprasowany, falistowłosy, łagodnie uśmiechnięty, z teczuszką skórzaną w rękę. Siada uprzejmie za stołem prezydialnym, teczuszkę otwiera, zaczyna na blacie rozkładać papiery, kartka po kartce, ołówek po ołówku. Witają go oklaski. Oczywiście wszyscy dobrze wiedzą, że siwy profesor Bauman żadnym aniołem nie jest, niejedną ponurą sprawkę ma na sumieniu, ale teraz ludzie po prostu przyszli na uniwersytet, ciekawi, co ma aktualnie do powiedzenia na temat świata były stalinista i sławny socjolog i czy warto tego wysłuchać.

Aż tu nagle drzwi do auli rozwierają się z trzaskiem, tupot, podniesione głosy, przepychanka, krzyk. K. chwytą mnie mocno za łokieć. Patrzę, a na salę wdzierają się banda młodzieńców z szalikami białoczerwonymi, z tatuażami na rękach i szyjach, łby sinawe, ogolone do skóry. I krzyczą ze wszystkich sił do siwego Zygmunta Baumana, aż powietrze w uniwersyteckiej auli dygoce: – Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę!!! – A potem ta hałaśliwa banda, zajmuje miejsce z tyłu auli, w wysokich, ostatnich rzędach i na stojąco, z chorągwią polską powiewającą jak skrzydło orła białego, otwarcie nawołuje do masowego zabijania: – A na drzewach zamiast liści, będą wisieć komuniści! – Tak sobie krzyczą ogoleni młodzieńcy do siwego profesora Baumana. A na szyjach niektórych błyszczą krzyżyki święte z Panem Jezusem oraz medaliki z Matką Częstochowską.

Patriotyczni młodzieńcy pewnie mają rację moralną, bo siwy profesor w swoim życiorysie ma nie jedną ciemną kartę, ale – ja bardzo przepraszam – oni nam teraz po prostu przeszkadzają w wysłuchaniu wykładu! K. tylko kręci głową. W końcu przyjechaliśmy na uniwersytet z Moreny, poświęciliśmy na to sporo czasu, ładny kawał drogi, właśnie po to, żeby dowiedzieć się, co były „krwawy komunista” i sławny dzisiaj uczony z angielskiego uniwersytetu ma do powiedzenia na temat świata, w końcu mamy prawo tego wysłuchać, Polska to wolny kraj, nawet jeśli się kompletnie z profesorem Baumanem nie zgadzamy. Oni jednak wyją, tupią, grożą, machają pięściami, machają chorągwią, przeklinają dalej na całego.

Patrzę na Jezusa, co siedzi przede mną w trzecim rzędzie i myślę sobie: – Co On teraz zrobi? Jak postąpi w tej trudnej dla nas sytuacji? Jak się zachowa?

W końcu Mojżesz jednym uderzeniem swojej laski otworzył morze przed ludem wybranym, więc teraz pewnie Jezus mógłby śladem Mojżesza wyciągnąć w stronę

wrzeszczących, ogolonych młodzieńców swoją boską dłoń, kiwnąć małym palcem, a pustynny wichur wywiałby ich wszystkich za okno.

– Więc co On teraz robi? Jak się zachowa w obliczu bieżących zdarzeń? – pytam siebie, wpatrując się w Niego.

A oni krzyczą, wyją, pięściami wymachują, kołyszają flagami. Więc może On za chwilę wstanie? Coś do nich powie? Coś będzie się starał im wytłumaczyć? Do czegoś przekonać? O coś poprosi? Czegoś zażąda? Lecz oni wyją jeszcze głośniejsze: – Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę... – więc Jego słowa – jeśli je za chwilę wypowie – utoną w tym wrzasku jak kamień rzucony w ciemną wodę?

Bo przecież – nagle przypominam sobie – On kiedyś w dalekim mieście Jerozolima chwycił w garść bat i walił na odlew po karkach i plecach handlujących kupców, wypędzając ich z jerozolimskiej świątyni, więc teraz z wyjątkami młodzieńcami, mógłby przecież zrobić to samo? Machnąć parę razy batem, żeby zniknęli?

Na iluż to sławnych, europejskich obrazach widzieliśmy taką scenę! Iluż to europejskich malarzy ją malowało! Na fresku Giotto di Bondone Jezus grozi kupcowi zaciśniętą pięścią. Na drzeworycie Albrechta Dürera grubym powrozem bije przewróconego na ziemię człowieka w kupieckim stroju. Na obrazie Jacopo Bassano grozi biczem ludziom uciekającym w przerażeniu ze świątyni. Na obrazie El Greco smaga biczem przerażonych ludzi w kupieckich strojach, także przerażone kobiety. Na poliptyku augustiańskim Mikołaja Haberschracka bije biczem ludzi siedzących przy stole, szarpiąc jednego za ramię. Na rycinie Gustawa Doré z rozmachem bije grubym sznurem po głowach ludzi, którzy zasłaniają twarze rękami. A na samym *Sądzie ostatecznym* wielkiego Hansa Memlinga po prawej ręce ma gałązkę lilii, symbol świętej łagodności, a po lewej, prosty, długi miecz, cały czerwony od krwi.

Jezus z mieczem czerwonym od krwi? Jezus, który zaciśniętą pięścią bije bliźniego swego po głowie? Który smaga ludzi batem? Od dzieciństwa nie mogłem w to uwierzyć. Przecież Jezus – przekonywała mnie Matka – nigdy nikogo nie uderzył, bo absolutnie wyrzekał się wszelkiej przemocy! Przecież mówił: „Jak uderzą cię w jeden policzek, nadstaw w pokorze drugi”. Jezus i przemoc to były rzeczy absolutnie nie do pogodzenia!

Tak myślałem dość długo, aż tu tymczasem w którąś majową niedzielę – dobrze to pamiętam – podczas mszy usłyszałem z ambony słowa Ewangelii świętego Jana (2, 13 – 15), które wprawiły mnie w zdumienie. „Wówczas sporządziwszy sobie bicz

ze sznurków, powypędział wszystkich ze świątyni [...], porozrzucił monety bankierów, a stoły powywracał". Więc Jezus naprawdę robił takie rzeczy? Najpierw własnoręcznie pospłatał bicz ze sznurków? Własnoręcznie? A potem porozrzucił ludziom pieniądze? I jeszcze na dodatek powywracał im stoły? Jezus wywracający stoły? Nie, to niemożliwe! To jakaś niedorzeczność! Przecież moja Matka zawsze mnie uczyła: – Jak nie wiesz, jak się zachować, zawsze naśladowaj Jezusa, bo on jest wzorem do naśladowania dla wszystkich chrześcijan. – Więc powinienem teraz, w uniwersyteckiej sali, naśladować... takiego Jezusa? Właśnie takiego? Właśnie teraz?

Niestety, nie ruszyłem się z miejsca. A oni wyli dalej.

Piątek, godzina 19.07. Parę minut po dwunastej w południe
dowiedziałem się...

Przez całe lata przed zaśnięciem modliłem się, żeby to był zawal. Przykładałem policzek do chłodnej poduszki, zamykałem oczy, wstrzymywałem oddech, a potem w zupełnej ciemności wypowiadałem szeptem skromne życzenie. Chciałem stąd zniknąć w jednej chwili, bez zbędnej szpitalnej czy domowej mordęgi. Krótki błysk bólu – i po wszystkim. Najlepiej – idziesz ulicą, potykasz się, przewracasz się na płyty chodnika i już. Jakby ktoś jednym dmuchnięciem zgasił płomień świecy.

Ale właśnie dowiedziałem się, że to nie będzie zawal.

O, nie! To będzie coś dużo bardziej smacznego.

Nie rozumiem, dlaczego Pan B. mi to robi. Przecież mógł mnie obdarować krótkim jak błysk atakiem serca, żeby wszystko skończyło się w jednej chwili. Cóż Mu to szkodzi? A jednak, choć mógł, nie zechciał wysłuchać moich prośb, które co wieczór wyszeptywałem w poduszkę.

Chce mnie skrzywdzić w sposób bardziej interesujący? Żeby, umierając, męczył się jak dżdżownica nabita na igłę? Długo. Powoli. Z dodatkowymi atrakcjami, których – jak mówi moje nierozsądne serce – mam pełne prawo uniknąć?

Wtorek, godzina 14.23. Dusza wolicjonalna

Właśnie dowiedzieliśmy się, jak umierał Jacek Kaczmarski w szpitalu na Zaspie. Z wszystkimi zachwycającymi szczegółami, od których mrowie nam przeszło po plecach. Nie widzę żadnego powodu, żeby się męczyć tak jak on.

- Żyję tylko dlatego, że ty chcesz, żebym ja żył – powiedziałem dzisiaj do K.
- To ja żyję tylko dlatego, że ty chcesz, żebym ja żyła – odpowiedziała mi K.

Środa, 24.03. Gdańskość

Chociaż uchodzę za tak zwanego prawdziwego gdańszczanina, nie posiadam żadnych cech, które w jednej chwili pozwalają mnie jako gdańszczanina rozpoznać. – Ach, to pan jest z Gdańska! – Nigdy nikt w mojej obecności takich słów do mnie nie wypowiedział. Kiedy jestem za granicą, ludzie biorą mnie czasem za Irlandczyka. W hotelach na Zachodzie recepcjoniści zwracają się do mnie po angielsku, ale kiedy na niemieckiej Wyspie Uznam w hotelu odezwałem się po angielsku, recepcjonistki powitały mnie szczeropolskim uśmiechem: – Ach, dzień dobry panu! – Wszystkie były Polkami i swego wyczuły natychmiast. Widać jest we mnie coś nieuleczalnie polskiego, czego obcy nie potrafią wyczuć, a co swojacy wypatrzą od razu.

Jeśli zaś chodzi o moją gdańską tożsamość, wygląda na to, że nie jest ona tak oczywista, jak bym tego chciał. Prawdziwa tożsamość jest bowiem widzialna i słyszalna. Wileńskość mojego ojca, który do Gdańska przyjechał w 1945 roku, była słyszalna natychmiast. Podobnie jak kaszubskość wielu gdańszczan z czasów mojego dzieciństwa. Ale to już zupełna przeszłość. Dzisiaj można chodzić po ulicach Gdańska godzinami i nie usłyszeć nawet jednego słowa po kaszubsku, cóż zaś mówić o wileńskim czy lwowskim zaciąganiu. Mam na uniwersytecie studentki Kaszubki, ale o tym, że są Kaszubkami, dowiaduję się, gdy mi o tym powiedzą. Na zajęciach są nieodróżnialne. Mówią polszczyzną ogólną, czyli anonimową. Czasem ubierają się w stroje kaszubskie, ale tylko na godzinę, dwie, po czym od razu wskakują w legginsy. Ich kaszubskość jest odświętna, ozdobna, folklorystyczna, to znaczy chwilowa.

Tymczasem prawdziwa tożsamość jest codzienna. Objawia się na przykład w języku, jakim mówi się na ulicach. Wilno miało swoją polszczyznę codzienną. Lwów miał swoją polszczyznę codzienną. Warszawa miała swoją polszczyznę codzienną. Gdańsk nie ma swojej polszczyzny codziennej. Po gadaniu gdańszczanina nie rozpoznasz. Po stroju i stylu bycia też nie. Kiedyś po Gdańsku chodzili mężczyźni w granatowych, rybackich, sukiennych kurtkach i czarnych czapkach z daszkiem. Mówiono na nich „gdański bówka”. Dzisiaj ludzie na ulicach Gdańska wyglądają tak samo jak na ulicach innych polskich miast. Wszyscy ubierają się mniej więcej

podobnie i mówią podobnie, tylko niedawno jakiś gdańszczanin na gdańskiej ulicy zwrócił się do mnie stanowczo: – U nas w Polsce, proszę pana, nie chodzi się w kapeluszu! – Tak oto zostałem skarcony za noszenie kapelusza przez tożsamość lokalną, która chociaż sama nie jest zbyt wyraźna, chętnie karci przechodniów za tożsamościową niesubordynację.

Od wielu lat dziennikarze mnie proszą, bym im powiedział, co to jest gdańskość. Ale co to jest gdańskość – na przykład moja? Chodzi z pewnością bardziej o stan ducha, niż o zewnętrzną czy język. Tożsamość to jest to, co nas odróżnia od innych i to, co nas do innych upodabnia. Tożsamość rodzi się w nas, gdy mówimy: – My to my, a wy to wy. – Ale czym ja się właściwie różnię od ludzi z Bydgoszczy, Olsztyna, Krakowa czy Warszawy, z którymi rozmawiam? Żadnej swojej odrębności wobec nich nie czuję i oni też nie uważają mnie za obcego. Mówię tak samo jak oni, bo żaden lokalny akcent gdański nie istnieje.

Warszawskość mojej matki, która do Gdańska przyjechała w 1945 roku, była w oczy. Moja matka mówiła wspaniałą polszczyzną międzywojennej, warszawskiej inteligencji, miała w sercu kult powstania warszawskiego, w którym uczestniczyła jako sanitariuszka AK i wyniośle lekceważyła wszystkich, którzy nie są z Warszawy. Ja chwilami przyłapuję się na nieskromnym lekceważeniu tych wszystkich, którzy nie są z Gdańska. Jestem dumny, że jestem stąd, sam nie wiem dlaczego, ale pewnie dlatego, że to miejsce daje mocny rozpęd mojej wyobraźni. Ale dlaczego daje, nie wiem. Wszystkie racjonalne wyjaśnienia wydają mi się podejrzane. Jedno jest pewne. Gdybym tutaj nie mieszkał, nigdy nie napisałbym tego, co napisałem.

Coś jest w tym miejscu takiego, że nie chciałbym go zamienić na żadne inne. Ale to coś – tajemnicze i trudno uchwytnie – dzisiaj zanika. Dla mnie to była alchemia mojego dzieciństwa, dziwna fermentująca mieszanka polskości, kresowości i protestancko-pruskiej poniemieckości ze słodko-gorzkim dodatkiem pomorskiego stalinizmu, bo niestety odbudowany po wojnie „stary Gdańsk”, który dzisiaj raduje nasze oczy, powstał w latach 1945–1955, a więc w mrokach najczarniejszej stalinowskiej nocy. Jest więc poniekąd ironicznym prezentem Stalina, bo bez jego przyzwolenia by nie powstał. Na wielu „starych kamieniczkach”, których codzienny widok umacnia moją gdańską tożsamość, wciąż zresztą widać ślady socrealizmu.

Samo pojęcie „poniemieckość”, które miało spore znaczenie dla duchowej biografii mojego pokolenia, jest zupełnie obce nie tylko moim znajomym z Warszawy,

lecz młodym ludziom, którzy dzisiaj żyją w Gdańsku. Niemcy zaś nie wiedzą, jak je przetłumaczyć na niemiecki. Ale niedawno pewien polityk narodowo-konserwatywny powiedział do mnie podczas balu na Politechnice Gdańskiej, że najwyższy czas, by oczyścić Gdańsk z tej wielobarwnej alchemii, która tak mnie zachwycała i niepokoiła w latach dzieciństwa i młodości.

Należę do pokolenia gdańszczan, które już odchodzi. My mamy tożsamość pa-limpsestową. Patrząc na miasto dzisiejsze, widzimy miasto, którego już nie ma albo nawet, którego nigdy nie było. Nie wiem, jaka jest tożsamość gdańszczan dzisiejszych. Może jest to anonimowa tożsamość Polaka masowego w wersji gdańskiej, który cieszy się widokiem współczesnego Gdańska, kompletnie nie znając jego historii, bo go ona zupełnie nie obchodzi. Zresztą lepiej powstrzymać od uogólnień, bo ludzie są różni. Fundamentem mojej gdańskiej tożsamości było powojenne miasto, ruiny pruskich gmachów i willowo-secesyjne przedmieścia w bawarskim stylu, pomorsko-gotyckie kościoły z barokowo-polskim wystrojem, dawne protestanckie zbory, stalinowskie, nowiutkie jak spod igły „stare Miasto”, wstające na moich oczach z ruin, potem Grudzień 70 i Sierpień 80. Ale u młodszych tego nie widzę. W gdańskim sercu dzisiaj nie płonie żywy mit Sierpnia, tak jak żywy mit powstania warszawskiego płonie w sercu wielu warszawiaków.

Ale dzisiaj ważniejsze wydaje mi się co innego. Żeby gdańska tożsamość – dzisiejsza i jutrzejsza – chciała być jasna, otwarta, nie zaś mroczna i autorytarna. To jest dzisiaj ważniejsze niż cokolwiek. A reszta? Z całą resztą jakoś to będzie.

Środa, godzina 12.56. Kto kogo?

Któregoś dnia – byliśmy wtedy z K. na bankiecie w sopockim klubie tenisowym – były polityk izraelski z łagodną ironią powiedział do mnie w związku z moją pochwałą myśli wahającej się i rozważającej różne racje, jaką uroczyste wygłosiłem na gdańskim Aeropagu. – Wie pan, kiedy byłem profesorem na uniwersytecie w Tel Awiwie tak jak pan, rozważałem różne racje. Ale kiedy zostałem szefem Knesetu, zrozumiałem jedno: Nieważne, kto ma rację, ważne kto kogo.

Znaczyło to: – Nieważne, czy mamy rację, wypędzając Palestyńczyków z miejsc, które zajmowali. Ważne, że nie dajemy się im zabić, bo oni chcą nas zabić, by wrócić na miejsce, które my dzisiaj zajmujemy. Oni chcą nas zepchnąć do Morza Śródziemnego. Unicestwić. Zadeptać. Nie możemy do tego dopuścić. To jest istota

sprawy. – A pan? – kontynuował mój rozmówca. – Jak pan myśli, czy Niemcy wypędzeni po wojnie przez Polaków z Gdańska, albo ich dzieci czy wnuki, powinni mieć prawo wrócić do Gdańska i zająć domy, które dzisiaj zajmujecie wy, Polacy?

Słowa mojego rozmówcy znaczyły także: – Jeśli dzisiaj siedzicie sobie spokojnie w Gdańsku, to tylko dlatego, że Rosja zabiła pięć milionów Niemców, którzy tu mieszkali, a wy ich resztę stąd wypędziliście. I kompletnie nieważne, czy mieliście rację, ich wypędzając, czy nie, czy to było sprawiedliwe, czy nie. Ważne, że dzięki temu masowemu zabójstwu i wypędzeniu żyjecie. I możecie tutaj, w Gdańsku, sobie przyjemnie siedzieć. Bo na świecie nieważne, kto ma rację, ważne, kto kogo...

Czy świat rzeczywiście opiera się na zasadzie „Nieważne, kto ma rację, ważne kto kogo” nie mamy, rzecz jasna, żadnej pewności. Jeśli się jednak opiera na takiej zasadzie, to o czym i do kogo masz pisać, pisarzu? Kiedy mamy czasy spokojne, możemy się bawić w czułe rozważanie, kto ma rację, kto jej nie ma, ale kiedy życie mówi twardo: Kto chce przeżyć, musi zabić tego, który chce zabić jego? Może więc w czasach niespokojnych należy pisać szlachetne protesty przeciwko samej nikczemnej zasadzie, na której opiera się świat? Demaskować tych, którzy się tą zasadą kierują, spisując ich czyny i rozmowy? Albo przekonywać siebie samego i swoich czytelników, że świat na szczęście wcale się nie opiera na nikczemnej zasadzie „nieważne, kto ma rację, ważne kto ile ma czołgów”? I przekonywać o miłości bliźniego, tolerancji i wspólnocie ludzi, którzy wiedzą, że jeśli nie zabiją, to zginą?

Ale czy jest uczciwe pisać antywojenne powieści dla mężczyzn, którzy są wysyłani na front, gdzie, aby przeżyć, muszą zabić, albowiem nieważne kto ma rację, ważne kto kogo? Pisać o miłości bliźniego dla kogoś, kto musi zabić wrogiego żołnierza, który do niego strzela?

Piękną jest rzeczą pacyfizm oraz gładzenie o czułości, dialogu i porozumieniu, ale czy może być coś bardziej bezsensownego niż śmierć pacyfisty, napelnionego dialogiem, dobrem i pięknem, którego zmobilizowano i wysłano na front, żeby tam zabijał, by przeżyć? Czy uczciwe jest wzywać do miłości bliźniego, tolerancji i wspólnoty, jeśli miłość bliźniego osłabia pewność ręki, kiedy trzeba zabić, żeby przeżyć?

Czy nie jest więc uczciwsze, pisarzu, wprawiać ludzi w stan plemiennej hipnozy, albowiem nie ma bardziej sensotwórczego uczucia niż plemienna hipnoza? Bo kto umiera w stanie plemiennej hipnozy, ma głębokie poczucie sensu swojego istnienia i sensu swojego umierania? Plemienna hipnoza w chwili śmierci obdarza wielką mocą

ducha. Czyż nie lepiej umierać, czując w sobie wielką moc ducha, niż w pacyfistycznej rozpaczce zupełnego bezsensu własnej śmierci konać na dnie okopu pełnego błota?

Więc czy pisarz, uczciwy pisarz, nie powinien rozjrzeć w sercach hipnozę plemiennej solidarności, która jest rewersem świętej miłości kochanej Ojczyzny jako wszechogarniająca miłość bliźniego swego? Czyż nie robili właśnie tego wszyscy najwięksi poeci polscy? Albowiem w stanie plemiennej hipnozy *dulce et decorum est pro Patria mori*? Jakże to książki brali do plecaka legionieści Piłsudskiego, którzy mieli umrzeć za dziesięć dni? Biblię i *Króla Ducha*, jedne z najbardziej nietolerancyjnych dzieł świata. W spokojnych czasach pisarz może sobie pozwolić na wyważanie racji, ale w czasach, kiedy trzeba stanąć w obliczu śmierci, bo nieważne kto ma rację, ważne kto kogo i trzeba zabić, żeby przeżyć? Czy takie czasy już nadeszły? Czy już nadchodzą? Czy raczej powinniśmy uspokajać samych siebie i wszystkich dokoła, że nie należy przesadzać, że wszystko będzie okej, że wszystko rozejdzie się po kościach i już wkrótce będziemy mogli zanurzyć się w czułości, wspólnocie, tolerancji i miłości bliźniego po same uszy?

Sobota, godzina 4.45. Powitanie

Na spotkaniu autorskim profesora Limona w sopockiej bibliotece, podchodzi do nas pani w eleganckiej sukience i różowym sweterku, z radosnym uśmiechem wyciągając ku nam ręce: – Jakże ja się cieszę, że państwo jeszcze żyją!

Piątek, godzina 23.43. Czy Jezus umarł na krzyżu?

Dzisiaj w prywatnym mieszkaniu naszych znajomych w Sopocie wieczorna rozmowa o Misterium Paschalnym – transmitowana bezpośrednio w II Programie Polskiego Radia. Dom nadmorski – stara, poniemiecka kamienica – parę kroków od plaży, za szybami płatanina gałęzi, drzewa czarne, w ciemnościach niewidoczne morze, sopockie moło, rzędy światła, noc bez gwiazd.

Siedzimy przy długim, dębowym stole w wielkiej, oszklonej werandzie na pierwszym piętrze. Arcybiskup Gocłowski, ksiądz Niedałowski – duszpasterz gdańskich środowisk twórczych, dziennikarka warszawska Baszka M. i ja. Skąd się tu wziąłem? Czy aby nie dlatego, że jakiś czas temu ukazała się *Panna Ferbelin*? Kiedy Baszka M. zadaje mi pytania, odpowiadam ostrożnie, zważając na każde słowo, jakbym stą-

pał po polu minowym. Ja, tutaj? Przy tym biskupim stole? Z moją teologią pytań, która nie wszystkim smakuje?

Rozmowa biegnie znanym do bólu, eklezyjalnym torem, żadnych zaskoczeń, wiadome słowa, wiadome opinie. Okrąglutka, wielkopiątkowa, uroczysta gadanina. I nagle, kiedy tak słucham gładkich, okrągłych fraz, które są wygłaszane z niewzruszonym, teologicznym spokojem, mówię:

– Niedawno po moich zajęciach na uniwersytecie, na których dyskutowaliśmy o tym, jak wygląda obraz Jezusa Zmartwychwstałego w poezji Leśmiana, podszedł do mnie jeden ze studentów. To, co powiedział, dobrze pokazuje, jakie trudności mają dzisiaj młodzi ludzie, czytając Ewangelię. „Śmierć Jezusa? – zapytał. – Ale czy to była rzeczywista śmierć? Bo przecież Jezus, gdy umierał na krzyżu, jako Bóg Wszechwiedzący doskonale znał swoją przyszłość co do jednej sekundy, prawda? Umierając, miał zupełną pewność, że obudzi się dokładnie za siedemdziesiąt dwie godziny, wstanie z grobu i pójdzie sobie do Nieba. Więc cóż to była za śmierć, gdy ktoś doskonale wie, że umiera tylko na siedemdziesiąt dwie godziny a ma na dodatek stuprocentową pewność, że po tych siedemdziesięciu dwóch godzinach obudzi się, wstanie z grobu żywy, zdrowy, mocny i pójdzie sobie z ziemskiego padołu do swojego wygodnego Nieba?

I to miała być prawdziwa śmierć? To tylko nasza, ludzka śmierć jest śmiercią prawdziwą. Bo my, kiedy umieramy, zupełnie nie mamy pojęcia, co się z nami po śmierci stanie. Nawet ci, którzy mocno wierzą w życie po śmierci, boją się jej strasliwie. Bo nie wiemy, co nas tam czeka. Coś czy Nic. Ale Jezus? Przecież On, kiedy umierał na krzyżu, nie miał żadnego powodu, żeby się śmierci bać, bo przecież doskonale wiedział, co się z nim stanie. Umierał więc w zupełnej boskiej, spokojnej pewności, że właściwie umiera tylko na chwilę, poleży sobie w grobie przez siedemdziesiąt dwie godziny, potem obudzi się, wyjdzie z grobu i swoim żywym ciałem wróci do swojego Nieba. Czy śmierć, której towarzyszy stuprocentowa pewność obudzenia się za siedemdziesiąt dwie godziny, może zostać nazwana prawdziwą śmiercią?

Arcybiskup Gocłowski mówi na to dość kwaśno, ale uprzejmie, splatając białe palce na sutannie: – Bardzo inteligentny ten pana student, ale on zupełnie nie rozumie głębi tajemnicy paschalnej.

Kiedy jednak po naszej rozmowie radiowej, zakładamy płaszcze w przedpokoju, szykując się do wyjścia, podchodzi do mnie ksiądz Niedałowski: – Wie pan, to, o czym mówił ten pana student, jest z teologicznego punktu widzenia bardzo ciekawe. Będę musiał poruszyć ten temat na najbliższym kazaniu u Świętego Jana.

Ksiądz Niedałowski ma doktorat, arcybiskup Gocłowski też ma doktorat. Dwie mocne, teologiczne głowy...

Niestety, w kościele Świętego Jana na niedzielnym kazaniu, w którym ksiądz Niedałowski mówił – jak zapowiedział – o tajemnicy czasowego wymiaru śmierci Jezusa, nie byliśmy. Mieliśmy wtedy spotkanie autorskie w Warszawie. Znajomi powiedzieli nam jednak, że z teologicznym problemem, z którym nie mógł sobie poradzić mój student, ksiądz Niedałowski poradził sobie bez żadnego trudu.

– Czas – powiedział z amfony do wiernych w kościele Świętego Jana – w którym istnieje Bóg, nie jest naszym ludzkim czasem, który mierzą nasze ziemskie zegary. To tylko z naszej ograniczonej, ludzkiej perspektywy Bóg leżał w grobie przez siedemdziesiąt dwie godziny. Bo czas, w którym bytuje Bóg, nie zna godzin, nocy i dni. Ten czas jest czasem absolutnym. I zupełnie nie daje się zmierzyć wedle naszych ludzkich miar. To właśnie w takim czasie absolutnym umierał Jezus na krzyżu, a nie w czasie naszych ludzkich minut i godzin. W tym sensie Jego śmierć nie trwała siedemdziesiąt dwie godziny, jak może ktoś wnioskować z Ewangelii, tylko była śmiercią ostateczną, nawet jeśli wedle naszych ludzkich miar trwała tylko trzy krótkie dni...

– Pięć – myślę sobie, kiedy K. powtarza mi słowa, które ksiądz Niedałowski wypowiedział w kościele Świętego Jana. – Tylko czy takie tłumaczenie rzeczywiście rozjaśnia tajemnicę czasowego wymiaru śmierci Jezusa? Czy raczej jest sprytnym doktorsko-teologicznym wykrętem, który ma uzgodnić niepokojące pytanie z aktualną doktryną Kościoła? Bo przecież cały ten wywód księdza N. zupełnie nie rusza sprawy spokojnej, boskiej pewności umierającego na krzyżu Jezusa, który – jako Bóg wszechwiedzący – nawet przez jedną chwilę nie wątpił, że po trzydniowej śmierci na sto procent obudzi się żywy i cały, gotów do triumfalnego wstępu do nieba... Umierał na krzyżu pewny na sto procent, że się obudzi pojutrze...

I czy w ogóle możliwa jest uczciwa teologia, to znaczy taka, która nie byłaby w swojej istocie zawsze wieczną, zacieklą, sprytną obroną interesów Kościoła przed „niesłusznymi, niebezpiecznymi poglądami”?

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Komora (8)

Coś, co byłoby niemożliwe. Jak to sprawdzić?

Łóżko, stół, krzesło i lampa.

Małe i wielkie wydarzenia, małe i wielkie spełnienia. Małe i wielkie oczekiwania.

Czy może być uczeń nie naśladowca? Przynajmniej do czasu.

W Nim zespolone jest wszystko.

Więzy śmierci i pęta otchłani.

Wystawiony na próbę.

W sercu dobre i złe myśli. I ja, w tych przeciwieństwach.

Siedzący na komorze. I w drodze. W konkretnym czasie i miejscu. Wezwanie, powołanie i odpowiedź. Stare treści i nowa forma, nawrócenie.

Ciało i duch, i wir sprzeczności.

Wspinanie się i schodzenie w dół, jak na drabinie.

On, moja ucieczka i twierdza.

Iść naprzód oznacza zmianę, ruch, rzeczy stare i nowe.

Rodzaje i sposoby mówienia.

Dobre plony i chwasty zasiane przez Złego.

Promieniowanie, wewnętrzne i zewnętrzne.

Działa w wydarzeniach i przez nie.

To, co mało ważne, mniej ważne, ważne i najważniejsze.

Obłok na zewnątrz i chwała, w środku.

Na krańcu. Posłuszny głosowi, w końcu posłuszny. Jak w płomieniach, w ogniu. Białe jak światło. Widząc niezwykły blask. Na tym pustkowiu, osobno, ale nie sam, z kosztami pełnymi ułomków. Stary i nowy, stwarzany przez dobre uczynki, z ziarnem do zasiewu. Zapierający się samego siebie, naśladowający.

Poznający i przyglądający się, uczestnik, dający świadectwo.

Czy buduje na mocnym fundamencie i skale? Trwale i solidnie?

Mówi: Wyjdź. I wychodzę. W tę ciszę, w to nic, zasłonięty, osłoniiony i odsłonięty, na dobre i złe.

Głosy w duchu, w głowie, w sumieniu i w sercu.

Strach, zguba i ratunek.

Jak to mknie i przenika, nawet najmocniejsze zawory.

W ziemiozwężeniu. I wniebowzięciu. W drewnianej skrzyni. W tej topieli. Jak w łonie.

On chce być blisko mnie, jak najbliżej. Ale czy ja chcę być blisko?

Samemu nigdy się nie zwycięży. Nie w pojedynkę.

To, czego doświadczamy i to jak reagujemy.

Przybliżyć się i słuchać, mówi głos.

Słowa, które przemieniają głowę i serce.

Baalam i jego ludzie. Pokazują ich w kółko, na miliardach ekranów.

To jest ich dziedzictwo i przeznaczenie?

Gdzie ich rozsądek? Nie słuchają napomnień?

Natura i duch. Ekologia ziemi, wód, powietrza i ekologia ducha, to całość.

Mówi: Ulituj się nade mną. Ale on nie odzywa się ani jednym słowem.

Tylko okruchy. I cud.

Zmieszałem się z nimi, tak, ale nie czczę ich bałwanów i nie wpadam w ich pułapki, bo nawet jeśli tak się stanie, to wychodzę z nich. Splamiony, ale pełen wstrętu i zbuntowany.

Jeżeli chcesz coś mieć, to musisz to dostać i musisz to wziąć.

Jeżeli chcesz być doskonały, to wszystkiego musisz się wyżyć.

Siedziałeś kiedyś pod terebintem?

Czekałeś cierpliwie czy może się zniechęciłeś?

Czynny jesteś czy beczynny? Nigdy nie jest za późno.

Miasto z drogocennych kamieni. W świetle i przejrzystości. Z murami, bramami i aniołami. Opasane liczbami i znakami. Na fundamencie. Nazwane drogą – tor.

Idź i zobacz. Sprawdź. Czy doświadczysz?

W zwykłych niezwykłych dniach. Sercem, duszą i umysłem, ciałem i duchem. W czułości i w mocy.

Rozważając we wnętrzu świątyni.

Obchodząc mury dokoła i licząc wieże.

Pod białym, szarym i niebieskim niebem.

Ja i nie ja. Nie sam. On.

Gdy otworzy, nikt nie zamknie, gdy zamknie, nikt nie otworzy.

Tak jest.

Wbity jak kołek na miejscu pewnym.

Wysłuchujący i przyjmujący.

Z Niego, przez Niego i dla Niego.

I Opoka, która jest wyznaczona.

Dla pomocy i oparcia.

W Duchu. Od bożków, różnych bogusiów do Niego. Z nową pieśnią. Ktoś inny. Już nie głupi i ślepy, wiedzący co jest ważniejsze.

Błogosławieństwa i ich przeciwieństwa. Jednym łaska, drugim biada, tak jak zaśleżyli.

Ze słów do nich skierowanych.

Twierdza warowna, kolumna żelazna i mur ze spiżu albo ruina i rozpad.

Moc przeciw Złu i moce Złego.

Od narodzin. Bramy otwarte na oścież. Jak ściany jego domu. Na wyciągnięcie ramienia. I to, co jest w nich. Znane i widziane, na skraju Otchłani.

To, co na zewnątrz i to, co w głębi serca.

Maski zasłaniające twarz, rany i zabliznienia.

Obracanie się w proch i nasycanie, ciemność, noc i świat, wsparcie.

Czuwanie, czujność i lekceważenie.

W oczekiwaniu na spotkanie.

W bliskości.

Wskrzyszanie.

Końcówka lata, ostatni dzień pobytu, spacer w stronę Dębek. Przed Wejściem 31, pień drzewa pod wydrami. Siedzenie na nim, wpatrywanie się w horyzont, w niebo i w dal. Białe obłoki, słońce, cichy szum, lekki, delikatny wietrzyk.

I nagle potrzeba modlitwy, jak całun, łaska. I jak w natchnieniu, modlitwa, nie do zapamiętania, jak poryw i lot w przestworze, na tym twardym, chropowatym pniu, bez oparcia, z podkurczonymi nogami, poza sobą, do światła.

Nie wiem, ile to trwało, nie potrafię powtórzyć ani jednego słowa, nastroju, toku, aury, niczego. Oderwanie i zespolenie. Sam i z kimś, i jakby w kimś, w tym locie, w blaskach, w liniach promieni, w ich pędzie, patrząc przed siebie.

I taka lekkość, poczucie pełni, oderwania i zespolenia, w jedności.

Myśl, że powinien być jakiś znak, jakby tego było mało, za mało, niewystarczająco.

I od razu w niebo i z lewej strony, nad wydrami i zachodzącym słońcem, dwie skrzyżowane na skos świetne smugi i nad nimi tęcza. Niebieski, zielony, żółty i czerwony stopione z sobą i skierowane do góry.

Szum morza, krąg ziemi i pustka.

Radość i ten, który nadchodzi.

Znieważany i wyśmiewany, w słowie, jak ogień, nie do stłumienia.

Przemienianie się, przez odnawianie umysłu.

Pomoce i zawady.

Bez wymazywania siebie może być tylko rujnowanie się. Widziałem to i widzę, w różnych wariantach.

I ci, którzy wymazują siebie, porwani w powietrze, na obłoki, w świetle. Zachęcający się i budujący, czekający i mężni, chłonący słowa i czynni.

Betlejem, 9 kilometrów od Jerozolimy.

Współdziałanie, na wzór, przeznaczeni i powołani, usprawiedliwieni.

Wspomożeni, podtrzymani i wierni, żyjący i ostrzegający przed złą drogą. To nic, że wiele razy na próżno.

Być w Nim, po to się trudzić i walczyć, jego mocą.

Naznaczony swoim imieniem, które znaczy to, co znaczy.

Wyzuty z dawnego siebie i przemieniający się w nowego, coraz dalej i coraz głębiej, na obraz i podobieństwo.

W warowni na skale, w Jego duchu.

Wychodzę, widzę i idę z nim.

Nie nadymanie się, dociekania i słowne utarczki, bo wtedy tylko paczenie się i wchodzenie na mieliznę.

Proste wskazanie, jasny cel i walka. Reszta w najlepszym razie jest nieporozumieniem.

Nie o to chodzi, żeby urządzić się dobrze, a skończyć marnie.

Ożywieni światłem, którego nigdy nie widzieli, ani nie mogą zobaczyć. Zatrzymujący słowa i wydający owoce. Patrzący i nie widzący, patrzący i widzący, słuchający i nie rozumiejący, słuchający i rozumiejący, w świetle.

Trzymający się blisko. Zbliżający się jak najbliżej, dopóki jest to możliwe. Nie idący w złą stronę mimo, że nie zawsze rozumiejący.

Ja i nie ja z nim, do Niego.

Nigdy sam.

Najęty.

W ostatniej godzinie.

Aby mogło się spełnić.

W duchu, w drodze.

Dobrowolnie. Słuchając i wypełniając. Upokarzany i podnoszony. Odbudowujący ruiny.

Widzę jak sieją i jaki mają plon, i tak do pory, do czasu. Widzę jak budują i jak idzie to w gruzy, w których hula zły duch.

Nie chcę być oskarżycielem innych, chcę być ich sługą. Ale czy oni chcą? Oby. Nawet gdybym miał śpiewać tylko wobec aniołów. Czy tylko?

Wiem, że zobaczę jeszcze więcej niż to.

Przemierzając Miasto. I radując się, w dziękczynieniu.

Nie wystarczy słuchać głosu, ale trzeba być mu posłusznym.

I być dobrej myśli, to jest sztuka.

Gdy piszesz, to rób dziesięć razy tyle, ile zamierzyłeś.

Niekiedy trzy małe kroki są ważniejsze niż sto wielkich, mogą być decydujące. Trzy, a nawet jeden, sto, a nawet tysiąc.

To, co możemy uczynić zależy od tego, kogo spotykamy.

Więc dobrze! Opowiem wam to do końca, cokolwiek się zdarzy.

Nie po to schodzi się w głąb, żeby spać.

Po urodzeniu: wyrzucony na brzeg.

Idzie ją ratować, a tak jak ona potrzebuje pomocy.

Czy dotrze do niej? I czy ona dotrze do niego?

Po raz drugi. Wstaje i idzie.

Na próżno czy nie na próżno?

Zejdzie w dół, czy będzie udawać, że jest na piedestale?

Jeżeli zasłuży na litość, to ją dostanie.

Oburzenie. Ale czy słuszne?

Sen: coś dostaje i to coś zostaje mu zabrane.

Czy nie lepiej, żeby troje doświadczyło dobra niż jeden?

To, że coś dostał, nie jest lepsze od tego, co dostają inni, szczególnie ci słabsi i zagubieni.

Jego próśby nie są lepsze od próśb innych, tak jak jego pokusy nie są inne od ich pokus.

Dobro i zło to dwie strony medalu. Każdy doświadcza jednego i drugiego.

Idziemy do Doliny, już w niej jesteśmy. Z tym, który umacnia lub z tym, który osłabia. Na rozstajnych drogach, z jednym albo z drugim, mocą jednego lub siłą drugiego. Z wiarą lub bez wiary, z łaską lub bez łaski.

Moc, wzmocnienie przychodzą z zewnątrz i działają w środku.

Bóg jest jeden dla każdego z nas, tak wiele zależy od nas, od każdego.

Ci, którzy nie wchodzą i przeszkadzają wchodzić innym.

Tak wszystko zagmatwali, że dla wielu niemożliwa jest orientacja.

Wiele dostałeś, nie ciesz się, tyle samo musisz oddać.

Tak jak jest życie wieczne, tak też jest wieczna śmierć.

Nie chcesz służyć Bogu, służysz złu, nie ma trzeciej możliwości.

Nie chcesz być drzewem zasadzonym nad wodą? Chcesz być plewą, którą i tak i tak rozmiecie wiatr?

Dlatego musi być rozłam, jeden przeciw drugiemu. Dwóch dobrych nie może być przeciw sobie.

W każdym mieszka dobro i zło, ważne jest to, co się czyni. Trwa walka i trzeba być po dobrej stronie.

Nie raz zło nazywa siebie dobrą stroną.

Nie raz robi się to, czego nie chce się robić i szkodzi się sobie i innym, trzeba umieć schodzić z tej drogi, mieć tyle roztropności, odwagi i sił.

Prosić o światło, a gdy ono jest, próbować stawać się nim.

Codziennie jesteśmy wystawieni na próbę.

W niemocy ducha błagając choć o odrobinę mocy. Wcielając w siebie jego słowa, formę i ton, żeby wcielić się w jego dzieło, pozwalając wejść jemu do środka i do swojej istoty.

Zaczęło się od ziarna, wyrosło drzewo i mogę siedzieć pod nim, a ptaki podniebne gnieźdzą się w jego gałęziach.

Można powtarzać się w niewłaściwy sposób. I powtarzać się w sposób właściwy.

Trzymając się głównych tematów.

Jakie one są?

Czy nie samotność, miłość i śmierć?

LESZEK SZARUGA

Świat, w którym żyłem

26.

Klucz od przepaści. Zawsze fascynowały mnie słowa Objawienia Jana:

Potem ujrzałem anioła zstępującego z nieba,
który miał klucz od Przepaści
i wielki łańcuch w ręce.
Pochwycił on Smoka,
tego węża starodawnego,
którym jest diabeł i szatan,
i związał go na tysiąc lat.
Strącił go do Przepaści
i zamknął, i pieczęć nad nim umieścił,
tak że już nie będzie zwodził narodów
aż tysiąc lat się dopełni.
A potem ma być na krótki czas uwolniony.

Zawsze też byłem ciekaw, w jakim pejzażu, w jakich „okolicznościach przyrody” objawiona została Janowi wizja apokalipsy, przedsięwziąłem zatem podróż na Patmos, gdzie dotarłem do groty stanowiącej schronienie świętego i miejsce gdzie doznał on objawienia, a która po dzień dzisiejszy służy jako czynna – lecz chyba tylko w niedziele – świątynia prawosławna. Było to akurat tysiąc dziewięćset lat po tym, gdy Jana w roku 95 tutaj, w ten sielski, spokojny krajobraz zesłano. Był wrzesień, słońce piekło, morze było spokojne. Cisza – od czasu do czasu przecinana brzękiem skuterów stanowiących tu bodaj najbardziej popularny środek lokomocji. Powolne, niemal leniwe życie, spowolniony bieg czasu.

*

Symbolika klucza ma głęboką i nobliwą tradycję od biblijnej poczynając (klucz Dawida) po takie praktyki, jak przekazywanie kluczy od miast, a zatem przekazywanie nad nimi władzy, po odnajdywanie kluczy do szyfrów czy odczytywania ukrytych znaczeń. Klucz od przepaści w objawieniu Jana oznacza zapanowanie nad Złem, które wszakże zostanie po „tysiącu lat” (nie należy chyba tego odczytywać dosłownie, chodzi raczej o bardzo długi, daleko wybiegający poza doświadczenie jednego życia okres) uwolnione „na krótki czas” (co też nie musi przecież trwać, z punktu widzenia egzystencji człowieka, krótko – może to być nawet coś, co określamy mianem epoki).

Intryguje mnie sama Przepaść – czym jest w tych wersetach ta przestrzeń, którą zamyka się i otwiera? Czy jest tożsama z Szeolem, który tłumacze Biblii oddają przez hades, tanatos, kłoałę, śmierć, piekło, wreszcie otchłań. Być może zatem Przepaść (cytowany fragment przywołuję w tłumaczeniu zespołowym dokonanym „z języków oryginalnych” pod redakcją ks. Michała Petera i ks. Mariana Wolniewicza) jest czymś zupełnie odmiennym, zarezerwowanym dla Zła w stanie czystym, podczas gdy piekło czy otchłań to przestrzeń dla potępionych ludzi?

W *Słowniku teologii biblijnej*, którego redaktorem jest Xavier Leon-Dufour, hasło *Piekła–piekło* przedstawia ten stan rzeczy następująco: „Jezus Chrystus zstąpił do piekieł, potępiony zaś zstępuje do piekła – te dwa wyrażenia określają dwa różne czyny i zakładają dwie różne sytuacje. Bramy Piekielne, przez które zstępował Chrystus, otworzyły się same, by pozwolić wyjść pozostającym tam w więzach, tymczasem piekło, do którego zstąpił potępiony, zamyka się za nim na zawsze”. Samo hasło zostało w *Słowniku* sformułowane dość zmyślnie, gdyż buduje opozycję między „piekami” i „piekłem”, różnicując tym samym obszary działania – pierwszy (zstąpienie do piekieł) jest wyjęty z czasu, drugi zaś (zstąpienie do piekła – na zawsze) zachodzi w czasie i dotyczy wyłącznie „potępionych”, a zatem tych, którzy czynili za życia zło. Ich zatem uwolnienie z więzów – zdaniem autora – oznacza zapewne wydobywanie z czasowości, wprowadzenie w obszar bezczasu, a sprawić to mocen jest jedynie Zbawiciel.

W tym kontekście może należy pojmować Przepaść swego rodzaju dziwność, za sprawą której możliwe jest – „chwilowe” czy czasowe („na tysiąc lat”) – uwolnienie świata od zła („diabła i szatana”? Stanowi ona obszar, który można zamknąć („na tysiąc lat”) i otworzyć („na krótki czas”). Czasowość jest znikoma wobec wieczności, a tym samym i zło wydaje się wobec niej znikome, choć doświadczane w czasie jednostkowej egzystencji w obszarze bytowania ziemskiego może zdać się do-

minujące. Nasuwa się zatem pytanie o to, kto „na krótki czas” przechwytyje z rąk anielskich klucz od Przepaści i zło uwalnia.

*

Przy tym warta namysłu wydaje się kwestia dotycząca samego zła. Zagadnienie to stawia Barbara Skarga w eseju *Zło* stanowiącym rozdział *Kwintetu filozoficznego*: „Zło. Tyle już o nim napisano. Cała nasza literatura jest pełna rozważań na jego temat i to od biblijnych czasów. Pytano o to, czym jest, jak się przejawia, gdzie się rodzi, na czym polega nasze doświadczenie zła. Żadne z tych pytań nie przyniosło rozwiązania zagadki. Do dziś filozofia, choć nie mogła i nie może się pozbyć myśli o złu, dziwnie jest wobec niego bezsilna. Ciągłe powtarza słowa o złu radykalnym i o złu banalnym, ale żadne z tych określeń nie wydaje się wystarczające. Usiłuje coraz inaczej formułować pytania, by choć w przybliżeniu dotrzeć do tego, co dla zła istotne, lecz czy w ogóle takie przybliżenie jest możliwe?”

Zastanawiam się. Może należy rozpocząć od siebie... W eseju *Zło, które czynię* Jacek Kuroń napisał: „Uczyłem w swoim życiu wiele zła. Trochę z małej wiary, tchórzostwa, lenistwa, bezmyślności. Znacznie więcej jednak z mocnej wiary, odwagi, pracowitości, namysłu, troski. Czyniłem więc zło, działając z dobrą wiarą. Mówię tu nie tylko o swojej działalności w ZMP i PZPR w latach 1949–1953. [...] Niedługo minie 25 lat od mojego pierwszego rachunku sumienia w latach 1955 i 1956. Zaczynałem sobie uświadamiać całą zbrodniczość tej maszyny, w której jeszcze dwa lata przedtem z własnej woli byłem jednym z trybików. Czułem się bez miary winny i starałem się z tego poczucia wysnuć konsekwencje. Uznałem, że nie wolno rezygnować z wielkich idei, bo znaczyłoby to rezygnację z odpowiedzialności za skutki własnego działania. I uznałem, że nie wolno zrezygnować z przekształcania świata, bo znaczyłoby to akceptację całego zła świata”. W owym rachunku sumienia uderza dokonywane przez autora rozróżnienie między złem, którego źródłem jest on sam i tym, co określa mianem „całego zła świata”.

Użycie wielkiego kwantyfikatora w odniesieniu do zła wydaje się błędne – zło jest zindywidualizowane i tym samym winno być identyfikowane każdorazowo przez swe konkretne przejawy. W każdym też przypadku jest jednorazowe, a zatem niepowtarzalne. Nie wydaje się więc możliwe wskazanie jakiegoś wzorca czy matrycy zła, a także wskazania „zła świata” jako sumy zeł, choć być może uprawnione by było interpretowania „zła świata” jako wskazania jego niezbywalnej cechy, czyli uznanie, że dany nam

świat jako taki jest złem, że jest „padołem też”. W konsekwencji zaś należałoby przyjąć, że siedliskiem zła musi być człowiek, jak bowiem pisał Miłosz w wierszu *Unde malum*:

zniknie ze świata zło
kiedy zniknie świadomość

Ale dodawał też w puencie – nawiązując do wiersza Tadeusza Różewicza:

rzeczywiście panie Tadeuszu
zło (i dobro) bierze się z człowieka

I warto zauważyć, że zło i dobro traktuje tu Miłosz jako co prawda sprzęgnięte ze sobą stany, ale niekoniecznie ze sobą sprzeczne, podobnie zresztą jak się ma rzecz w odniesieniu do piękna i brzydoty. Brzydota nie jest przecież – czy niekoniecznie być musi – brakiem piękna, tak samo jak zło to niekoniecznie brak dobra.

*

W swych refleksjach na temat zła odwołuje się Skarga do poszukiwań Pseudo-Dionizego Areopagity powiadając, że „nie ze zła został powołany świat do bycia”. Pomijając kwestię „powołania” świata – za sprawą boskiego *fiat* – jego, a tym samym i nasze istnienie zdaje się w powszechnym odczuciu raczej dobrem niż złem. Jeśli zaś to odczucie jest sensowne, wówczas należałoby założyć, że zło, którego doświadczamy, jest owego dobra immanentną i niezbywalną częścią składową, co zdaje się być jakowymś *contradictio*. Sprzeczność tą znosi dopiero świadomość człowieka pozwalająca owo zło dostrzec w sobie i nazwać, a nawet upostaciować w figurze Smoka, „węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan”. Jeśli zaś tak jest, jeżeli więc zło jest wpisane w istotę ludzkiego (a czyż istnieje inny?) świata, to być może należy je traktować jako trwały i niezbędny impuls kierujący, za sprawą przeciwstawiania się jego dominacji, ku dobru.

Siłą rzeczy wracam tu do lektury Roberta Musila, który w *Dzienniku* – zeszyt 25 zanotował, poszukując formuły określającej to, co nazywa ulotnym i z natury swej nietrwałym „drugim stanem” – w dystansie wobec obowiązujących na co dzień prawideł etyki i moralności – refleksję pozwalającą zło uczynić „siłą napędową i zasadą porządkującą”. W podrozdziale tych notatek zapisywał:

IV. Próba znalezienia elastycznej moralności.

Literatura, esej, filozofia, historia jako pola działania.

Inna pozycja i wynikający z niej inny stosunek do pisarza, teatru itd. Absolutna opaczność obecnych stosunków. Teatr światowy.

Biurokrata w państwie, Kościele, socjalizmie: odwieczny wróg. Ale także personifikacja ludzkiej niemożności zachowywania się zawsze w sposób bezpośredni itd.

Trudno te notatki rozszyfrowywać – są zapewne skrótem obszernego zamierzenia, którego częstkowym rozwinięciem zdaje się być nieukończona niestety powieść (ale czy to powieść?) *Człowiek bez właściwości*. Określone przez autora „pola działania” – w istocie swej skupione na słowie jako środku wyrazu – pozwalają podejmować próby obezwładnienia czy neutralizacji wskazanego „wroga” poprzez odrzucenie dążeń do instytucjonalizacji wartości skutkującymi konstruowaniem absurdałnego Systemu opisanego choćby w *Procesie* Franza Kafki, współcześnie zaś skonkretyzowanego w prozie Herty Müller. Sprawą fundamentalną jest tu chyba przeciwstawienie instytucjonalizacji egzystencji żywiłowi istnienia. Pytaniem otwartym pozostaje jednak kwestia zakresu i charakteru pozyskiwanych wolności, a wreszcie i zagadnienie ich odporności na pokusy zła, jakie niezmiennie pojawiają się w ciężeniu do ustabilizowania wolnościowego ładu: zło ujarzmione i zapieczętowane nieuchronnie uwalnia się „na krótki czas”, dowodząc bezsilności szamotania się w więzach zinstytucjonalizowanego „porządku”. Prędzej czy później człowiek musi opuścić wyżyny „czarodziejskiej góry” i zejść, jak Hans Castorp schodzący w zakończeniu utworu Thomasa Manna w niziny okopów pierwszej wojny światowej żegnany przez narratora słowami: „Złe masz widoki na przyszłość, straszliwy tan, który cię porwał, potrwa jeszcze dobrych parę latek i nie założylibyśmy się, czy wyjdiesz z tego cało. Szczerze mówiąc, pozostawiamy beztrosko tą kwestię otwartą”.

Szczerze też mówiąc, po tej krótkiej przebieżce, której punktem wyjścia stała się próba lektury *Apokalipsy*, pozostają wciąż bez odpowiedzi na pytanie dla mnie najistotniejsze: czym jest Przepaść? Czy to po prostu czasoprzestrzeń ludzkiej egzystencji, czy może przeciwnie – bezczasowy obszar aksjologicznej pustki? W próbie odpowiedzi na tak sformułowane pytanie wolno odpowiedzieć, że w owym bezczasowym obszarze mamy do czynienia z zapowiedzią doraźności i tym samym dalekim od kosmicznego pojmowania życia poczuciem nieuchronności zła jako warunku określenia stanu.

ARTUR SZLOSAREK

Notatki do zapomnianych podróży (17)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

9 marca 2023 odbyło się w San Francisco prywatne spotkanie z czołowymi technologami i decydentami, mającymi możliwość realnego wpływu na przyszłość wielojęzycznych modeli sztucznej inteligencji. Gospodarzami tego rzeczowego, wolnego od patosu i wszelkich złudzeń spotkania w siedzibie Centre for Human Technology byli Tristan Harris i Aza Raskin – a z dokonaną przez nich wnikliwą prezentacją problematyki, nierozzerwalnie związanej z AI, można się było zapoznać z relacji, jaką centrum ogłosiło poprzez swój kanał informacyjny na platformie youtube, w niespełna miesiąc po wydarzeniu. Co ciekawe, prezentacja dotyczyła *aktualnego* stanu wiedzy na temat, a więc tej wiedzy, jaką mieliśmy do dyspozycji w czasie antycypującym uruchomienie ChatGPT-4, które to wydarzenie, dla niektórych porównywalne w ciężarze cywilizacyjnym i gatunkowym do spotkania na górze Synaj, odbyło się krótko po wzmiankowanej prezentacji, choć – wedle innych miar – wystarczająco dawno, by z czystym sumieniem i o nim zapomnieć. Jak zdążył nas pouczyć poza konkurencją rzecznik prasowy Mesjasza z Doliny Krzemowej, Yuval Noah Harari: „broń atomowa dla świata fizycznego jest tym, czym AI dla świata wirtualnego i symbolicznego”. W rzeczy samej. Nieubłaganie i nie inaczej – rok 2023, według referentów kalifornijskiego Centre for Human Technology, jest rokiem, w którym będziemy mieć do czynienia z radykalnym „zerwaniem z możliwościami weryfikacji wszelkich treści i danych”, co doprowadzi do „zdekodowania i zsyntetyzowania rzeczywistości”. Wedle Tristana Harrisa i Azy Raskina, naukowców w pełni świadomych niebezpieczeństw, wynikających z konkurencji pomiędzy firmami zajmującymi się AI, która *może* doprowadzić ludzkość na skraj przepaści, by rzecz spróbować ująć w języku tłącej się jeszcze w jego semantycznych tkankach nadziei, konieczna jest w chwili obecnej rzeczowa debata, bowiem możemy jeszcze „selektywnie spowolnić publiczne wdrażanie Gollema” – tej sztucznej inteligencji o tak potężnej mocy wykonawczo-sprawczej, która nie tyle jest w stanie zmieniać teksty w obrazy, iluzje

w aluzje, a nawet: paruzje w sekluzje, co ma – „możliwości, jakich nie posiadał jej programista”. I teraz: skoro więc pierwszy kontakt z AI, pod postacią superkomputerów i algorytmów, który nastąpił wiele lat temu, dawno mamy mentalnie za sobą, nie potrafiąc już bez jego konsekwencji żyć, to jakie konsekwencje, wedle prezenterów, będzie miał (nie mogąc ich nie mieć) kontakt drugi, AD 2023, owo cyfrowe Drugie Przyjście? Wymieńmy, jak wymienili i wyświetlili na tablicy uczeni, w punktach oraz bez komentarza: kolaps rzeczywistości, raz, permanentny brak autentyczności, dwa, implozja zaufania społecznego, trzy, kolaps systemów prawnych, cztery, cybernetyczne generowanie religii, pięć, eksponencyjny przyrost szantażów, sześć, broń cybernetyczna kontrolowana przez roboty, siedem, wykorzystywanie kodów przez humanoidy, osiem, automatyczny lobbing, dziewięć, automatyzm biologiczny, dziesięć, oszustwa wykładowe, jedenaście, kontrola bez ograniczeń, dwanaście, testowanie od A do Z, trzynaście, relacje o charakterze syntetycznym, czternaście, *Alpha Persuade*, czyli, jak wyjaśnia *webicon.eu* (podają w tłumaczeniu obcej inteligencji) – „zdolność do replikowania głosu osoby z pięciosekundowego nagrania oraz moc *AlphaGo*, sztucznej inteligencji opracowanej przez *Google*, która opanowała grę *Go*, symulując miliony gier w krótkim czasie. Symulując rozmowy z głosem ukochanej osoby, *Alpha Persuade* ma potencjał do tego, by przekonująco zmanipulować każdego do wykonania czynności i podjęcia działań, które zwykle uważa za wysoce nieprawdopodobne”, piętnaście. Nie mniej – i na pewno wykładowczo więcej.

Nasuwa się wniosek, że błędem było lekceważyć, bo była to szczególna odmiana ostrzeżenia i (w pewniej mierze również i:) „programowania predyktywnego”, dwóch pierwszych obrazów o *Terminatorze* z Arnoldem Schwarzeneggerem w roli tytułowej, *Minority Report* z Tomem Cruizem oraz *In Time* w reżyserii Andrew Niccola. Błędem też było nie zwracać uwagi na niepokojące smugi rozsiewane na niebie przez odrzutowce. Śmiać się w kułak na wieść, że William Gates wypuszcza na Florydzie genetycznie modyfikowane komary, bo te szwadrony egipskich insektów już teraz latają nam nad głowami, bo dostały się do naszego pokoju przez otwarte przez *Covid-19* okno możliwości, czego można się było dowiedzieć od Schwaba, bez odwoływania się do teorii spiskowych. *Homo sovieticus* Aleksandra Zinowiewa otwiera takie oto motto: „będziemy tak długo walczyć o pokój, aż nie pozostanie kamień na kamieniu”. Podobnie jest już i będzie z „czwartą rewolucją przemysłową”, do wdrożenia której potrzebna jest sztuczna inteligencja, ale nie

ona sama przecież: albowiem równolegle do dekarbonizacji potrzebna będzie nam dla naszego dobra „humanitarna depopulacja”, jak podpowiada Dennis Meadows, członek Klubu Rzymskiego i współautor *The Limits of Growth*. Zresztą, wniosków nasuwa się aż nazbyt wiele, jak choćby w związku z reakcją kanclerza Republiki Federalnej Niemiec, Olafa Scholza, a on podobno lubi posłuchać dobrego jazzu, na wygwizdujący go na wiecu przedwyborczym w Monachium tłum, 18 dnia sierpnia roku Drugiego Kontakt z AI, kiedy krzyczał: „jesteście upadłymi aniołami z piekła!”. Upadłymi? Aniołami? Z piekła?

Pytam się – skąd się biorą te wszędobylskie, tak nachalne aluzje do języka wywodzącego się z czarnej dziury spirytualnej niemoty?! Przysnęło się podczas podniesienia?! Skąd te rzesze golemów, mesjaszy, te wszystkie spotkania, przyjscia, zejścia, kawy na ławy, Tycho Brahe w niejednym wcieleniu, eksperymenty medyczne, rabbi Löw, całe UFO i zmiany pogody niemal na zamówienie, jak za dotknięciem różdżki? Wielebny Szabetaj Cewi (po polsku) w pierwszym rządzie logarytmów i osławiona *redemption through sin* w chirurgicznej masce na pół twarzy w tramwaju? I dlaczego ten Olaf miał potem w Bundestagu zakryte jak kapitan Jack Sparrow prawe oko – przewrócił się na joggingu, połknął kamień filozoficzny czy rytuał jakiś? Co wreszcie z tymi Rudolfami Steinerami, graffiti na ścianie Goetheanum w Dornach i demonem Filemonem? No co? Teleportowało ptaszka w locie?

Ale: uwaga, uwaga... Mam pomysł. Na wiersz. Z kluczem. Pod tytułem: *C a t a n i a* (albo śródziemnomorskie roślinki).

Basilicum.

Daphne Gnidum.

Dianthus Caryophyllus.

Olea Europea.

Origanum.

Ruscus Aculeatus.

Ettore Majorana.

Powtórzmy: zamknąć za sobą drzwi. W piątek, 25 marca 1938. Jak Ettore Majorana. Bezgłośnie. Przeczytać „Znaczenie praw statystyki w fizyce i naukach

o społeczeństwie". Koniecznie. Wyciągnąć wnioski. Powtórzmy: otworzyć w nocy za sobą drzwi na ten klucz. W przekładzie z włoskiego na niemiecki. Najlepiej na parowcu towarzystwa żeglugowego *Tirrenia*, który wypłynie o 22:30 z Neapolu do Palermo. Wtedy, zapewne, światło będzie najłżejsze. Ale mieszkać tutaj, nadal, w Niemczech, na tej ziemi. Bo bliżej rzeczywistości. Bo bliżej zła. Wymieniać na klatce schodowej ukłony i uprzejmości z oprawcą. Na wyciągnięcie ręki. Nie powtarzać: nie było mnie, był świat. Nie ma świata, jestem.

Kołując coraz to szerszą spiralą,
Sokół przestaje szukać sokolnika;
Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem,
Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół
Zatapiając obrzędy dawnej niewinności;
Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywczą moc.

Tak, objawienie jakieś się przybliża;
Tak, Drugie Przyjście chyba się przybliża.
Drugie Przyjście! Zaledwie wyrzekłem te słowa,
Ogromny obraz rodem ze *Spiritus Mundi*
Wzrok mój poraża: gdzieś w piaskach pustyni
Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie,
Z okiem jak słońce pustym, bezlitosnym,
Dźwiga powolne łapy, a wokoło krążą
Pustynnych piasków rozdrażnione cienie.
Znów zmrok zapada; lecz teraz już wiem,
Że dwadzieścia stuleci kamiennego snu
Rozkołysała w koszmar dziecinna kołębka –
I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,
Pełźnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?

W.B. Yeats, *Drugie Przyjście*, tłumaczył Stanisław Barańczak

Dopiero po wielu latach, jakie nastąpiły po lekturze Yeats. *The Man and the Masks* Richarda Ellmanna, zacząłem myśleć o poecie w pierwszym rzędzie jako o członku *Golden Dawn*. Później przestało mnie też zdumiewać, że Aleister Crowley, zakładający w rok po powstaniu *Drugiego Przyjścia* (1919) Opactwo Thelemy w Cefalù, udzielał się pilnie w tej samej reprezentacji. Nieodparta magia seksu – myślałem. *Demon est deus inversus*. Helena Petrovna Blavatsky w charakterze muzy nad pieśniami. Ale: czy wiesz jest lustrem na świat, w którym nadzieja nie widzi, że umiera?

Czy ktoś wie, gdzie się aktualnie znajduje czerwona jałówka?

Fot. Artur Szosarek



Kontemplacyjne księgi mądrości

Od kilku miesięcy czytam niespiesznie dwie książki, a choć nadeszła jesień, o lekturze nie da się powiedzieć w czasie przeszłym; wciąż nie przyzwala na to ich złożona zawartość. Ukazały się w tym roku. Pierwsza to *Suttanipāta. Zbiór nauk buddyzmu pierwotnego*, druga nosi tytuł *Dhammapada, czyli strofy o Dhammie*. Obie przełożył z języka palijskiego Ireneusz Kania, opatrzył przedmowami, komentarzami i przypisami.

Zainteresowanie źródłowymi i najstarszymi tekstami buddyzmu w Polsce widoczne jest od początku XX wieku. Julian Adolf Świącicki, erudyta i znawca wówczas „egzotycznych” kultur, w czwartym tomie swej *Historii literatury powszechnej* (1902) zamieścił wykłady o literaturze indyjskiej, ilustrując je fragmentami własnych tłumaczeń; przypomina o tym Kania w przedmowie do *Suttanipāty*. Po dwóch dekadach (1925) wybitny indolog Stanisław Franciszek Michalski opublikował przekład *Dhammapady* z języka palijskiego i zatytułował *Ścieżka Prawdy. Podstawy moralności buddyjskiej*. Drugie wydanie autor, po wojnie profesor Uniwersytetu Łódzkiego, podał do druku w 1948 roku. Spolszczył również fragmenty *Upanisad* oraz *Hymny Rigwedy* (1971).

Polska „ścieżka prawdy” o buddyzmie została zatem wyznaczona przeszło sto lat temu; stopniowo pojawiły się na niej również roślinki niezbyt pożądane, co „musi prowadzić do istotnego zubożenia buddyzmu, do licznych nieporozumień i skrzywień perspektywy oglądu” (*Suttanipāta, Przedmowa*).

Tegoroczne fundamentalne tłumaczenia są – jak informuje autor – „następnym krokiem w realizacji zadania, jakie postawiłem sobie wiele lat temu; była nim popularyzacja najstarszego piśmiennictwa buddyjskiego w naszym kraju. Rozpocząłem w 1994 roku od publikacji przekładu klasycznego dzieła Hermanna Oldenberga pt. *Życie, nauczanie i wspólnota Buddy*”.

Pięć lat później Ireneusz Kania zapoczątkował publikację własnych przekładów Kanonu Palijskiego antologią fragmentów pod tytułem *Muttāvali. Księga wypisów starobuddyjskich*. Obie te książki wznawiano kilkakrotnie.

Przyswojona właśnie polszczyźnie *Suttanipāta* to zbiór „sutt”, buddyjskich nauk, swoistych „kazań”, zawierających pouczenia moralne, wskazówki filozoficzne formułowane w strofy mające postać refrenicznie powtarzających się sentencji. Jest ich ponad siedemdziesiąt, w niektórych umieszczono fragmenty narracyjne przybliżające słuchaczom genezę poszczególnych zagadnień lub dodające komentarz. Tytuły poszczególnych jednostek zbioru

uprzedzają o temacie, ujętym czasem pojęciowo – *Sutta o stracie*, *Sutta o życzliwości*, *Sutta o rozkoszach zmysłowych*, innym razem metaforycznie – *Sutta o wężu*, *Sutta o nosorożcu*. Są też przypowieści przytaczające nauki dawnych uczonych mnichów; ta grupa tekstów utrwała w tytułach ich imiona, zaś w treści przytacza nauki – *Sutta o Saripucie*, *Sutta o Dżatukannim et cetera*.

Refreniczną postać ma uważana za jedną z najstarszych inicjalna *Sutta o wężu*:

- 2 Ten bhikkhu, co z siebie bez
reszty namiętność wyrwał,
jak ze stawu lotosowy kwiat,
Porzuca światy górny i dolny,
jak wąż starą i zużytą
porzuca wylinę.
- 7 Ten bhikkhu, co rozproszoną
zebrał myśl i w sobie ją
pięknie uładził,
Porzuca świat górny i dolny, jak
wąż starą i zużytą
porzuca wylinę.

Z kolei do utworów wykładających nauki buddyjskie poprzez cytowanie starych mistrzów, należy między innymi *Sutta o składnej mowie*:

a powiedziawszy, Sugata, Nauczyciel, wyrzekł jeszcze słowa następujące:

- 451 „Podług zacnych, składna
mowa to rzecz najwyższa
i pierwsza;

Głoszenie Prawa, nie zaś nieprawości – druga;

Mowa przyjemna, nie zaś nie-miła – to trzecia;

Mowa prawdziwa, nie zaś fałszywa – czwarta”

Zbiór liczy ponad tysiąc sto strof metrycznie uporządkowanych i obrazowych. Przewijają się w nich zarówno utrwalone w sztuce i kulturze hinduskiej naturalne i zmitologizowane krajobrazy, zwierzęta, drzewa czy kwiaty – Ireneusz Kania zwraca naszą uwagę na „walory literackie licznych fragmentów *Suttanipāṭy* (co w odniesieniu do tekstów starobuddyjskich jest raczej rzadkim wyjątkiem niż regułą). „Widzimy je – pisze w *Przedmowie* – choćby w słynnej *Sucie o nosorożcu*, gdzie mamy pochwałę samotności *bhikkhu*, żebrzącego mnicha [...]”.

Prócz utrwalonych w ciągu tysiącleci, ikonicznych metafor, zobaczymy też w tych wierszowanych przypowieściach realia ubogiej a nawet skrajnie ascetycznej codzienności – człowiekowi kultury zachodniej mogą wydać się naturalistyczne. Należy do takich *Sutta o cuchnącym ścierwie*, gniewny monolog mędrca piętnującego

- 245 „Mordowanie istot, rzeź, bicie,
kajdany, kradzież
i kłamstwo, podstęp i oszustwa
[...]”

Kanon Palijski, najstarszy korpus tekstów starobuddyjskich, „według tra-

dycji ułożony przez uczonych mnichów w III wieku przed Chrystusem, spisany zaś w języku *pāli* dopiero w I wieku przed Chrystusem na Cejlonie, ma status »pism świętych« w buddyzmie hinijskim (nieraz zwanym też południowym)». Należy do niego również *Dhammapada*, złożona z czterystu dwudziestu trzech wersów podzielonych na dwadzieścia sześć rozdziałów. Nowy przekład Ireneusza Kani, publikowany prawie sto lat po wersji Franciszka Michalskiego, jest edycją dwujęzyczną. Próbkę tego przekładu przedstawił w 2020 roku „Kwartalnik Artystyczny” (zeszyt 108). W zwięzłej *Nocie tłumacza* czytamy teraz: „*Dhammapada*, dzieło niezwykle popularne, otaczane wielką czcią przez wyznawców Dharma Przebudzonego, jest dla nich od ponad dwu tysięcy lat kompendium doktrynalnym, życiowym przewodnikiem, księgą mądrości i duchową skarbnicą. Ale nie tylko dla nich, zawiera bowiem również mądrość ponadczasową i ponadkonfesyjną, z jaką stykamy się obcując z wielkimi starymi kulturami – sumeryjską, babilońską, egipską, chińską, żydowską, grecką, rzymską”.

Poszczególne strofy tej księgi najczęściej mają formę dystychów, choć niekiedy powiększają się do trzech lub czterech wersów (rzadko pięciu); decyduje o tym długość zdania. Tłumacz zachował w przekładzie oryginalne tytuły poszczególnych przypowieści, tworząc w nawiasach podtytuły informujące o temacie, na przykład *Cittavagga (o umyśle)*, *Pupphavagga (o kwiatach)*. Wiersze cechuje

dbałość o poetycką sztukę, poszczególne dwuwiersze stają się aforyzmami:

63. Głupi świadom swej głupoty
jest już poniekąd mądry;
głupiec, co się mądrym
mniema, głupcem jest najprawd-
dziwszym
V Bālavagga (o głupim)

Ważnym środkiem obrazowania jest alegoria:

322. Poskromionego w tłum pro-
wadzą, poskromionego król
dosiada;
z ludzi najlepszy – samoposkro-
miony, odporny na obmowę.

327. Miłujcie trzeźwowiedzenie,
strzeżcie czystego ducha,
o własnych siłach się dźwigaj-
cie jak krzepki słoń z topieli.

XXIII Nāgavagga (o słońcu)

Tłumaczenie z martwego języka, jakim jest *pāli* używany jedynie przez część buddystów na Cejlonie i w Południowo-Wschodniej Azji jako język rytualny, wymaga od tłumacza podobnej samodzielności, jak od słonia w topieli. By się wydostać, czyli powrócić do współczesnej komunikatywności, a zarazem zachować walory starożytnego oryginału, tłumaczowi często pozostaje tworzyć neologizmy, które w jego ojczystym języku zabrzmią, jakby były w nim od zawsze. „Samoposkromiony” czy „trzeźwowiedze-

nie” tak właśnie wpasowują się w naszą percepcję, podobnie jak „sobość”, jaką wyanalizował autor przekładu dla oryginalnego pojęcia *Attavagga*.

„W istocie praca tłumacza jest niemal tym samym, co praca egzegety – wyznał Ireneusz Kania w *Długu metafizycznym* – w każdym razie są to zajęcia bardzo podobne i pokrewne: jeden i drugi objaśnia słowa, pojęcia, teksty, szuka ich sensu i interpretuje. Egzegeza i przekład są formami tłumaczenia z jednego języka na inny, czy raczej z idiomu na idiom”.

O niemożliwej pełnej przetłumaczalności tekstów z dawnych języków, jak sanskryt czy pāli, mówi Ireneusz Kania również w ciekawej rozmowie z Andrzejem Serafinem, umieszczonej w tomie *Suttanipāta* jako posłowie. Jego zdaniem swoista nieprzetłumaczalność dotyczy również dzieł powstałych w obrębie jednej kultury, choćby zachodniej i widoczna jest szczególnie w poezji, również nowożytnej i współczesnej. Podaje przykład wiersza Norwida *Bema pamięci żałobny rapsod*: „nie umiem sobie wyobrazić przekładu tego wiersza na żaden znany mi język. Podobnie z innymi wierszami – kontynuuje – które widziałem w przekładach na rozmaite języki, to są tylko blade ich cienie. Miłosza nie da się przełożyć na jakiegokolwiek język. Nawet Szymborskiej, która uchodzi za łatwą, co naturalnie jest nieprawdą...” (*Na marginesie Suttanipāty. Próba komentarza. Rozmowa Andrzeja Serafina z Ireneuszem Kanią*).

Zatem aby poznać istotne teksty i fascynującą go kulturę, Ireneusz Kania zaczynał

od systematycznej nauki języka, postępował tak ze wszystkimi kulturami, których pisane świadectwa tłumaczył dotąd na polski. Wyznał, że chcąc czytać Dantego w oryginale, samodzielnie nauczył się włoskiego jeszcze jako nastolatek, przed podjęciem studiów romanistycznych. „Swoje zadanie jako tłumacza, co może zabrzmieć trochę prowokacyjnie, widzę w tym, żeby zachęcić człowieka nieznającego języka oryginału do tego, żeby się go nauczył”.

Rada dla dociekliwych i wytrwałych czytelników, może niezupełnie żartobliwa i nie pozbawiona szans na urzeczywistnienie. Dwujęzyczne edycje, a jest taką *Dhammapada*, pozwalają przyjrzeć się tekstowi oryginalnemu, odgadywać jego intonację i rytm, dostrzec leksykalne czy fonetyczne podobieństwa do języków, jakie znamy lub mamy o nich pewne pojęcie. Nie pierwszy raz przyznajemy rację zdaniu Ludwiga Wittgensteina: „Granice mego języka oznaczają granice mego świata”.

Ilekczo czytam kolejną pracę Kani, zarówno jego pionierskie przekłady, jak i eseje, a także erudycyjne komentarze i przypisy do dawnych tekstów przyswajanych polszczyźnie, myślę o podobnej postawie Ryszarda Kapuścińskiego, który widział swą pracę reportera jako zadanie, wręcz misję „tłumacza kultur”. W swych przekładach Ireneusz Kania zwraca się do współczesnych, a jego trwająca kilkadziesiąt lat działalność jest tym właśnie – tłumaczeniem, objaśnianiem kultur, o których wciąż mamy nikłe pojęcie, przez co zagraża im niepamięć, a nam postępujące ubóstwo intelektualne.

Tłumacz antycznych tekstów pisanych w sanskrycie, pāli, starożytnej grece, hebrajskim i łacinie – a także powstałych w grece współczesnej, angielskim, francuskim, rumuńskim, hiszpańskim, portugalskim, włoskim, niemieckim czy szwedzkim – jest pewien, że widzenie świata, zarówno zbiorowe, jak indywidualne, zakodowane jest w języku. Stanowi on „archetyp wszelkiego ładu (Logos)” (*Dług metafizyczny*).

Zaś „Najdoskonalszym [...] tworem człowieka jest ten językowy – literatura, niezastąpiona jako źródło, narzędzie i medium jego autoidentyfikacji i samowiedzy. Literatura ludzka jest jedna – kontynuuje pisarz – poszczególne, narodowe, mają się do niej tak jak kawałki roztrzaskanego lustra do wielkiego boskiego Lustra Bytu, w którym *in illo tempore* przeglądał się człowiek. [...] Tym, kto mozolnie ma na powrót sklejać rozbite Lustro, jest właśnie tłumacz” (tamże).

Wprowadzone właśnie do polskiego obiegu kulturowego dwa fundamentalne dzieła starożytnych Indii, *Suttanipāta* oraz *Dhammapada*, od ponad dwu tysięcy uważane są za uniwersalne kontemplacyjne księgi mądrości. W tłumaczeniu Ireneusza Kania okazują się aktualne do bólu, który uśmierzyć mogą tylko one same.

Andrzej Zawada

Suttanipāta. Zbiór nauk buddyźmu pierwotnego, przełożył z języka palijskiego oraz opatrzył przedmową i przypisami Ireneusz Kania, Fundacja Augusta hrabiego Cieszkowskiego, Warszawa 2023

Dhammapada, czyli strofy o Dhammie, z palijskiego przełożył i przypisami opatrzył Ireneusz Kania, Wydawnictwo Austeria, Kraków 2023

Zmierzając ku światłu śmierci

Czytając wiersze Joanny Pollakównej (1938–2002) ma się wrażenie, że kroczy się po mrocznym, tajemniczym labiryncie z licznymi korytarzami bez wyjścia, rozświetlonym wszakże u wylotu przenikliwym, olśniewającym światłem – zwiastunem rzeczywistości nadprzyrodzonej. Obszerny zbiór wierszy o znaczącym tytule *Wieczność dopełni*, wydany ponad dwadzieścia lat po śmierci poetki, w pełni uświadamia miłośnikom tej poezji jej poznawczy potencjał, rozległość i oryginalność lirycznej ekspresji. Zarówno Jan Zieliński, autor wyboru wierszy i przedmowy do zbioru, jak i pisząca pracę doktorską o poetce Agata Szulc-Woźniak, która przygotowała do druku niepublikowane wcześniej w książkach utwory, wyczerpująco omawiają tę twórczość, ułatwiając czytelnikom zrozumienie jej przesłania i interpretację formalnego kształtu wierszy.

Córka poetów – Stefanii Grodzieńskiej i Seweryna Pollaka, żona tłumacza i wydawcy – Wiktora Dłuskiego, od młodości przebywała w atmosferze spełnień twórczych, czerpiąc z nich bodźce dla własnej kreatywności artystycznej. Została nie tylko poetką, ale też historykiem sztuki i autorką książek dla dzieci, a jej dorobek poetycki jest imponujący. Niniejszy zbiór stanowi „reprezentatywne wydanie kanonu poezji Joanny Pollakównej” – informuje wydawca na okładce książki, a znajduje się w nim dwanaście tomów, przygotowanych do druku za życia poetki,

od *Dysonansów* (1961) po tom *Ogarnąłś mnie chłodem* (2003, wydany już po jej śmierci), a także tomy o nazwach *Ostatnie*, *Wiersze rozproszone* i na końcu – *Odnalezione*, w którym znajdują się utwory złożone w Muzeum Literatury w Warszawie – jak informuje Agata Szulc-Woźniak w nocie edytorskiej.

Zachęcam do lektury przedmowy Jana Zielińskiego pod tytułem *Domykania* oraz posłowie Agaty Szulc-Woźniak pod tytułem *Tyle nieśmiertelnego. Kronika nienapisanego*, gdyż poezja Joanny Pollakówny jest tak ekscytująca w swoim wizjonerstwie poznawczym i konstrukcjach językowych, „powściągliwa i śmiała, elegancka i nowoczesna, posiada osobny ton, utrzymany z niepodrabialną dykcją i niezwykłą wewnętrzną dyscypliną” – jak czytamy w nocie na okładce – wymaga zatem panoramicznej wyobraźni i maksymalnego skupienia uwagi. W jednym z wczesnych wierszy z tomu *Dysonanse*, zatytułowanym *Prośba*, czytamy: „Dajcie mi kochani / prawdziwego Boga. / Może być z plastiku / może być drewniany / zupełnie niedrogi / byleby był Bogiem”. W trzech zwrotkach zawiera ta prośba taki właśnie prosty metafizyczny sens, wynikający z młodzieńczej potrzeby poetki obcowania ze świętością. Jeden z ostatnich wierszy ze zbioru *Odnalezione* przynosi już dojrzałe rozpoznanie ludzkiego przeznaczenia: „W cudzych myślach i wspomnieniach / nieoczekiwane / poza wolą i wiedzą / nasze bytowanie. // Tyle nieśmiertelności / wiatr ją pyłem nosi / po myślach, po domysłach/ – przeszłości – / w przyszłości –”. Nieśmiertelność to więc

według poetki stan osiągalny po ziemskim życiu dzięki pamięci innych o nas.

Ale to tylko jedna z opcji mistycznego spojrzenia Pollakówny na złożoność i niepojętość naszej egzystencji. W wierszu bez tytułu z ostatniego zbioru, przygotowanego przez poetkę do druku tuż przed śmiercią, podczas jej pobytu w szpitalu, czytamy:

Co tu nie ukończone
to wieczność dopełni;
kształt kaleki zasklepi
w nieznanej przestrzeni. [...]
Co w drzazgach, co w ułamkach
zestrzeli się w jedno
w strzałę żywego ognia
w sens mierzącą i w sedno.

W taki sposób w wizji poetki wyraża się wiara w życie wieczne, tak uściślona zostaje jej prywatna eschatologia. Cała twórczość Joanny Pollakówny zmierza właściwie w tym kierunku: ku odkryciu znaków, rozpoznawalnych zapowiedzi nadprzyrodzonego sensu w naszym ziemskim bytowaniu. Moją uwagę zwróciły zwłaszcza dwa zbiory wierszy: *Dziecko-drzewo* (1992) i *Małomówność. Wiersze wybrane 1959–1992* (1995). Czytałam te zbiory z podobną fascynacją także w ich pierwszym wydaniu. W zbiorze o intrygującym tytule *Dziecko-drzewo* odkryłam, że poezja Pollakówny należy do tych zjawisk artystycznych, w których siła napięć intelektualnych przekracza już próg wyrażalności ludzkich doświadczeń. Tym bardziej zadziwia precyzja słowna i ekspresja ob-

razów, które jakby ostatecznym wysiłkiem wyobraźni ukazują stany świadomości z pogranicza jawy i marzenia, aktów woli i łaski objawienia, życia i śmierci.

Zapisy bólu, cierpienia, udręk codzienności sąsiadują z rejestrem olśnień spoza kręgu czysto zmysłowych wtajemniczeń. Boska „jasność przepastna”, ten cel ostateczny ziemskiej wędrówki, jest w tych utworach czymś bezwarunkowym, istnieje poza antynomiami: dobro – zło, prawda – fałsz, jawa – ułuda. A jednak ziemskie uwarunkowania istnienia stawiają ową „jasność” na odleglejszym biegunie pragnień. Tu, na wyciągnięcie ręki znajduje się świat z jego lękiem, nędzą, umieraniem, TAM jest „groźna świetlistość”, w którą odchodzi się po śmierci. Dialektyka istnienia i nieistnienia ujawnia się w coraz to innych odsłonach emocji, ukazuje coraz to nowe niuanse znaczeniowe. Światło – znak mistycznego zjednania się z Bogiem, Absolutem, Wszczęświatem – przybiera postać przychylną lub wrogą w zależności od punktu widzenia. Bohater liryczny wierszy Joanny Pollakówny skazany na śmiertelne konsekwencje istnienia solidaryzuje się z każdym, nawet najlichszym przejawem życia: „Siostró w bólu, / siostró w śmierci, / kosmata pszczoło, myszo zamszowa! / Niesie nas ku niepamięci / ta sama linia wznieciona”.

Punktem kulminacyjnym tomu, najważniejszym akcentem poznawczym jest wiersz tytułowy – *Dziecko-drzewo*. Stanowi on wyrazisty przykład panteistycznej wrażliwości poetki, dla której wszystkie

elementy natury są nie tyle odbiciem boskiej harmonii świata, ile współnikami cierpienia. Akt rodzenia drzewa jednoczesny z procesem podziemnego rozkładu ciała tworzy symboliczny obraz trwania–umierania, obejmujący także świat pozaludzki: „Nie karmiłam tu córki, / nie karmiłam syna, / niech się pień korzeniami / ode mnie zaczyna. / Niech żąbkuje pączkami, / niech rośnie ogromne / to moje dziecko-drzewo / nie wiedzące o mnie”. Można doszukać się w tym wierszu symptomów przedchrześcijańskiej gnozy, animistycznej wiary w boską obecność w każdym atomie życia, a także uniwersalnych wyobrażeń religijnych wszechczasów, gdyż drzewo jest upostaciowaniem czystej kontemplacji, duchowego wzrostu. Formalna prostota tej poezji jest zaledwie maską, pod którą kryje się dramat nie tylko jednego ludzkiego życia, ale całego zmierzającego ku zagładzie wszechświata. Zgoda na chorobę, cierpienie, śmierć jest w poezji Joanny Pollakówny tym samym, co wola śmierci u Simone Weil i innych mistyków, jest czymś bezwarunkowym. A jednak magia poezji sprawia, że czerpiemy z tych wierszy oprócz energii duchowej dodatkową energię, czystą satysfakcję estetyczną. Poetka potrafi tak operować tworzywem słownym, że wiersz, niezależnie od jego merytorycznej zawartości, staje się małym arcydziełem sztuki lirycznej. Przez to jej utwory mimo woli zapadają w pamięć. Dotyczy to między innymi tego utworu: „Ta zdolność do cierpienia / perfekcja w cierpieniu; / czy to głos, / którym do nas wołasz po imieniu? / Zszywasz

z życiem najściślej / bólu ostrą nitką, /
igłą doznania, błyskiem / z najświętszego
nikąd". Także wiersz *Modlitwa za zmarłego*
przyswaja się wręcz automatycznie ze
względu na litanijną powtarzalność fraz:

Na zbłąkanego po Twojej jasności
rękę opuść.

Na zdziwionego w swej bezcielesności
ześlij spokój.

Na nasz niepokój tutejszy,
na drzenie –

Twoje bezkresne, wszechwiedne pa-
trzenie.

W zbiorze *Małomówność* znajduje się
dorobek artystyczny Joanny Pollakówny
z wielu lat, dzięki czemu można tu do-
strzec – mimo niepowtarzalności, osob-
ności jej poezji – także powiązania poetki
z twórczością innych poetów. Nawiązuje
ona swoją melodyką do Leśmiana, Cze-
chowicza i bardziej współczesnych, „regu-
larnych” poetyk, na przykład Grochowiaka
czy Nowaka. Uważny czytelnik wypatrzy
także w atmosferze duchowości wierszy
Pollakówny odbłaski objawień mistycz-
nych naszych wieszczów – Mickiewicza
i Słowackiego. Tytuł tego zbioru nie mógł
być trafniej wybrany. „Małomówność” to
rzeczywiście najistotniejsza cecha tej po-
ezji. Wiersz tytułowy składa się z dwóch
pięciosylabowych strof, w sumie to czter-
naście wersów: „W bólu, w miłości / bądź
małomówny / Niebo przemówi / biegną-
cym cieniem / stalowym gradem / pra-
gnieniem ziemi / suchej, spękanej / jak
usta nieme”. To prawie dwie trzecie cało-

ści. A za szczyt lapidarności uznać można
czterowiersz *Żałoba po drzewie*:

Śmierć drzewa.

Nagle puste powietrze.

Ptaki wpadają w próżnię.

Wiatr odchodzi z pustymi rękami.

Ale i we wczesnych zbiorach znajdują
się wiersze, które porażają „małomówno-
ścią”. Oto wiersz napisany w sierpniu 1965
roku ze zbioru *Korzyści podróży* (1967):
„Bo to się nie da inaczej. / Ku tobie – zna-
czy obok i wbrew / to karczowanie lasu /
i zadyszany bieg / gdy przez powietrze /
boleśnie / pasmem napiętych włosów”.
Sądzę, że pojęciem najściślej przylegają-
cym do tej poezji, tak mocno powiązanej
z konkretem i tak jednocześnie oddalanej
od konkretnego jak obraz odbity w lustrze,
jest przejrzystość, cecha pozwalająca na
przenikanie się planów życia, śmierci,
bólu, miłości i ich kontemplację. Podsu-
mowując, można stwierdzić, że poezja
Joanny Pollakówny mówi właśnie o nie-
uchronności, nieuniknioności cierpienia
i śmierci, a mówi to, paradoksalnie, z per-
spektywy wytrwałej, nieustraszonej afir-
macji istnienia. Poetka przebiega z lek-
kością dziecka z nastroju w nastrój, od
podziwu i zaskoczenia po lęk i smętną
zadumę, a na dnie każdego wiersza lśni
perła inspirującej refleksji, oprawiona
w nieskazitelną kruszec jej słowa.

Adriana Szymańska

Joanna Pollakówna, *Wieczność dopełni. Wier-
sze z lat 1958–2002*, seria z emblematem, Pań-
stwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023

Ścieżki Przeistoczenia

Ostatnio wydany (2023) tom wierszy Adriany Szymańskiej *Epilog z Gwiazdą* stanowi continuum wcześniejszego o dwa lata *Zielone rolety*, który uzyskał nominację do co roku przyznawanej w Muzeum Ildefonsa Gałczyńskiego (dawnej leśniczówce Pranie) nagrody Orfeusza. O ile jednak w *Zielonych roletach* dominuje, w moim odczuciu, tonacja uwielbienia dla piękna widzialnego świata, godnego uważnego pochylenia nad każdym z odkrywanych przez poetkę jego zachwycających szczegółów – w *Epilogu z Gwiazdą* pojawia się dobitniej zarysowana perspektywa nieodwołalnego odchodzenia, znikania. Ale istotne jest, co z tą perspektywą robi poetka tej miary, co Adriana Szymańska.

Już sam tytuł, trafiony w punkt oksymoron, sygnalizuje obszar jej wyczynu. Tu konkret słowa, bardzo wielu słów tej poezji, mierzy się z kosmiczną nieobjętością, niepojętością jednostkowego losu. „Epilog” zaświadcza o bezlitosnej dla siebie świadomości kresu, lecz równolegle „gwiazda” na horyzoncie ustanawia światło – „inne światło” nadziei. Twarda pewność niemożliwego przeistacza się w migotanie łaski, Cudu. Wiara, niewolna przecież od wątpliwości, zdobywa się raz po raz na ekwilibrystyczny taniec intuicji metafizycznych. Nie bez powodu tyle w tej poezji tańca – synonimu radości – czy to w wykonaniu jabłonki, „białoróżowej muzy” dzieciństwa, „tańczącej patronki moich wierszy”, czy w „podfruwaniu wróbli”, z którymi autorka „chcia-

łaby zatańczyć na pobliskim dachu”. Odkąd czytam tę poezję (od wielu już lat), dostrzegam w niej to wszechobecne, taneczne wirowanie spamiętanych obrazów, wspomnień, zjawień sennych, przywoływanych rytmów muzyki Chopina, Mozarta, Bacha czy Mikołaja Góreckiego. „Rośliny tańczą wokół biurka / jak trzciny nad brzegami jezior”.

Mowa Adriany Szymańskiej, w nieustannym ruchu, nie dopuszcza do zastoju myśli, do przerwy w istnieniu; ona prowadzi wciąż „zeszyt istnienia”. Taniec liter w procesie pisania, kiedy „w ruch idą długopisy, komputer i drukarka” – jak relacjonuje w którymś wierszu poetka – jest równoznaczny z ponawianą afirmacją „jestem!”. Taniec, któremu na tym etapie życia odpowiada bicie własnego serca, „nierówne i zbyt szybkie” u osoby, która przez całe życie zmagала się z niewydolnością zastawki. W *Zielonych roletach* była pacjentka ujawnia swój wielki dług wdzięczności wobec „lekarza o jasnych włosach i niebieskich oczach”, który(a) uratował(a) jej serce.

Taniec mowy zdobywa się raz po raz na „rozpaczliwe harce” nienasycenia, pożądania pełni czy tylko nieustannego pościgu za dotknięciem bytu, za choćby ulotnym, a przecież wiecznym – dla pa-mięci – tchnieniem zachwytu. Bo ta poezja naprawdę istnieje w zachwycie i dla zachwytu samym faktem istnienia. To jest jej *ratio* i *credo*, jej raptularz codziennej uważności na drobiazgi, godne „uwiecznienia”, jak choćby płamki w upierzeniu „gołębia-grzywacza”. „Żyć to znaczy trzymać się tej nitki zdumienia / nad prze-

paścią bycia tu i teraz (*Uniesienie*). Ale sprostać temu zadaniu – gotowości do ekspresji, która nie utraci po drodze nic ze świeżości i euforii spontanicznego „zdu-mienia” potrafi jedynie „obrotny język pielgrzymującej duszy”, jak to nazwała arcytrafnie w wierszu *Potęgowanie* (z *Zielonych rolet*) sama poetka. Sformułowanie to świadczy o bardzo wysokim stopniu samoświadomości artystycznej.

Na drugim biegunie niezwyklej dynamiki „obrotnego języka pielgrzymującej duszy” jest wszystko, co ogarnia pamięć – pamięć, która nie odtwarza „wiernie” wydarzeń czy zjawisk z przeszłości, lecz chcąc je odtwarzać – kreuje. W krąg takich wierszy wpisuje się wspaniały wiersz z poprzedniego tomiku *Reprint, Requiem*, w którym nakładają się na siebie obrazy: siedzącego ongiś na tej samej ławce w sopockim parku męża poetki, zmarłego lata temu, lecz przywołanego teraz w intensywnym podmuchu tęsknoty.

W *Epilogu z Gwiazdą* poetka intensywnie wspomina: bliskich przyjaciół, zmarłych i wciąż (jeszcze) żywych, sporządzając „na wstecznym biegu” osobliwą poetycką litanie swoich na wpół prywatnych „wszystkich świętych”, których rzeczywiste imiona i nazwiska sygnalizują tylko ich pierwsze litery, a nawet – w osobnym wierszu – „aneks do litanii o przyjaźni”, by nikogo w tych staraniach o symboliczne upamiętnienie nie pominąć. Znalazły się w tej części tomiku dłuższe wiersze, poświęcone ważnym dla poetki Tym, którzy odeszli dawno temu: Profesorowi z toruńskiej uczelni, Arturowi Hutnikiewi-

czowi (*Rapsod dla Profesora*) i prawie już dziś zapomnianemu Michałowi Sprusińskiemu – poecie, krytykowi i tłumaczowi – w *czterdziestą rocznicę śmierci*. Ale dla Adriany Szymańskiej godna upamiętnienia jest także „rajska kurka” – z czasu, gdy ona sama była małą dziewczynką – nazwana przez nią Iskierką z racji piórek „przypominających drobinki węgla w ogniu”! Opisuje ją z miłosną drobiazgowością w jednym z wierszy, podobnie jak ptaki portretowane z perspektywy dnia dzisiejszego (na przykład *Sikorka celebrytka*). Poetka docenia wagę pamięci i jej kreatywny potencjał, wyzwala ją z zapamiętanych zdarzeń, istnień czy przedmiotów inny, niepodjęrzewany przedtem blask. I to – „w pewnym momencie życia” jej wystarczy, żeby napisać wiersz – z pamięci, dzięki pamięci.

Ciągle jednak bodaj jeszcze ważniejsze niż dobra pamięć, jawi się wychylające się ku cudom terażniejszości ufne oczekiwanie na to, co dalej i potem, wzbogacone uzbieranymi skarbami przeszłości. Autorka *Epilogu z Gwiazdą* jest świadoma tego, że z każdym mijającym dniem idzie nieodwołalnie w stronę pożegnania świata, ukochanego mimo jego wszechobecnego „lamentu, skowytu i wrzasku sponiewieranych stworzeń” (z wiersza *Udręczenie* w *Zielonych roletach*). Odwraca jednak wzrok od zarejestrowanych czujnie okropności współbywania na tym padole, dla niewzruszonej wiary w to, że „być powołaną do życia, to jakby świecić światłem / odbitym od tarczy nieustraszonego / zwróconego wciąż przeciw nicości – Słowa”. Dla Szymańskiej sam fakt narodzin „ocala przed wiecznym nieby-

tem” (*Ocalenie*). Zaiste, trzeba mieć w sobie tę miłosną determinację akceptacji świata wraz z całym wpisanym weń złem, by ufać mimo wszystko, że Stwórca wie, co robi, choć często ze Słowem swoim zwleka.

Dla tej poetki dar życia jest po to, by mogła w nim rozślawiać świat.

Ukazanie się *Epilogu z Gwiazdą* wieńczy pięćdziesiąt pięć lat uprawiania twórczości poetyckiej przez Adrianę Szymańską. Wierszom towarzyszą wybrane przez autorkę zdjęcia z lat młodości, zawsze z ukochanymi zwierzętami (najczęściej psami, w jednym wypadku z koniem).

Poetka, mimo prób „pożegnania”, nie znika, nawet wtedy, kiedy pisze o (chwilowym) niepisaniu, w jednym z najnowszych, przesłanych mi prywatnie wierszy. Ta „przewrotność” nie jest niczym sztucznym czy wymyślonym przez nią: jej życie wyraża się w słowach, zasilających wciąż płynący z głębi, żywy nurt metafizycznego Słowa. W zdumiewającym, napisanym jakby mimochodem wierszu (publikowanym w tym numerze „Kwartalnika”) *Żyjąc w tęczy*, potrafi uchwycić jakże ulotny moment stawania się częstką odbicia słonecznego światła w kryształowym wazonie, nadając mu wymiar pożądanego Przeistoczenia.

W dojrzałej, późnej poezji Adrian Szymańskiej, na wszystkie ścieżki dawnych, miłosnych euforii pada ten *inny blask* „najjaśniej migoczącej Gwiazdy”.

Niech towarzyszy jej jak najdłużej!

Krystyna Rodowska

Adriana Szymańska, *Epilog z Gwiazdą*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023

Białe mleko, czarne mleko

Po lekturze *Listu i Poetek, poetów i innych* Leszka Szarugi nie zostają w pamięci szczegóły, ale ogólny klimat, ponieważ obie książki są związane z matką. *List* jest prawie w całości o niej, *Poetki, poeci...* już nie, ponieważ to zbiór swobodnych uwag o literaturze. Jednak ich pulsarem cały czas pozostaje matka – symboliczna, materialna, poetycka, Maria Kurecka.

W *Liście*, dwudziestostronicowym, przejmującym poemacie, otrzymujemy serię roztrząskanych opowieści. Część z nich jest autobiograficzna i sięga czasów tużpowojennych, część nawiązuje do biografii cudzych; przeplotem tych skrawków bywają najczęściej różne ogólne stwierdzenia o lęku przed końcem, strachu przed awarią planety, katastrofą klimatyczną, śmiercią. Poecie bynajmniej nie chodzi o to, by ktoś po nim pozbiierał to potłuczone lustro i skleić; zostawia jego kawałki, by za ich pośrednictwem – kolejny chyba raz – opowiedzieć historię swojego życia, którą zamienia w wielkie poszukiwanie sensu, prześlizgując się przez ciemny tunel różnych trudnych historii XX i XXI wieku. Wpadają do niego teleskop Webba, Mgławica Carrina, zdjęcia miazdźcy żył, era Plancka, wybuch Wezuwiusza i Auschwitz, Paul Celan i Walerij Puzik. „Obce słowa – cytuje Szaruga za Aleksandrem Ti-mofiejewskim – kolorami się mienia, / A na Twerskiej słyhać wizg tramwaju”. Matki od dawna w życiu podmiotu nie ma, a jej nieobecność nie rodzi głębokiego dramatu;

czytamy o zniknięciu, o zabranii jej przez UFO. Spłaszczenie emocji, skierowane raczej ku grotesce niż ku poważnemu wyznaniu, staje się w *Liście* problemem przepracowywanym. „[...] liczę się z tobą choć / dawno odeszłaś” – czytamy. Szaruga, próbując przejść na stronę matki, niepostrzeżenie pochyla się nad czarnym źródłem mleka, nieokreśloność decyzji, czy pisać, łącząc z melancholią matczynych, melancholijnych piersi (których *nota bene* w tym poemacie nie ma, presuponuje je jedynie czerń mleka):

wiesz przecież że
nie można mówić i nie można
milczeć ale trzeba pamiętać
bez słów dlatego
poeta wciąż szuka
lingua
ignota wie że brnie
w martwym morzu liter
w martwym polu
znaków do końca wypija
swoją miarkę czarnego
mleka

Czarne mleko poezji, płynące wprost z wiersza Paula Celana, przyjmuje w *Liście* postać zawahania, które będzie wracać właściwie w każdym szkicu o poezji z kolejnej książki. Te eseistyczne zapiski, często osnute tylko wokół pewnych refleksji i spostrzeżeń, a nie całej diatryby historycznoliterackiej, trzymają się zasady przyjaźni. Szaruga rozpoznaje w piszących swoich sprzymierzeńców, nie przeciwników, stara się więc dostrze-

gać w ich wierszach problemy, które i jemu są bliskie – pracę nad językiem, wpływy Wschodu i Zachodu, metafizykę. Nie na każdy z tych szkiców ma oczywiście wpływ matka, dlatego wybieram do prezentacji szkice różne, te, które wydają mi się najciekawsze.

Należą do nich zapiski o Wisławie Szymborskiej, w której wierszach Szaruga rozpoznaje noblowską „oczywistość”, i o Annie Piwkowskiej, poetce postziemiańskiej. Próby osadzenia jej wierszy w świecie konserwatywno-szlacheckim wydają się cenne i bardzo wnikliwie, choć brakuje tu istotniejszych uwag o tym, co akurat w *Furtianach* jest uderzające, zwierzętach (a szczególnie ptakach). Intrygujące są też zapiski Szarugi o poezji Anny Matysiak (skądinąd wydawczyni *Listu*) i jej „ziarnach wojennej pamięci”, przenikających do narracyjnych poematów, czy o żałobnych wierszach Urszuli Koziół, a szczególnie o tomie *Klangor*, który – współtowarzyszający im poeta – próbuje empatycznie zrozumieć. Szaruga pracuje przede wszystkim na emocjach, nie faktach, i na impresjach, a nie zdarzeniach. Jest krytykiem otulającym wiersze swoją wrażliwością, w której wiedza odgrywa rolę pomocną, ale nie najważniejszą; liczy się raczej opiekuńcze doświadczenie, które pozwala podchodzić mu do każdej książki swobodnie, bez konwencjonalnych ograniczeń. To chyba ważna umiejętność u profesora literatury, ponieważ świeżość spojrzenia i odwaga jego manifestowania nie zdarzają się u uczonych często.

Pointą *Poetek, poetów i innych* jest obrazek poświęcony matce, który czytam jako ukrytą rozmowę ze Stefanem Chwinem i jego *Esther*. Opowiadanie *Gdańszczanka* jest bardziej praktyczne i konkretne niż epepeja autora *Hanemanna*, może też i mniej symboliczne, mniej skomplikowane. Matkę przedstawia się w nim prosto – to pracowita, spracowana, doświadczona emigracją kobieta o dość surowym podejściu do życia, co czyni z niej jednak siłaczkę, a nie melancholiczkę, do końca niezwykle sumienną i praktyczną. Czy Maria Kurecka, która była jedną z najbardziej pracowitych i najciekawszych polskich powojennych tłumaczek literatury pięknej, stanie się bohaterką większego wspomnienia niż *List* i *Gdańszczanka*? Być może byłby to także istotny gest samego poety, który przebrnąwszy przez morze martwych liter, dotarłby do źródła innego mleka niż czarne. I, być może, miałby okazję sam pozbierać kawałki *Listu*, które wydają się raczej początkiem, a nie końcem pisania o Kureckiej.

Marta Tomczok

Leszek Szaruga, *List*, Wydawnictwo CONVIVO, Warszawa 2023

Leszek Szaruga, *Poeci, poetki i inni*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2023

Listy historyczne

Opublikowany właśnie – jako kolejny w serii korespondencji Redaktora – zbiór listów, jakie w latach 1943–1948 wymieniali między sobą Jerzy Giedroyc i Józef

Czapski należy do tych książek naszej kultury, które stanowią w myśleniu o niej niezwykle ważny punkt orientacyjny, który, choć dla wielu niedostrzegalny i skryty w cieniu przeszłości, pozwala zrozumieć nie tylko istotę fenomenu, jaki stanowiła paryska „Kultura” i jej krąg trafnie nazwany przez Andrzeja Stanisława Kowalczyka „rzeczpospolitą epistolarną”, ale też rozpoznać korzenie owego zjawiska. Wielu czytelników być może zniechęci nadmiar doraźnych, wojennych i powojennych realiów, opis dziś już zapomnianych, lecz wówczas chyba ważnych sporów środowiskowych toczonych w instytucjach armii Andersa – choć oczywiście dla historyków zajmujących się tym tematem listy te stanowią wyjątkowo ważne źródło – ale warto się skupić przede wszystkim na śledzeniu tych perypetii bohaterów i ich współpracowników, które pozwoliły na konsekwentne, choć wciąż na różne sposoby torpedowane zarówno przez ludzi im niechętnych, jak i przez okoliczności, realizowanie zamierzenia utworzenia na wychodźstwie ośrodka intelektualnego stanowiącego przede wszystkim zaplecze dla zagrożonych przez sowiecki system środowisk kulturalnych w kraju, a wreszcie stworzyć przestrzeń dyskusji – zarówno kulturalnej, jak i politycznej – ponad podziałami ideologicznymi, ale z wykluczeniem uczestnictwa przedstawicieli skrajnych, antydemokratycznych postaw. Przy tym, co warto zawsze podnosić, gdy mowa o „Kulturze”, Giedroyc dbał o suwerenność swej republiki, unikał wszelkiego rodzaju, także finansowych,

uzależnień od sponsorów pisma, w zabieganiu o których nie małą rolę odegrał Czapski nie raz – choćby podczas wyjazdu do USA – pełniący rolę ambasadora pisma.

Starszy z nich, Czapski, rocznik 1896, pacyfista odznaczony w czasie wojny polsko-bolszewickiej orderem *Virtuti Militari*, czołowy malarz ugrupowania kapistów, po ogarnięciu przez Sowiety wschodnich obszarów Rzeczypospolitej więzień obozu oficerskiego w Starobielsku, autor przejmującego świadectwa *Wspomnienia starobielskie* (1943), szef Wydziału Propagandy i Informacji w armii Andersa. Młodszy, Giedroyc, rocznik 1906, założyciel w 1930 pisma „Bunt Młodych” przemianowanego w 1937 na „Politykę” – dorobek z tego okresu omówił w *Stylach politycznego myślenia* Marcin Król – w 1940 roku podjął pracę w Biurze Propagandy 2. Korpusu armii Andersa i jako redaktor „Orla Białego”, w którym współpracował z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, zaś jedną z istotnych inicjatyw tu podejmowanych była edycja biblioteki pisma prezentująca między innymi utwory Stanisława Brzozowskiego oraz Juliusza Kadena-Bandrowskiego, swego rodzaju zapowiedź późniejszej biblioteki „Kultury”. Krótką charakterystykę Herlinga odnaleźć można w liście Czapskiego z lutego 1945: „Grudziński nosi ranę w sercu, że do niego nie piszesz, a tylko o nim, jak robimy projekty, bo tak często Ciebie wspominamy, że Ty to projektowałeś czy inne, że mówimy »na początku

był Giedroyc«. Bałbym się przesadzać i entuzjazmować się, ale naprawdę zdaje się, że Grudziński jest pierwszy nasz »geniusz« chodzący po ziemi, który chce, pali się i lubi pracować. Nie jest łatwy, bo jest uparty, bo jest apodyktyczny, w sądach nigdy nie »letni«, ale żarliwy i głęboki. Dla mnie po waszym wyjeździe to jest pierwszy człowiek bardzo mi bliski i bardzo mi pomaga”. Niebawem wszyscy trzej podejmą decyzję o założeniu w Rzymie Instytutu Literackiego, o perspektywach powodzenia tego pomysłu informuje Giedroyc w liście z przełomu stycznia i lutego 1946: „Teraz najważniejsza historia. Wyobraź sobie, że jestem w przededniu założenia Instytutu. Mia nowicie po przyjeździe poszedłem na wariata do Bąkiewicza i opowiedziałem mu moje perypetie w tej sprawie. Zainteresował się, powiedział, że jeżeli prawnie jest to do przeprowadzenia, to on pieniądze da”.

I właśnie ten wątek korespondencji ukazujący stopniowe formowanie się zespołu „Kultury” i początki działalności redakcyjnej wydaje się w tej korespondencji najbardziej interesujący: pasja wsparta wyrazistą wizją i zdecydowaną wolą podjęcia swego rodzaju misyjnej działalności w środowisku emigracyjnym, a także, jeśli nie przede wszystkim, krajowym. Istotą tej wizji było w pierwszej kolejności skupienie wokół „Kultury” pisarzy i publicystów rozproszonych na wychodźstwie, w drugiej zaś organizowanie pomocy dla kraju. Przy czym podkreślał Giedroyc: „Są książki i są koncepcje, które muszą

być lansowane i na których trzeba sobie powiedzieć, że się nie będzie zarabiał, a co najwyżej zwrócą się własne koszty". Czapski, będący wówczas w Paryżu, pisze do siedzącego w Rzymie Redaktora rozpaczliwe listy o braku jakichkolwiek funduszy pozwalających planować dalsze działania. Niemniej, uwikłany w codzienne utarczki z urzędnikami i przełożonymi, wyraźnie marzy o bezpośrednim kontakcie: „Ogromnie pragnąłbym Ciebie tu zobaczyć, choć boję się, że mimo pozorów bezinteresowności zamordujemy się wzajemnie furą nowych genialnych projektów”. Tymczasem jednak zmuszony jest do gier i zabaw towarzyskich – czyli uczestniczenia w intrygach – świadom, że nie może ufać swym współpracownikom, co z kolei utrudnia mu pracę nad książką *Na nieludzkiej ziemi* będącą podsumowaniem doświadczeń sowieckich: „Ja muszę dostać rozkaz od Ukochanego [tym mianem obdarza generała Andersa], że mam w 4 miesiące napisać książkę. Nie było jeszcze takiej koniunktury na taką książkę. Wiem, że Ty jeden byś wziął na siebie przeprowadzenie tego u Ukochanego: nie wiem jednak, czy Twoje namowy nie dadzą odwrotnego skutku (Giedroyc po usunięciu Kopcia chce usunąć Czapskiego i wsadziwszy w jego miejsce Wragę, odprawiać z nim razem czarną mszę masońską). W każdym razie Tobie mówię jedno: albo będę miał 4 miesiące urlopu dla napisania książki [...], albo szkoda gadać”. Przy czym rzecz, przy zmiennej wciąż w tym okresie koniunkturze politycznej, była o tyle istotna, że polskie publikacje

w prasie wojskowej podlegały angielskiej cenzurze, jak bowiem podkreśla Czapski we wcześniejszym liście, anonując publikację już napisanego fragmentu: „Przeczytaj w »Orle« *Na nieludzkiej ziemi*, jeżeli puszczą Anglicy. Takich opowiadań chcę zrobić więcej, dopóki książka wyjdzie, poza oczy może wyjść, a tak choć kawałkami będę puszczał”.

Wreszcie 21 maja 1947 roku Giedroyc informuje: „»Kultura« jest już złamana. Gustaw [Herlin-Grudziński] robi już rewizję. Mam nadzieję, że za parę dni wyjdzie. Ciekaw jestem twego zdania. Pierwszy numer jest słaby, ale czuję, że z tego coś może wyjść”. Jak wiadomo – wyszło, zaś trwać miało do śmierci Giedroycia w roku 2000, ukazało się sześćset trzydzieści siedem zeszytów miesięcznika, który dziś czy to dla historyków, czy dla polonistów, a nawet dla politologów stanowi kopalnię informacji i żywicię będzie z pewnością kilka pokoleń badaczy. Już w tej chwili Instytut Literacki obrósł nie tyle legendą (to również), ale też bogatą literaturą przedmiotu. Uważna lektura pisma, wraz z później wydawanymi „Zeszytami Historycznymi” ukazuje zjawisko może nie zdumiewające, ale znaczące – dorobek autorów uzmysławia, jak ten w końcu skromny, finansowo wciąż balansujący na krawędzi egzystencji i kreowany przez niewielką w istocie grupę zapaleńców konsekwentnie realizujących program łączący politykę z kulturą w nierozzerwalny węzeł, zdołał przewyższyć swym znaczeniem osiągnięcia potężnych instytutów sowietologicznych. Nie na końcu też

wspomnieć należy rolę i znaczenie powołanej przy piśmie biblioteki, która stała się, by przy tym tylko pozostać, szalupą ratunkową dla Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego i Miłosza. Konsekwentny upór Giedroycia i jego sojuszników, wśród których Józef Czapski odegrał, zwłaszcza w okresie początkowym, znaczącą rolę stworzył też dla krajowej kultury wzorce, do których odwoływały się powstające po roku 1976 pisma „drugiego obiegu”.

I może właśnie ten tom korespondencji Redaktora okaże się dla badaczy szczególnie interesujący, gdyż ukazuje, jak w chaosie końca drugiej wojny światowej, w wirach i doraźnych sporach, kilku ludziom udało się wykreować dzieło na trwałe wpisane w historię polskiej kultury. Załatwiający tysiące doraźnych i często naprawdę błahych spraw, szarpiący się w rygorach narzucanych przez wojskową dyscyplinę ci dwaj autorzy tych listów zdołali, mimo nieustannych przeciwności i braku pieniędzy, zrealizować wizję, która wielu wówczas zdawała się utopią. Ten wątek ich korespondencji wydaje się najbardziej fascynujący, choć oczywiście nie brak tu, zwłaszcza dla znawców epoki, mnóstwa innych pożywnych tematów. Tym, których wiedza o epoce jest skromniejsza, nieocenioną pomocą służyć będą opracowane przez Rafała Habielskiego przypisy.

Leszek Szaruga

Jerzy Giedroyc, *Józef Czapski, Listy 1943–1948*, opracował, wstępem i przypisami opatrzył Rafał Habielski, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2023

Stać się kimś innym

Czy można stać się kimś innym? Czyli zmienić: datę urodzenia, nazwisko, pochodzenie, przynależność? Oczywiście takie kamuflaże miały miejsce podczas okupacji, wówczas zwłaszcza, gdy służyły działalności konspiracyjnej oraz przetrwaniu. I drugie pytanie: czy można całkowicie odciąć się od swojej przeszłości i starać się zapomnieć o niej? To również się zdarzało, zwłaszcza wśród Polaków żydowskiego pochodzenia, dla których trauma Zagłady była trudna do udźwignięcia. Opisany przez Remigiusza Grzelę przypadek jest wszakże wyjątkowy. Bohaterka jego książki nie tylko zmieniła swoją tożsamość, także narodową, ale ponadto całkowicie przekreśliła całą swoją heroiczną przeszłość i przestała się do niej przyznawać do tego stopnia, że udawała, że nie rozpoznaje dawnych towarzyszy broni i konsekwentnie, do końca życia, grała cudzoziemkę. Z jednej zatem strony, strategia wypracowana podczas okupacji stała się dla tej kobiety przyjętą na stałe formą istnienia, z drugiej – całkowite, radykalne wymazanie ważnego fragmentu doświadczeń życiowych stanowiło metodę, by wszystko zacząć jak gdyby od samego początku. Co skłoniło ją do tak radykalnej amputacji ważnej części swojego życiorysu? Jaką cenę zapłaciła za swoją transformację?

Na te właśnie pytania szuka odpowiedzi Remigiusz Grzela w książce *Trzy życia Ireny Gelblum*. W jego zamyśle „Ta książka jest opowiadaniem o braku miłości, zemście i nieistnieniu. O kobiecie, która nie

przestaje się wymykać schematycznemu myśleniu". Ale nade wszystko jest wyrazem fascynacji i sprzeciwu. Fascynacja osobowością głównej bohaterki wyraziła się próbą napisania drugiej, po *Wyborze Ireny*, zmodyfikowanej i poszerzonej wersji jej biografii. Autora skłonił do tego wywiad, który, jak wyznaje, odmienił jego życie. Marek Edelman opowiadał w tym wywiadzie o „bohaterskiej łączniczce Żydowskiej Organizacji Bojowej, która była odważniejsza od innych”. Nazywał ją „Irką Wariatką”, zdradził, że po wojnie została włoską poetką, ale zgodnie w jej życzeniem nie podał jej nazwiska. Jednakże dla Grzeli te informacje wystarczyły. Powiada: „Znałem Irenę Conti di Mauro od prawie piętnastu lat. Nie wiedziałem, że ma bohaterską wojenną przeszłość”. Zdecydował się zatem odtworzyć tę przeszłość, w sprzeciwie przeciw jej wymazywaniu. Na podstawie pracowitego tropienia śladów obecności Ireny Gelblum w rozproszonych źródłach, przeszukiwania archiwów nie tylko w Polsce, ale i za granicą oraz wywiadów z jej córką i przyjaciółmi niezwykle starannie i z wielką empatią naszkicował portret byłej łączniczki. Podjął również próbę zrekonstruowania niezwyklej kolei jej życia, które splotły się z losami innych bohaterskich bojowniczek i bojowników ŻOB-u: między innymi Cywii Lubetkin, Aliny Margolis, Reni Kukielki, Marka Edelmana, Antka Cukiermana, Kazika Ratajzera. Rezultaty tych poszukiwań przedstawiają się pokrótce następująco:

Irena Gelblum urodziła się w 1923 roku w Warszawie w rodzinie zasymilowanych Żydów. Ze strony jej matki, Janiny vel Jenty

Krongold, byli to zamożni właściciele ziemscy, posiadacze majątków w ziemi dobrzyńskiej oraz kamienic w stolicy, którzy zimę spędzali w Warszawie, a na lato przenosili się do dworu, by rozkoszować się urokami wiejskiego życia. Ojciec Ireny, Salomon vel Szlama Gelblum był germanistą, znawcą kultury i prawa niemieckiego. To dzięki niemu córka umiała biegle posługiwać się językiem niemieckim. Dzieciństwo i wczesną młodość Irena spędziła w poczuciu bezpieczeństwa i dostatku, zwłaszcza że jej krewni żyli na wysokim poziomie, odznaczając się dosyć niefrasobliwym stosunkiem do wydawania pieniędzy – żeby spłacić ciągnące długi, nierzadko zastawiali swoje majątki. W okresie okupacji sytuacja całej rodziny w sposób drastyczny się zmieniła. Irena wraz z bratem i rodzicami znaleźli się w warszawskim getcie, rodzice i brat zostali zamordowani w 1943, najprawdopodobniej w Sobiborze. Ona ocalała, ale do końca życia miała poczucie winy, że nie potrafiła ocalić najbliższych, albo też, że z nimi razem nie zginęła. Szukając zemsty, została łączniczką Żydowskiej Organizacji Bojowej, walczyła w powstaniu w getcie, a następnie w powstaniu warszawskim. Po wojnie należała do członków Mścicieli, zorganizowanej przez Abu Kownera grupy bojowej, której zamiarem była zemsta na Niemcach za Holokaust. Następnie przedostała się ze swoimi przyjaciółmi do Palestyny. Spędziła tam kilka miesięcy, po czym zdecydowała się powrócić do Polski. Wówczas zmieniła datę swojego urodzenia oraz nazwisko pa-

nieńskie na Conti, twierdząc, że jej matka miała włoskie pochodzenie. Studiowała medycynę, pracując równocześnie jako stewardessa. Studiów nie skończyła, bo raziły ją śmierć i krew, zaczęła natomiast zajmować się dziennikarstwem. Została sekretarzem czasopisma „Nowa Wieś” oraz korespondentką tego pisma za granicą. Wyszła za mąż za Ignacego Waniewicza, syna zesłańców do Jakucji, wychowanego i ukształtowanego przez system stalinowski, żarliwego komunistę, który po powrocie do Polski został członkiem PPR oraz, na krótko, pracownikiem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Z tego związku urodziła się córka, ale małżeństwo się rozpadło. W okresie Marca 1968 roku Irena Gelblum podobnie jak jej były mąż stali się ofiarami brutalnej antysemitkiej nagonki. Obydwójce stracili pracę i zdecydowali się emigrować. Irena Gelblum wyszła ponownie za mąż za włoskiego dziennikarza, Antonia di Mauro i wyjechała do Włoch. To małżeństwo także nie wytrzymało próby czasu. Dawna łączniczka występowała odtąd jako Irena Conti di Mauro, stała się dosyć znaną włoską poetką i tłumaczką, laureatką prestiżowych nagród, członkinią Akademii Historii i Literatur Słowiańskich w Bolonii, autorką wywiadu-rzeki z Lechem Wałęsą, za który dostała nagrodę Amnesty International. Po powrocie do Polski na stałe występowała na wieczorach poetyckich i udzielała się społecznie. Była między innymi wicekanclerzem i kanclerzem Międzynarodowej Kapituły Orderu Uśmiechu oraz Rzecznikiem Praw Dziecka. Zmarła

w 2009 roku otoczona opieką dawnych przyjaciół, których się wyrzekła.

W biografii Ireny Gelblum pozostaje wiele białych plam. Nie bardzo wiadomo, jak znalazła się w getcie warszawskim, dlaczego postanowiła w 1945 roku powrócić z Palestyny do Polski, co ją skłoniło do powrotu z emigracji do ojczyzny. W kilku wypowiedziach pojawia się wątek jej możliwej współpracy ze służbami specjalnymi. Zastanawia w każdym razie fakt, iż jejteczka została w 1989 roku zniszczona. Bez wyraźnej odpowiedzi pozostaje ponadto najważniejsze pytanie: z jakiego powodu przekreśliła swoją przeszłość i żydowskość, za wszelką cenę chcąc uchodzić za kogoś innego. Prowadząc swego rodzaju śledztwo, biograf natrafia na cały szereg przeszkód. Pierwszą stanowią wysiłki jego bohaterki, by z historii okresu okupacji całkowicie zniknąć. Jak powiada: „Brakuje mi jej głosu, jej relacji. Czytam wspomnienia, dzienniki, fragmenty łączące ją z tamtym czasem, tamtymi miejscami i ludźmi. Zupełnie jakby wymazała siebie ze wspólnej fotografii. [...] Nie jestem zadowolony z tego, że muszę o niej opowiadać poprzez relacje innych”. Ale te relacje również nie do końca okazują się wiarygodne. Ocalałych świadków albo zawodzi pamięć, albo spychają na plan dalszy główną postać, na plan pierwszy wysuwając samych siebie. Nade wszystko sylwetka Ireny Gelblum ginie w narracjach zdominowanych przez męską perspektywę. Autor, i słusznie, domaga się przywrócenia znaczenia wszystkim heroicznym łączniczkom, które z narażeniem życia nie tylko umożliwiały kontakt

z rozproszonymi komórkami ŻOB-u, ale także wyprowadzały ludzi z getta i obozów, przenosiły broń i dokumenty, dostarczały pieniądze ukrywającym się Żydom na terenie Guberni i Reichu. Prawdziwy podziw budzą przy tym poczucie solidarności, poświęcenie i sprawność całej organizacji, która przetrwała okupację, a po wojnie organizowała emigrację do Palestyny.

Niekompletność wiedzy o głównej bohaterce znajduje w książce swoje odzwierciedlenie tyleż w samych tekstach, co w ich układzie. Od razu uderza różnorodność świadectw. Bo przeplatają się tutaj ze sobą wspomnienia bliskich przyjaciół oraz córki Ireny Gelblum, fragmenty jej wierszy, wywiady, cytaty z naukowych opracowań, dzieł literackich, listów, a nawet z donosów współpracowników Służby Bezpieczeństwa. Całość, ilustrowana starannie dobranymi zdjęciami, składa się na kolaż, który swoim charakterem dobrze oddaje nieciągły, porwany i pełen luk życiorys bohaterki. Wyłania się z tych świadectw portret osoby nieprzeciętnej i w pewnym stopniu tajemniczej i zagadkowej, kobiety, przyciągającej uwagę mężczyzn urodą i osobistym urokiem, a także wyjątkową odwagą, silną osobowością i bystrą inteligencją. Podziwianej, otoczonej adoracją, a mimo wszystkich walorów bardzo samotną.

Uparcie szukając prawdy, Grzela przytacza różne świadectwa, konfrontuje ze sobą odmienne wersje wydarzeń i przytacza teksty, które jakby przy okazji odsłaniają nieznane lub mało znane fragmenty dziejów polskich Żydów. Należy do nich

działalność przedwojennego Żydowskiego Sanatorium Dziecięcego imienia Włodzimierza Medea w Miedzeszynie, gdzie młodzież, podobnie jak w zakładach Janusza Korczaka, wychowywana była w duchu wzajemnej przyjaźni i tolerancji, poszanowania zasad samorządu i demokracji. Charakter dokumentu ma przytoczony w książce wstrząsający list z marca 1943 roku, który został napisany w getcie warszawskim przez krewną Gelblumów, a zawiera opis powolnego umierania z powodu choroby głodowej. W reportażu Mordechaja Canina, dziennikarza z Palestyny, utrwalona została poruszająca scena z 1946 roku, w której nieliczni ocaleli z Zagłady modlą się żarliwie w synagodze na ruinach Warszawy. Zapada także w pamięć relacja z nieraz bardzo dramatycznych perypetii polskich Żydów płynących do Palestyny z narażeniem życia, na przepełnionym starym i mocno już sfatygowanym statku.

Zebrane w książce teksty skłaniają do kilku refleksji ogólniejszej natury. Na przykład, jak rozmaite formy przybrać może bohaterstwo. Co zazwyczaj postrzegane jest jako pojedynczy akt i przemienia się w patetyczną legendę, zastyga w pomnikach „ku czci”, było dla Żydów podczas okupacji doświadczeniem codziennym, swego rodzaju rutyną życia i przeżycia. Heroizm Ireny Gelblum zawierał przy tym rys dobrowolnej zgody na śmierć. Jak zauważa Agnieszka Holland: „W jej brawurze było coś straceńczego. Wiązało się to z traumą utraty, przecież była panienką z kochającego domu, która nagle straciła

bliskich". Z każdej opresji pomagały jej wyjść „dobry wygląd”, uroda, zimna krew, tupet, szybkość reakcji oraz zdolność do natychmiastowej improwizacji. Aż trudno uwierzyć w snute przez nią wspomnienia, zarejestrowane bez jej wiedzy i zgody w 1963 roku. Gotowy scenariusz na film! O tym na przykład, jak wyprowadziła z obozu pracy jedną z łączniczek ŻOB-u, ocalając ją przed wywózką do Auschwitz. Skorzystała z tego, że więźniarki pracowały poza obozem, weszła na ten teren mimo strażnika, który pilnował pracujących, odnalazła łączniczkę, oddała jej swój rzucający się w oczy, czarny błyszczący niemiecki płaszcz, dzięki czemu uwięziona mogła bezpiecznie wyjść, sama zaś potrafiła się później wymknąć. Jej szczęście stało się legendarne, nie przypadkiem zyskała miano „szalonej”. Do legend należą opowieści o tym, jak elegancko ubrana, w wielkim kapeluszu na głowie, wsiadła do wagonu przeznaczonego tylko dla Niemców i aby uniknąć sprawdzania dokumentów na granicy z Reichem, udając, że zasypia, skłoniła głowę na ramię hitlerowskiego oficera.

Dramatyczne, a nieraz tragiczne perypetie życiowe Ireny Gelblum oraz zawarte w tej książce teksty o okresie okupacji, raz jeszcze, z całą jaskrawością uświadamiają, jak dalece losy polskich Żydów naznaczone były upokorzeniem, stygmatyzacją i wykluczeniem, które szczególnie jaskrawe formy przyjęły w okresie drugiej wojny światowej, ale po jej zakończeniu wcale nie zniknęły. Nie dość powtarzać, że w warunkach okupacyjnych położe-

nie Polaków i Żydów zasadniczo się od siebie różniło. Oczywiście, jedni i drudzy byli przedmiotem nazistowskiego terroru, w każdej chwili mogli zostać aresztowani i zamordowani. Jednakże ludność o żydowskich korzeniach została przez rasistowską ideologię pozbawiona człowieczeństwa i z góry skazana na śmierć. Toteż porażający świat, przedstawiany w cytowanych przez autora tekstach, jest światem widzianym z perspektywy ściganego zwierzęcia. Dla Żydów, zwłaszcza żyjących w strefie aryjskiej, śmiertelnym zagrożeniem stawały się ich wygląd, sposób zachowania, język, każde wyjście na ulicę czy do sklepu. Codziennność zamieniała się we wciąż na nowo podejmowaną grą o przetrwanie. Owa gra miała szczególnie niebezpieczny charakter dla żydowskich bojowników podziemia. Skłaniała ich nie tylko do posługiwania się podrobionymi dokumentami, ale również do ciągłego ukrywania się, nieustannych zmian mieszkań. Tym większa rola przypadała łączniczkom ŻOB-u, takim jak Irena Gelblum, które udając Polki, spełniały powierzone im zadania, z ciągłym narażeniem życia poruszając się w miejskiej dżungli.

Wszyscy Żydzi stanęli przed podwójnym zagrożeniem. Stanowili je tyleż Niemcy, co zorganizowani w całe grupy „szmalcownicy”, a nawet polscy sąsiedzi. Odziedziczony sprzed wojny antysemityzm, wzmocniony nazistowską propagandą, terrorem oraz karą śmierci za ukrywanie Żydów sprawił, że opisywane akty pomocy były nader rzadkie, co doty-

czyło także współpracy ŻOB-u z AK podczas powstania w getcie, czy kontaktom z Żegotą. Cytowane przez autora teksty świadczą, jak dalece pragnienie przetrwania, a zarazem obojętność na cudzy los wytworzyły w zdecydowanej większości polskiego społeczeństwa bierną, a nawet, niestety, czynną akceptację Zagłady, prowadząc do zaniku podstawowych moralnych odruchów oraz empatii dla ofiar. Co więcej, z objawami niechęci i wrogości spotykali się ocalali z Holocaustu także po wojnie. Wielu z nich zostało przez Polaków zamordowanych. Tragicznym, skrajnym wyrazem tych nastrojów była masakra w Kielcach w 1946 roku. Wskutek tego polscy Żydzi zdecydowali się masowo emigrować do Palestyny, skazując się z kolei na prześladowania przez Brytyjczyków. Sytuacja powtórzyła się po marcu 1968, gdy brutalna antysemicka nagonka zmusiła do emigracji wielu Polaków, których winą okazały się jedynie ich żydowskie korzenie. Wszystkie te doświadczenia stały się udziałem Ireny Gelblum.

Patrząc z innej perspektywy, losy dawnej łączniczki ŻOB-u dobrze ilustrują ideologiczne wybory społeczności żydowskiej. W obliczu antysemityzmu stawiała ona przed podstawowym dylematem: albo syjonizm, albo komunizm. Pierwszy uwalniał od etnicznego piętna, kreśląc projekt powrotu do ziem biblijnej ojczyzny oraz zadanie zbudowania państwa żydowskiego. Drugi mamił wizją społeczeństwa bezklasowego, sprawiedliwego społecznie, uwolnionego od wszelkich form dyskryminacji. Bohaterka książki

Grzeli także stanęła przed tym wyborem. Wręcz symbolicznej wagi nabierają jej relacje z bliskimi jej mężczyznami. Związana uczuciowo z Kazikiem Ratajzerem, wybitnym działaczem ŻOB-u, przeżyła z nim okres okupacyjny w Warszawie, pod jego wpływem stała się członkiem Mścicieli oraz podzieliła niebezpieczną podróż do Palestyny. A jednak perspektywa pobytu w obcym otoczeniu, zamieszkiwania w kibucu i walki o państwo Izrael nie przemawiała do jej wyobraźni i nie godziły się z jej planami. Chciała żyć inaczej, dalej się kształcić i rozwijać. Toteż zerwała swój związek i powróciła do Polski. Wyszła za mąż za członka partii, jednakże wobec komunistycznej ideologii pozostała obojętna. Po rozwodzie wyszła ponownie za mąż za Włocha, co otwierało przed nią możliwość pozostania na Zachodzie. Ale i z tej możliwości nie skorzystała i po latach emigracji na stałe zamieszkała w ojczyźnie. Nie wybrała zatem ani wariantu syjonistycznego, ani komunistycznego, ani kosmopolitycznego. W żadnym nie potrafiła się odnaleźć. Według Magdaleny Łazarkiewicz, która ją dobrze знаła, „zawsze czuło się, jakby była przechodniem. Zawsze trochę jakby nie u siebie”.

Dlaczego przekreśliła swoją przeszłość i wyrzekła się żydostwa? W książce padają na ten temat różne odpowiedzi. Zdaniem Remigiusza Grzeli „Irena żyła działaniem, spełniała się w konspiracji. To było jej bliskie. I jako konspiratorka nie miała sobie równych. Nie mogąc spełnić się do końca w innych sferach, wybrała tę, którą znała najlepiej. Życie pod fałszywym na-

zwiskiem, z fałszywą kenkartą. Zaczęła grać tę rolę”. Według Agnieszki Holland „nie chciała być wśród ofiar”. Jak sugeruje Irena Rybczyńska-Holland: „[...] ona w ogóle nie czuła identyfikacji z Żydami, nie czuła się Żydówką. Kiedy teraz widziałam się z Kazikiem i pytała go o to, mówił, rozdzielili ich właśnie ten brak identyfikacji. Nie wiem, czy ona to wyniosła z domu, czy to przyszło później. Na pewno 1968 rok, wyrzucenie z pracy zrobiły swoje. Dramatycznie to przeżyła i postanowiła więcej nie być Żydówką. Trudno to nazwać, ale to się wzięło z dumy i odrazy. Kochała Polskę, ale musiała z niej uciekać”.

Powikłane losy Ireny Gelblum uświadamiają, jak dalece problematyczna może okazać się tożsamość. Bo kim była? Żydówką z pochodzenia, Polką zgodnie z miejscem urodzenia, Włoszką z wyboru? Wychowana w ziemiańskiej rodzinie nie poczuwała się do żydowskich korzeni. Przypomniały jej o nich brutalnie rasiistowskie rozporządzenia hitlerowców oraz antysemicka nagonka w 1968. Palestyny nie uznała za swoją drugą ojczyznę, ale i w Polsce czuła się obco, choć była do niej uczuciowo przywiązana. Zatem o jej tożsamości nie przesądzały ani etniczna genealogia, ani miejsce urodzenia, ani narodowa czy kulturowa przynależność. Samookreślenie mogło się zatem wydawać swobodną decyzją. Ale dokonany wybór skazał dawną łączniczkę na ciągłe udawanie kogoś innego, co musiało łączyć się w wysokimi wewnętrznymi kosztami. Była niczym aktorka, która grając pewną postać, zeszyła ze sceny i wmieszała się

w tłum widzów. Pozostanie zagadką, na ile odczuwała fałszywość swojego położenia i w jakim stopniu zdołała się utożsamić ze swoją autokreacją.

Czytając tę książkę, zadawałem sobie pytanie, dlaczego Irena Gelblum wybrała rolę włoskiej poetki? Przecież wykonywała w życiu rozmaite zawody! Tak dalece uwierzyła w swój talent? Tę wiarę pod koniec życia posunęła do granic megalomanii, skoro uważała, że to jej, a nie Wiśławie Szymborskiej, należy się Nagroda Nobla. Wiersze w ich wersji włoskojęzycznej doczekały się uznania. Po polsku brzmiały mało przekonująco, wydają się za bardzo wykoncypowane, zdradzają brak poetyckiego talentu. Ale zarazem zawierają przejmujące ślady wewnętrznych rozterek autorki. Stają się świadectwem jak gdyby wbrew jej intencji. Może pod jeszcze jednym, tym razem językowym przebraniem, celując w egzystencjalne uogólnienie, Irena Gelblum wypowiedziała to, co było dla niej najważniejsze i czego nie chciała czy nie potrafiła zdradzić? Choćby wówczas, gdy chroniła się w cień paradoksu:

Może lepiej nie udawać
bycia sobą, kiedy się jest
zupełnie kimś innym.

Aleksander Fiut

Remigiusz Grzela, *Trzy życia Ireny Gelblum*,
Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2023

N O T Y O A U T O R A C H

JERZY ANDRZEJEWSKI (1909–1983), pisarz, autor m.in. *Ładu serca*, *Nocy*, *Bram raju*, *Apelacji*, *Miazgi*, *Ciemności kryją ziemię*, *Już prawie nic i Nikt* (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1997, nr 4; 2000, nr 1; 2000, nr 2; 2000, nr 3; 2009, nr 4).

KAZIMIERZ BRAKONIECKI, ur. w 1952 roku w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował *Oumuamua. Atlas wierszy światologicznych* (2022) oraz *Dziennik olsztyński 1989–1993* (2022). Mieszka w Olsztynie.

STEFAN CHWIN, ur. w 1949 roku w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował *Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku* (2021) oraz *Wolność pisaną po Jalcie* (2022) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 3; 2016, nr 4). Mieszka w Gdańsku.

JACEK DEHNEL, ur. 1980 w Gdańsku, poeta, pisarz, tłumacz; ostatnio opublikował tom wierszy *Bruma* (2022) oraz przekłady *Żywoty zwierząt* Johna Maxwella Coetzee (2022) i *Niewidzialne biblioteki* (2022). Mieszka w Berlinie.

ZBIGNIEW DMITROCA, ur. 1962 w Michałowie, autor wierszy, tłumacz, bajkopisarz; ostatnio opublikował m.in. powieść *Ostatnia okazja* (2020). Mieszka w Lublinie.

ALEKSANDER FIUT, ur. w 1945 roku w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk

literacki, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Wyglądy i wglądy* (2022) oraz *Gry międzyludzkie Leona Neugera* z Elżbietą Jogałłą i Elżbietą Tabakowską (2022). Mieszka w Krakowie.

MAREK KĘDZERSKI, ur. w 1953 roku w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przeegrany* (2019) i *Pułapka Becketta* z Krzysztofem Myszkowskim (2020). Mieszka m.in. w Paryżu.

MICHAEL KRÜGER, ur. 1943 w Wittgendorf, niemiecki poeta, prozaik, tłumacz, wydawca i edytor; redaktor naczelny miesięcznika literackiego „Akzente” i prezydent Bawarskiej Akademii Sztuk Pięknych; autor około dwudziestu książek poetyckich; ostatnio opublikował *Umstellung der Zeit* (2013); w Polsce ukazały się powieść *Wiolonczelistka* (2005) i wybór wierszy *Pejzaż z drzewem* (2013).

RYSZARD KRYNICKI, ur. w 1943 roku w Sankt Valentin (Austria), poeta i wydawca; autor tomów poetyckich, tłumacz poezji niemieckojęzycznej m.in. Paula Celana, Georga Trakla, Nelly Sachs; edytor tomów wierszy m.in. Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej; ostatnio opublikował przekłady wierszy Bertolta Brechta *Elegie bukowe i inne wiersze* (2022) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2013, nr 2). Mieszka w Krakowie.

KRYSTYNA LENKOWSKA, ur. 1957 w Rzeszowie, autorka wierszy, tłumaczka poezji anglosaskiej, ostatnio opublikowała tomy wierszy *Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)* (2020), *Balkon* (2021) i polsko-hiszpański wybór *Ono morze / Él el mar* (2023). Mieszka w Rzeszowie.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI, ur. w 1952 roku w Toruniu, pisarz; ostatnio opublikował *Pułapkę Becketta* z Markiem Kędzieriskim (2020) i *Fragmenty murów obronnych* (2021). Mieszka w Toruniu i w Bydgoszczy.

ANNA NASIŁOWSKA, ur. w 1958 roku w Warszawie, autorka wierszy, prozaik, eseistka i krytyk literacki, profesor IBL PAN; ostatnio opublikowała *Historię literatury polskiej* (2019, wydanie drugie 2022) i tomik *Sztuczne światła* (2021). Mieszka w Warszawie.

PIOTR PIASZCZYŃSKI, ur. 1955 w Olsztynie, autor wierszy, publicysta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Przerwę w podróży* (2014). Mieszka w Kolonii.

ARTURO GUTIÉRREZ PLAZA, ur. w 1962 w Caracas, wenezuelski poeta, eseista, wykładowca uniwersytecki; wydał kilkanaście tomów poezji, m.in.: *Pasado en limpio* (Przepisane na czysto; 2006), *Ciudades intensivos* (Intensywne starania; 2014), *El cangrejo ermitano* (Rak pustelnik; 2020).

ARTUR PRZYBYŚLAWSKI, ur. 1970, filozof, pracownik Uniwersytetu Jagiellońskiego, tłumacz z języka angielskiego i tybetańskiego; ostatnio opublikował powieść *Pana Profesora dziennik sekretny [...]* (2022). Mieszka w Krakowie.

KRYSTYNA RODOWSKA, ur. w 1937 roku we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała wybór wierszy *Nic prócz O. Wiersze z lat 1968–2018* (2019) oraz tom *Cudze moje. Wiersze (wybór przekładów poezji z lat 1968–2020)* (2021). Mieszka w Warszawie.

KRZYSZTOF SIWCZYK, ur. 1977 w Knurowie, poeta, eseista; ostatnio opublikował tom wierszy *Krematoria III* (2022) oraz *Sygnal w zenicie* (2022). Mieszka w Gliwicach.

PIOTR SOBOLCZYK, ur. w 1980 roku w Lublinie, autor wierszy, prozaik, badacz i krytyk literatury; pracownik IBL PAN; ostatnio opublikował *Obstrukcję insługi* (2022) oraz *Wydechy z bezrybocia* (2022). Mieszka w Warszawie.

LESZEK SZARUGA, ur. w 1946 roku w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckojęzycznej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. tomik wierszy *Mucha* (2022) i *Jeszcze trochę inne historie* (2022) (patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016, nr 1). Mieszka w Warszawie.

PIOTR SZEWC, ur. w 1961 roku w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował *Po nitce* (2021) oraz *Miejsce* (2022). Mieszka w Warszawie.

ARTUR SZŁOSAREK, ur. w 1968 roku w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Wagary w czyścću* (2022). Mieszka w Berlinie.

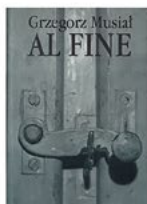
ANDRZEJ SZUBA, ur. 1949 w Gliwicach, poeta i tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował *666 strzępów* (2022) oraz przekłady wierszy Walta Whitmana *Powrót bohaterów* (2019), D.H. Lawrence'a *Kici, kici!* (2019) i Edgara Lee Mastersa *Epitafia ze Spoon River* (2020; II wydanie). Mieszka w Katowicach.

ADRIANA SZYMAŃSKA, ur. w 1943 roku w Toruniu, poetka, eseistka, krytyk literacki, tłumaczka; ostatnio opublikowała tomik wierszy *Zielone rolety* (2021) oraz zbiór *Epilog z Gwiazdą* (2023). Mieszka w Puławach.

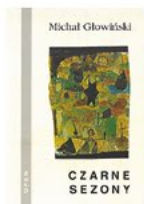
MARTA TOMCZOK, ur. 1980 w Knurowie, literaturoznawczyni, profesor Uniwersytetu Śląskiego; ostatnio wspólnie z Piotrem Mitznerem opublikowała zbiór tekstów Krystiany Robb-Narbutt *Cień dotyka mnie: wiersze i proza* (2023). Mieszka w Katowicach.

ANDRZEJ ZAWADA, ur. 1948 w Wieluniu, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Pracownię literacką* (2021). Mieszka we Wrocławiu i Dębnie.

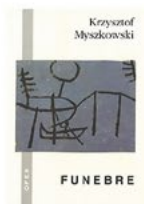
Biblioteka Kwartalnika Artystycznego



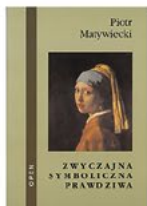
Grzegorz Musiał
Al fine
1997, nakład wyczerpany



Michał Głowiński
Czarne sezony
1998, cena 20 zł



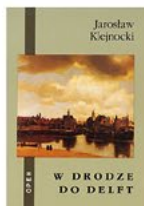
Krzysztof Myszkowski
Funebre
1998, cena 20 zł



Piotr Matywiecki
Zwyczajna, symboliczna, prawdziwa
1998, cena 20 zł



Mirosław Dzień
Cierpliwość
1998, nakład wyczerpany



Jarosław Klejnocki
W drodze do Delft
1998, nakład wyczerpany



Bożena Keff
Nie jest gotowy
2000, nakład wyczerpany



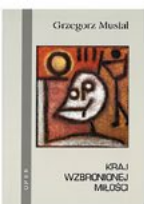
Grzegorz Musiał
Dziennik z Iowa
2000, cena 20 zł



Janina Kościakowska
Bih me!
2000, nakład wyczerpany



Maria Danilewicz Zielińska
Biurko Konopnickiej
2000, cena 20 zł



Grzegorz Musiał
Kraj wzbronionej miłości
2001, nakład wyczerpany



Jerzy Andrzejewski
Dziennik paryski
2002, nakład wyczerpany



Tadeusz Nowakowski
Obóz wszystkich świętych
2003, nakład wyczerpany



Mieczysław Orski
Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji
2002, nakład wyczerpany



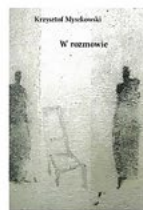
Kazimierz Hoffman
Znaki
2008, nakład wyczerpany



Krzysztof Myszkowski
Addenda
2017, cena 30 zł



Krzysztof Myszkowski
Puste miejsce
2018, cena 35 zł



Krzysztof Myszkowski
W rozmowie
2018, cena 25 zł



Krzysztof Myszkowski
Punkt wyjścia
2019, cena 40 zł



Marek Kędzierski
Krzysztof Myszkowski
Pulapka Becketta
2020, cena 35 zł



Krzysztof Myszkowski
Fragmenty murów obronnych
2021, cena 35 zł

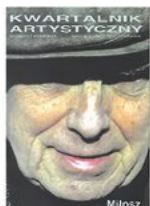
Dodatki do „Kwartalnika Artystycznego”



Zbigniew Herbert
2008, nr 2 (58)
nakład wyczerpany



Marek Kędzierski, Piotr Dzumala
Rue Samuel Beckett: Barbara Bray
2015, nr 4 (88)
cena 12 zł



Czesław Miłosz
2011, nr 2 (70)
cena 12 zł



Hanna Borawska
Kwartalnik Artystyczny. Bibliografia 1993–2017
2017, nr 4 (96)
cena 12 zł



Marek Kędzierski
Giacometti
2013, nr 4 (80)
cena 12 zł

PRENUMERATA



Książnica
Kopernikańska
w Toruniu

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna – Książnica Kopernikańska w Toruniu

Adres redakcji:

ul. Słowackiego 8, 87-100 Toruń

tel. 56 622 57 01

e-mail: kwartalnik@ksiaznica.torun.pl

www.kwartalnik.art.pl



Kwartalnik Artystyczny. Kujawy i Pomorze

Prenumerata: Anna Broda, tel. 56 622 66 42 wew. 105

Warunki prenumeraty 2023:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego”:

- krajowej – 60 zł
- zagranicznej – 40 USD / 40 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

72 1160 2202 0000 0003 5585 9625

„Kwartalnik Artystyczny”

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Korekta: Beata Antczak-Sabala, Katarzyna Dunajko

Skład: Karol Cyranowicz

Druk i oprawa:

Machina Druku Sp. z o.o.

ul. Kociewska 26f

87-100 Toruń

www.machinadruku.pl

Samorząd Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



Urząd Marszałkowski
Województwa
Kujawsko-Pomorskiego
w Toruniu

Dofinansowano z budżetu
Samorządu Województwa
Kujawsko-Pomorskiego

N O W E K S I A Ź K I

K.I.T Stowarzyszenie Żywych Poetów

Jacek Bocheński, *Zapiski niedopisane*, Brzeg 2023

Wioletta Ciesielska-Pawlak, *Pokój do płaczu*, Brzeg 2023

Rafał Cuprjak, *Manifesty*, Brzeg 2023

Siniša Glavašević, *Opowiadania z Vukovaru*, tłumaczenie Siniša Kasumović, seria Faktoria Przekładu, tom I, Brzeg 2023

Państwowy Instytut Wydawniczy

Album Styczniowe: 160. rocznica Powstania Styczniowego, Warszawa 2023

Janusz Degler, *Obecność Witkacego*, Warszawa 2023

Silvia Diacchiati, Enrico Faini, Lorenzo Tanzini, Sergio Tognetti, *Jak kwitnące drzewo. Florencja średniowieczna i renesansowa*, przekład Hanna Podgórska, Warszawa 2023

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

Bartłomiej Józef Kucharski OCD, *Niemożliwe spotkanie*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 31, Kraków 2023

Adam Majewski, *Ameryka: esej poetycki*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 33, Kraków 2023

Wydawnictwo Austeria

Agnieszka Papieska, *Ślepiec przed lustrem*, Warszawa 2023

Anna Petelenz, *Potrzebni niepotrzebni*, Warszawa 2023

Wydawnictwo Czarne

Claire Keegan, *Przez błękitne pola*, przekład Dariusz Żukowski, Wołowiec 2023

Wydawnictwo Warstwy

Sąsiadki. 10 poetek niemieckich, wybrał, opracował i wstępem opatrzył Tomasz Ososiński, Wrocław 2023

Wydawnictwo Forma

Andrzej Kopacki, *Życie codzienne podczas wojny opodał*, seria 21, Szczecin-Bezrzecze 2023

Grażyna Obrąpalska, *Zanim pogubią się litery*, Szczecin-Bezrzecze 2023

Wydawnictwo mg

Aforyzmy optymisty: do czytania w chwilach chandry, Kraków 2023

Fiodor Dostojewski, *Białe noce i inne opowiadania*, przekład Władysław Broniewski, Kraków 2023

Fiodor Dostojewski, *Bracia Karamazow*, przekład Barbara Beaupré, Kraków 2023

Paweł Jasienica, *Trzej kronikarze*, Kraków 2023

Jack London, *Zew krwi*, opracowanie MG, Dorota Ring, wydanie ilustrowane, Kraków 2023

Maria Rodziewiczówna, *Dewajtis*, Kraków 2023